

LEONARD CARPENTER

CONAN WIELKI

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE GREAT
PRZEŁOŻYŁ ADAM RYĆ

Tedowi Williamsowi
z podziękowaniami

1. ZWYCIĘSTWO

W świetle porannego słońca pokryta rosą trawa na rozległej równinie Tybor lśniła szmaragdowym blaskiem. Nizinę tę, położoną między hyboryjskimi królestwami Aquilonii, Nemedii i Ophiru, porastały kwitnące krzewy i samotne drzewa.

Na tle soczystej murawy potężne armie spiesznie rozwijały szyki. Równe szeregi tworzyły na nizinie barwne wzory niczym warcaby rozstawione na płaszczu z zielonego tartanu.

Zbrojni wielu narodów wchodzili w skład wojsk, które miały się zetrzeć w tym miejscu. Południową część pola zajmowały legiony imperialnego Ophiru: maszerująca piechota, toczące się rydwany oraz konni rycerze. Groty ich włóczni i ostro zakończony hełmy błyszcząły w porannym świetle jak ruchomy gwiazdozbiór iskier. Zajmowali pozycje przy dźwiękach trzcinowych piszczałek, maszerowali ramię w ramię z odzianymi w szarości i brązy sojusznikami.

Te oddziały szczękając orężem, przy warkocie bębnow ustawiały się w sztywniejsze szyki. Ciemniejsza armia, skupiona pod czarnymi sztandarami Nemedii, zajmowała w szyku pozycję bardziej wysuniętą na północ. Wojownicy kierowali na zachód zwarte rzędy pik i halabard podobne stalowej palisadzie, a poranne słońce grzało im plecy. W centrum szyku, pośrodku falangi rycerzy zbrojnych w kopie ozdobione czarnymi proporcami, widać było siwowłosa i siwobrodą postać starego, zawziętego króla Balta.

Krępy, odziany w prosty kaftan ze skóry nabijanej żelaznymi płytkami, Balt dosiadał gniadego rumaka. Niegdyś prosty oficer w Żelaznych Legionach Nemedii, dziś był królem, a jego szary hełm i pancerz pokrywało złoto najczystszej próby. Konny giermek trzymał potężną tarczę, której skołatane ciosami żelazo także pokryto białym i czerwonym złotem. Te dwa kolory składały się na mistrzowską inkrustację wyobrażającą królewskie godło Nemedii: gryfa zbrojnego w ostry dziób i pazury.

Świta króla Balta, pędząc na południe wśród wysokich traw, wysunęła się znacznie poza pierwszą linię nemediańskich oszczepników. Zmierzała w stronę drugiej zdobnej pióropuszcami i sztandarami grupy, której czoło stanowili rycerze w błyszczących zbrojach, a skrzydła osłaniały rydwany. Była to elitarna gwardia przyboczna młodego lorda Malvina, najzdolniejszego generała Ophiru i samolubnego despoty.

Malvin nie raczył jeszcze koronować się na króla, gdyż nie był pewien, czy królestwo nie byłoby krokiem wstecz wobec jego dotychczasowych ambicji. Zgłaszał on bardzo śmiało roszczenia wobec krajów ościennych oraz do części tych pól, na których teraz stała armia sprzymierzonych. Terytorialne ambicje Malvina cieszyły się bądź gorliwym poparciem, bądź niechętnym przyzwoleniem książąt, baronów, margrabiów i innej szlachty ophirskiej, której rodowe herby zdobiły tarcze i proporce jego świty.

Malvin dosiadał siwego ogiera okrytego posrebrzanym kolczym pancerzem, a jego wodze i rząd ozdobiono trzepoczącymi niebieskimi proporczykami. Elegancki młody władca nosił kosztowną zbroję płytową. Pozwalała mu ona na znaczną swobodę ruchu, o czym świadczyły teatralne gesty, jakimi wydawał polecenia swym oddziałom. Jego pancerz sporządzony był z gładkiego metalu. Żaden ornament nie zdobił zbroi, która tak dobrze pasowała do dowódcy oddziałów zdobywających właśnie opinię najsprawniejszej armii świata.

Młody lord znalazł w osobie Balta potężnego i gorliwego współnika. Obaj władcy radzi byli odkroić nieco z porośniętych łakami zachodnich krain, które stanowiły bogaty przedsiónek ich potężnych państw. Malvin, uchylwszy przyłbicy, obserwował zbliżanie się starego monarchy. Kiedy oba orszaki połączyły się,

spiał ostrogami wierzchowca i ruszył przez tłum rycerzy i giermków, by pozdrowić sojusznika okrzykiem i braterskim uściskiem dłoni.

Ich spotkanie przedstawiało wspaniały widok. Heraldyczne symbole obu wielkich królestw skupiły się i mieszały. Rozbrzmiewały dziarskie okrzyki, lśnił oręż, a piskliwe dźwięki fujarek i trąbek uniosły się piskliwym hałasem pod błękitną kopułę nieba. Uniesienie rozeszło się jak fala aż po najdalsze krańce szyku, prowokując do krzyku szeregi shemicznych łuczników, konnych najemników zamorańskich i pstry tłum zbrojnych we włócznie kmieci, którego krańce rozpływały się w porannej mgiele.

Piękny był ich szyk, wspaniały cel, a na drodze pozostała tylko jedna przeszkoda. Były nią czerwone, czarne i zielone linie wojsk, które stały naprzeciw.

Siły te rozwinęły się w zachodniej części równiny, za plecami mając rzekę Tybor. Połączone siły dumnej Aquilonii składały się z zahartowanych w bojach legionów z królewskich garnizonów w Shamar i Tarancji: wysokich, świetnie wyćwiczonych Gunderlandczyków z mroźnych, północnych marchii i odzianych w zielone kubraki Bossończyków, ściągniętych na wschód z piktyjskiego pogranicza. Wojsko to liczyło około dwóch tysięcy jezdnych i dwanaście tysięcy piechurów, i zdawać się mogło, iż niemal ginęło w lesie włóczni i halabard, który w ciągu nocy wyrósł na równinie Tybor.

Konni oficerowie aquilońscy czekali przed frontami oddziałów. Jeźdźcy krążyli wokół samotnego złotego sztandaru, pod którym trwał w zamyśleniu ich legendarny dowódca, król Conan. Jego sylwetka krzepkiego, ciemnogrzywego barbarzyńcy z Północy pysznie przedstawiała się na grzbiecie Sheola – czarnego jak węgiel zambulońskiego rumaka. Jeździec i koń odziani byli w ciemne, zdobione złotem pancerze Czarnych Smoków – elitarnej gwardii pałacowej.

Ludzie trzeźwo myślący powiadali, że Conan nie był z tych, co pozwoliliby sobie wyrwać choć kawałek aquilońskiej ziemi. Gotów był przeciwstawić się wszelkim roszczeniom terytorialnym, nawet w obliczu zdradzieckiego sojuszu obu wschodnich sąsiadów. Jego wojska, choć mniej liczne od sił przeciwników, stały gotowe do walki. Wszelkie wątpliwości zniknęły, kiedy w chwili spotkania obu wrogich królów Conan wznosił miecz i wydał komendę: – Do ataku!

Wściekłe beczenie trąbek rozbrzmiało jak echo po jego okrzyku i obwieściło pierwszy cios tej wojny: chmura strzał oderwała się od linii aquilońskich. Pociski szumiąc złowrogo wzniosły się stromym łukiem, po czym spadły jak grad na pierwszą linię ophirskich i nemedejskich pikinierów.

Część strzał nie dosięgła przeciwnika, część odbiła się od tarcz, jednak poszarpane luki, jakie otwały się nagle w szyku przeciwnika, potwierdziły legendarną, śmiertcionośną celność bossońskich łuczników. Ci z wrogów, którzy ocaleli, skulili się ze strachu, a przez ich szyki przeszedł szmer lęku i zaskoczenia wobec nagłego deszczu pierzastej śmierci.

W niebo wzniosła się druga salwa, potem trzecia. Ruszyła pierwsza fala aquilońskich rycerzy, łucznicy przestali strzelać, nie chcieli, aby ich długie na trzy stopy strzały trafiały w opancerzone grzbiety własnych rycerzy. Zahartowani jeźdźcy z Poitanii galopowali strzemię w strzemię z chwacką, dosiadającą pysznych rumaków szlachtą tarantyjską. Przedostali się przez wąskie luki w szyku własnych łuczników i runęli na wroga. Odziani w ciężkie zbroje płytowe i kolczugi jeźdźcy rozpędzali się, a tętent kopyt ich rumaków wprawiał w drżenie ziemię pod stopami patrzących.

Teraz shemiccy łucznicy stojący na skrzydłach wojsk Nemedii i Ophiru mieli szansę porazić szarżującą aquilońską jazdę. Ich krótkie, grube łuki i strzały pracowały sprawnie i szybko, ale nie mogły uczynić wiele szkody szybko poruszającej się sile pancernej. Tu i ówdzie rumak się potknął albo upadł jeździec, ale większość rycerzy w czarnych zbrojach wyszła bez szwanku z deszczu grotów. Otrząsnęli się ze strzał jak z dokuczliwych komarów, pochylili się w siodłach i opuścili kopie zdobne czerwonymi proporcami.

Dopadli przeciwnika. Odgłos zderzenia rozszedł się jak odgłos oceanicznej fali bijącej o skalisty brzeg. Błyszcząca palisada włóczni, częściowo już złamana i przetrzebiona przez łuczników, zdołała wysadzić z siodeł jedynie kilku jeźdźców. Szarżujący rycerze, porzućwszy kopie wbite w piersi wrogów, dobyli mieczy, maczug i toporów bojowych. Z tym orężem wzięli się do oczyszczania drogi dla piechoty. Składała się ona głównie z odzianych w czerwone kubraki Gunderlandczyków, którzy wrzeszcząc mrowili się tuż za rycerstwem.

I znowu przyszła kolej na shemicznych łuczników. Tym razem ich pociski zadały

większe straty. Ostrzał ten został jednak nagle przerwany. Na przeszkodzie stanęła mu nemedijska i ophirska jazda, które wiedzione żądzą krwawego odwetu, ruszyły do kontrataku.

Sojusznicy pod naporem konnych i pieszych wojowników Aquilonii zmuszeni byli zacieśnić swe szyki i dlatego luki pozostawione uprzednio dla manewru jazdy zostały zamknięte. Najdzielniejsi jeźdźcy, rozpaczliwie łaknąc walki, uciekli się do jedyne go możliwego manewru: ruszyli przez luki utworzone w szyku na flankach. W swych planach nie wzięli jednak pod uwagę najbardziej morderczej broni przeciwnika: długiego łuku bossońskiego. Żyłaści łucznicy, osłaniany przez szeregi oszczepników, mieli teraz wysokie i masywne cele, poruszające się w zasięgu ich wzroku, w niewielkiej odległości. Okrutni ludzie z północnego pogranicza, dziękując za to swym północnym bogom o lodowatym wzroku, raz po raz napinali cięciwy i strzelali. Mieli dosyć czasu, aby wykorzystać swe długo praktykowane umiejętności. Ich celne strzały odnajdowały każdą lukę w ophirskim pancerzu, każdą nie dopiętą klamerkę, każdą zardzewiałą łuskę w zbroi nemediańskiego giermka. Kiedy indziej, jeśli kąt strzału był prosty, strzała wyważona, a grot ostry, pocisk przebijał stalową płytę, przenikał żebra i pogrążał się w bijącym sercu.

Łucznicy zaczęli żartować, komentowali głośno każde trafienie. W czasie walki robili między sobą zakłady, wygrywali w nich i przegrywali, wszystko przy brzęku cięciw. Czasem łączyli swe umiejętności i strzelali zespołowo. Niejeden wschodni rycerz, poczuwszy uderzenie w tył hełmu, odwracał się nieostrożnie po to tylko, by ujrzeć drugą, starannie wymierzoną strzałę, która godziła go w oko przez szczelinę przyłbicy. Niektórzy jeźdźcy, chociaż już martwi, galopowali pokryci wbitymi w ciało strzałami. Niejeden z żywych nie był zdolny do walki, gdyż strzała przybiła mu rękę do piersi, udo do boku rżącego z bólu konia lub język do strzaskanego podniebienia.

Wydawało się, że nikt z rycerzy Nemedii i Ophiru, którzy zdecydowali się na wypad, nie wyjdzie cało z pola rażenia Bossończyków. Jednak kolejny zwrot wydarzeń na polu walki uwolnił ich od pierzastej plagi. Los pozostawił przy życiu kilkudziesięciu, rzucając ich na pastwę szarzy elitarniej aquilońskiej gwardii prowadzonej przez samego Conana.

Posępny zachodni monarcha śledząc początek bitwy dostrzegł, że bezładna szarża nieprzyjacielskiej jazdy daje mu szansę na zwycięstwo. Teraz jego dosiadające wspaniałych wierzchowców Czarne Smoki minęły galopem łuczników i oszczepników, by runąć naprzód na niedobitki wrogiego rycerstwa. Ostatni jeźdźcy przeciwnika legli bezsilni od kopii rycerzy Conana. Aby zbadać lukę, która za sprawą nieprzyjacielskiej szarzy powstała na prawym skrzydle wojsk Ophiru, król wraz ze swą jazdą skręcił dalej przed liniami Gunderlandczyków, którzy pozdrawiali go krzykiem i wymachiwaniem toporami. Celem Conana i jego Smoków było teraz przedarcie się do serca nieprzyjacielskiej formacji i zmierzenie się z jej dowódcami.

Najpierw jednak musieli stawić czoło shemickim łucznikom. Smagli najemnicy, odziani w baranie i skórzane czapki, wyrzucili chmurę strzał w stronę zbliżającej się masy jezdnych. Jednak ich krótkie dębowe łuki i strzały nie miały siły rażenia takiej jak broń wykonana z giętkiego cisu północnych puszczy. Kiedy Shemici zobaczyli, jak mało szkód wyrządziły Smokom ich pierwsze strzały, następną salwę oddali już bez przekonania, a dystans wciąż się zmniejszał. Trzecia salwa była tylko desperacką konwulsją wyrzuconą w chwili, gdy lawina rycerstwa zwała się na ich linie.

Stalowe podkowy wgniatały w ziemię ludzi i broń, niejeden aquiloński miecz pozbawił życia dwóch albo trzech najemników od jednego, straszliwego zamachu. Krótkie miecze łuczników były bezsilne wobec odzianej w stal aquilońskiej furii. Shemici, którzy nie padli od pierwszych, gromowych uderzeń, zaczęli uciekać. Szybko zarazili paniką i zamieszaniem tylne szeregi.

Widok z góry był wspaniały: szeroko rozpostarte linie czerwieni i czerni wyrzuciły z siebie ciemny, połyskujący półksiężyc, który wbił się jak pazur w serce błękitnego szyku. Ten zaś jakby zwinął się z bólu. Nie tylko błękitna część szyku, ale także szaro – brązowa odczuła skutki morderczego uderzenia. Przez poszerzającą się wyrwę masy błękitnych i brązowych sylwetek przebijały się naprzód, by wziąć udział w walce, inni wycofywali się pośpiesznie, a ruch jednych i drugich spowodował powstanie wiru, który zmieszał składny z początku szyk.

Wkrótce nawet centrum – skupisko wielobarwnych sztandarów towarzyszących

wschodnim dowódcom – zaczęło się chwiać. Barwny poczet poruszał się chaotycznie i bez celu, roztopiał stopniowo w strumieniach uciekinierów. Kiedy uderzające miarowo topory i maczugi aquilońskiej jazdy były już blisko, elitarna formacja zaczęła ustępować. Nie była już nawet barwnym balonem, który mógłby pęknąć za ukłuciem stalowej szpilki. Zostały z niej tylko porozrzucane jaskrawe strzępy – orszaki uciekających szlachciców i oficerów.

Potem nastąpił ogólny, bezładny odwrót. Całe fragmenty szyku ułamywały się i uciekały wystawiając inne jednostki na niebezpieczne ciosy. Te były kolejno okrażane i niszczone przez szeregi czerwone i czarne, nacierające teraz na całej linii frontu.

2. POBOJOWISKO

W końcu noc okryła ciemnością równinę Tybor. Skradając się po równinie ta ciemna piastunka śmierci okrywała swym nieprzeniknionym welonem przerażające pozostałości bitwy. Na wschodzie podniósł się obrzmiały księżyc, którego wścibskie oko zabłysło trupim blaskiem. Widok zasłoniły mu jednak chmury i dymy płonących na horyzoncie zagród.

Jakaś powłócząca nogami postać nadeszła od wschodu, wyszukując sobie drogę pomiędzy zmasakrowanymi szczątkami ludzi i koni. Człowiek ów szedł zataczając się zrazu, z powodu zmęczenia i ran. Potem energicznie ruszył na zachód, jakby odnajdując w sobie nowe siły.

Ciało nocnego wędrowca pokrywały plamy krwi – jedne zakrzepły w skorupę, z innych sączyła się ciemna, wilgotna posoka. Nieznajomy odziany był w straszliwie poszarpane resztki zbroi, niemal każdy jej fragment nosił ślady ciosów, w niektórych miejscach prześwitywało nagie, muskularne ciało. Nie miał hełmu, a w ręce trzymał długi miecz godny króla, teraz wyszczerbiony i pokryty krwią. Rycerz niedbale włókł klingę po zakrwawionej murawie, omijając w mdłym blasku księżycyca co większe stosy ciał.

Nagle zatrzymał się na dźwięk ludzkiego głosu dochodzącego z jednej ze stert. Głos ozwał się znowu, a był to niski, gardłowy jęk i wydawało się, że dobiega spod ciała martwego konia. Nieznajomy z trudem podszedł i spróbował przeniknąć ciemność posępnym spojrzeniem. Udało mu się odróżnić sylwetkę okrytego ciemnym płaszczem piechura, który, sądząc po ubiorze, był żołnierzem Ophiru.

Odłamek rycerskiej kopii przyszpilił tego człowieka do ziemi. Grot przeszył wnętrzości i wbił się mocno w ziemię. Strzaskane drzewce sterczało z pleców piechura. Spiczasty hełm leżał z boku, włosy rycerza były zmierzwiłone, a trawa wokół ciała nosiła ślady całodziennej agonii. Kiedy z trudem podniósł głowę, aby wezwać pomocy, blask księżycyca oświetlił jasną brodę i wasy zlepione krwią, która obficie sączyła się z ust i nozdrzy.

– Na litość boską, błagam! Na Mitrę, balsam.. och! – ochrypla skarga urwała się nagle, gdy miecz nieznanego wojownika pograżył się w szyi rannego. Nie był to finezyjny cios, ale spełnił dzieło miłosierdzia. Kiedy ciało dobitego opadło, miecznik oswobodził broń i z wysiłkiem podjął marsz.

Nie zdążył odejść daleko, kiedy znowu dostrzegł ruch wśród ciał poległych. Ciężkim, powolnym krokiem ruszył w stronę, skąd dobiegał głos. Leżał tam olbrzymi Gunderlandczyk. Miał pospolitą twarz, błędny promień księżycowego światła nadawał żółtawy blask jego oczom i zębom. Nie wydawał żadnego dźwięku poza ciężkim, miarowym sapaniem. Śmiertelnie ranny w brzuch, był w agonii. A jednak krwawy ślad na trawie wskazywał, że człowiek ów zdążył przeczołgać się ruchem ślimaka na sporą odległość, znacząc przebytą drogę własnymi wnętrzościami.

Miecz zatoczył szeroki łuk i przebiwszy brązową obręcz hełmu rannego, pograżył się w jego czaszce. Wyszczerbiony sztych ugrzązł w kości i trudno go było wyciągnąć. Samotny wojownik szarpnął, klnąc przy tym siarczyście, wreszcie przerwał trud, by zaczerpnąć oddechu. Jakiś chorobliwy kaprys kazał mu ogarnąć wzrokiem otaczające go żniwo śmierci i wzdrygnął się powodowany zabobonnym lękiem. Zastanowił się, ilu jego poddanych, a ilu wrogów może jeszcze żyć, ilu ranionych dyszy ciężko w ciemności, ilu zostało pogrzebanych żywcem pod stosami ciał i czy nie powstaną tej nocy i otoczą go niebawem zarówno przyjaciele i wrogowie sięgając po omacku, by zwerzeć się z nim w drapieżnym uścisku...

Oswobodziwszy wreszcie miecz, ruszył chwiejnym krokiem, przestępując przez porozrzucane ciała, następując niekiedy, ku swemu przerażeniu, na któreś z nich. Nagle, kiedy próbował przedostać się przez korpus przewróconego rydwanu, do jego

uszu dobiegł jakiś piskliwy głos.

– Nie, zabójco bezbronnych, nie morduj mnie! Oszczędź mnie przez wzgląd na Croma, Manannana, Mitrę czy innego krwawego boga, dla którego zgotowano tę ucztę!

Okryty krwią wędrowiec zatrzymał się zdumiony i próbował przeniknąć wzrokiem ciemność. W chwilę później dostrzegł twarz i sylwetkę mówiącego. Był to krępy mężczyzna o topornych rysach, leżący na wznak w trawie nie dalej niż o pół kroku. Obcy nie był groźny, dolną część ciała przygniatał mu przewrócony rydwan, przygnięciony na dodatek ciałami dwóch dereszowatych wałachów zaplątanych w uprzęży.

– Czemu miałbym cię oszczędzić? – zabrzmiała odpowiedź samotnego wojownika. – Aby uczynić cię jeńcem? Jestem wojownikiem, a nie łowcą niewolników! – Rycerz uniósł miecz i uspokoił oddech. – Moim obowiązkiem, obowiązkiem uczciwego żołnierza jest dobijać rannych, w zamian za skromny łup, jaki mogą mi dać. Mam nadzieję, że jakaś szlachetna dusza wyświadczy mi podobną przysługę, kiedy przyjdzie moja kolej. – Wojownik pochylił się, aby spojrzeć w twarz przygnięconego. – Czyż nie powinienem zachować się uprzejmie wobec ciebie?

– Uczciwy żołnierz? – krzyknął przygnięciony. – Nie, kłamco! Wiem, że jesteś królem! – Słowo to rozbrzmiało głośnym echem i niczym oskarżenie dotarło do uszu setek poległych. – Tyś jest król Conan Krwaworęki... Conan Zbroczony Topór, parweniusz na tronie Aquilonii! – wypowiadający te słowa, chociaż ranny, wykazywał zdumiewającą żywotność. Łypał żabim okiem i słał rozmówcy grymasy spod swego zbyt dużego hełmu. – Jako król nie musisz już zawracać sobie głowy obyczajami zwykłych żołnierzy! Czy nikt ci tego jeszcze nie powiedział? Dla ciebie, królu, wszystko jest możliwe!

Potężny wojownik zastanowił się przez chwilę, nim udzielił odpowiedzi.

– Jesteś więc obcym, a jak się zdaje, znasz obyczaje królów. Nie miałem zamiaru wypierać się swej tożsamości. – O dziwo, upiorna sprzeczka z umierającym człowiekiem uwolniła jego duszę od lęku. – A jednak mogę cię zabić, aby skrócić twoje męczarnie albo z innego powodu.

– Moje męczarnie? Nie, Królu Rzeźniku, nie jestem ranny! Walczyłem zbyt zajadle, aby odnieść rany nawet z rąk twoich strzelających w plecy łuczników. – Rozmówca Conana przewrócił białkami oczu i zaczął drapać ziemię obiema rękami, które w świetle księżyca robiły wrażenie dziwnie skróconych. – Walczyłbym nadal, gdyby ten rydwan nie przygniótł skraju mego pancerza.

Wskazał miejsce, w którym mosiężna burta przecięła metalowe łuski i przyciskała zbroję do ziemi. – To tani, źle dopasowany pancerz, wykonany w pośpiechu w przeddzień naszego wymarszu z Ianthe. Mój zapał do rzezi był tak wielki, że nawet król Balt nie mógł mi tego odmówić! Lord Malvin zaopatrzył mnie w rydwan, lecz o hańbo! zabrakło mu zręcznego woźnicy.

– Na Croma, rozumiem... jesteś karłem! – król Conan wbił sztych swego miecza między napierśnik a fartuch zbroi, przeciął łączące je rzemienie, a ostrze nie napotkało przy tym kości biodrowej ani brzucha. Górna część zbroi została oswobodzona, a spod kolczugi wysunęła się para niezgrabnych nóg.

– No, jesteś wolny.

– Tak, nareszcie! – Karzeł wstał. Jego krępa sylwetka sięgała Conanowi do połowy uda. – A oto mój szlachetny miecz, Przebijacz Serc. Leżał poza zasięgiem mojego ramienia i kusił mnie od rana. – Karzeł wziął do ręki coś w rodzaju długiego sztyletu, uniósł go nad głową i obrócił, aby zobaczyć na klindze odbicie księżycowego światła. Gwałtownie zwrócił wzrok na Conana i popatrzył zuchwale spod przekrzywionego szyszaka. – Gdzie toczy się walka?

– Walka skończyła się, mały człowieczku. Przegraliście.

– Co? Tego się obawiałem, gorzkiej hańby! – Karzeł przechylił głowę i zmarszczył brwi, wyraźnie strapiony. – A jednak może za wcześnie ogłaszać koniec wojny i obwieszczać imię zwycięzcy! – dodał filozoficznie. Wzruszył ramionami, co spowodowało, że hełm zachwiało mu się na głowie. – Powiedz, królu, czy nie byłoby zbyt wielką ujmą dla twego królewskiego majestatu, gdybyś pomógł mi zdjąć ten napierśnik? Obija mi golenie przy chodzeniu.

– Oczywiście, chłopie, ale przysięgnij, że nie będziesz próbował żadnych sztuczek! – Conan schylił się, chwycił drobną rączkę karła, wyrwał mu sztylet, potem uklęknął, aby wsunąć ostrze pod rzemienie mocujące zbroję. Dobrze naostrzona klinga rychno uporała się ze starą skórą, a płyty pancerza zostały obluźwane. – Jak masz na imię, mały człowieczku?

– Och, ostrożnie, Królu Gaduło, nie jestem langustą, żebyś wydlubował ze mnie

mięso! – Karzeł wy dostał się spomiędzy napierśnika i naplecznika i wyrwał z uścisku Conana. Ze zbroi pozostawił jedynie hełm, który opierał się bardziej na jego ramionach niż głowie. – Nazywam się Delvyn. Jestem lub byłem błaznem na dworze króla Balta w Belverus, zależnie od tego, czy ten stary gaduła jeszcze żyje czy już nie.

Pod pancerzem karzeł miał kubrak i spodnie, dobrze skrojone, ale błazeńsko przyozdobione. W świetle księżyca można było dostrzec połysk jedwabiu, co potwierdzało przechwałki karła dotyczące jego wysokiej pozycji.

– Balt? – zabrzmiał ponuro głos Conana. – Tak, żyje, choć bardzo starałem się go dopaść. Podobnie jest z Malvinem. Wydałem wojsku rozkaz, by ich nie zabijać, chciałem zachować tę przyjemność wyłącznie dla siebie.

– A zatem ci dwaj tchórzliwie uciekali z pola walki! Mogłem się tego spodziewać – na zwróconej w stronę księżyca groteskowej twarzy Delvyna pojawił się grymas szyderstwa. – Balt to już tylko cień wojownika, jakim był niegdyś, a Malvin zawsze był lalusiem. Boli mnie, że służyć takim mięczakom! – zniechęcony potrząsnął głową. – Rzadko można dziś spotkać króla, który szuka śmierci na czele swych wojsk, zaleca się do niej jak do dziewczyny, wreszcie bierze za żonę i płodzi z nią tak wiele potomstwa – wskazał na pobojuwisko. – Słyszałem jednak, że ty, Conanie Rzeźniku, jesteś właśnie taki. – Karzeł wyprostował się, stanął w cieniu Conana i wyciągnął do niego krótką rękę. – Zwróć mi mój szlachetny miecz Przebijacz Serc, błagam cię, o królu!

– Nie, mały, nie tak szybko! – Conan wsunął sztylet za pas i odwrócił się, by chwycić rękę swego w białego w ziemię miecza. – Boję się zwrócić ci broń, bo mógłbyś mnie ukłuć w kolano. Ale chodź ze mną, dzielny Delvynie, jesteś moim jeńcem! – Conan ruszył przed siebie, omijał ciała poległych, za drogowskaz służył mu własny cień. – Może uda mi się wymienić cię na złoto równoważne twej trzykrotnej wadze.

– To byłby kiepski interes. Ośmielę się twierdzić, że wart jestem więcej złota niż twoja trzykrotna waga, o królu! – Delvyn wzruszył ramionami na znak rezygnacji, z trudem nadażając za nowym panem. – Nie sądzę, żeby ten stary zrzęda Balt docenił moją wartość i zapłacił za mnie! Zapewne uzna, że rzuciłem na niego urok i obciąży mnie winą za klęskę. Tylko dlatego, że radziłem mu dochodzić roszczeń terytorialnych w najbardziej honorowy sposób!

– Król Balt jest rzeczywiście stary i stetryczały, skoro idzie za radą błazna. – Conan obszedł dąb, którego dolne gałęzie zostały połamane ciosami oręża, a pień od strony zachodniej najeżony strzałami. – Ale cóż to, jacyś jeźdźcy! – mruknął. – Jeśli to moi wrogowie, możesz odzyskać wolność. – Conan uniósł miecz i oparł się plecami o drzewo. Po chwili jednak opuścił oręż, gdyż widać już było, że pancerze trzech jeźdźców są czarne jak zbroje Czarnych Smoków.

– Chwała Mitrze! – wykrzyknął na powitanie znajomy głos. – To król, on żyje! – Pierwszy rycerz osadził wierzchowca i płynnym ruchem zeskoczył z siodła, po czym uklęknął na jedno kolano u stóp Conana. Następnie ze czcią pochylił głowę i uniósł opancerzoną rękę, aby uścisnąć dłoń władcy. Tymczasem dwaj pozostali jeźdźcy zsiadli z koni ze szczękiem pancerzy i uklękli w tej samej pozycji po obu stronach pierwszego.

– Wstawaj, Trocero! Na Croma, wiesz, że nie znoszę tych hołdów! – Conan schylił się, chwycił rycerza za barki i podniósł go z klęczek.

– Ach, wasza wysokość! – Hrabia Trocero rozpiął rzemienie hełmu, zdjął go z głowy i przycisnął do tułowia. Twarz miał szeroką i przystojną, nos i kości policzkowe wyraźnie rysowały się nad szpakowatymi wąsami. – Czy jesteś zdrow? Panie, nie uwierzysz, jakie męki przeżywaliśmy martwiąc się o ciebie! Przeszukaliśmy całą drogę odwrotu pokonanych, nie wiedzieliśmy, czy nie zostałeś zabity lub wzięty do niewoli, czy Aquilonia ma jeszcze króla, czy też połowę państwa trzeba będzie oddać jako okup za ciebie... Wybacz, panie, cieszę się, widząc cię tutaj! – Szlachcic skłonił się lekko, chwycił rękę Conana i pocałował zakrwawioną dłoń.

– Dosyć! Trocero, ostrzegam cię! – Wolną ręką Conan wymierzył przyjacielowi niecierpliwym szturchaniec tak, że rycerz zatoczył się.

– Król tak kochany przez swe wojska zajdzie daleko – zauważył stojący za plecami Conana Delvyn.

– Bzdury! Dosyć tego zuchwalstwa, karle. Ja już daleko zaszedłem! – mruknął Conan przez ramię.

– Trocero mówi prawdę, królu – potwierdził jeden z rycerzy nie zwracając

uwagi na karła. – Bardzo nam ciebie brakowało. Najbardziej baliśmy się od chwili, gdy o milę stąd znaleziono zwłoki lorda Elgina i trzech przybocznych gwardzistów. Żaden z nich nie żył i nie mógł powiedzieć, czy ocalałeś.

– Zatem Elgin też, niestety! – westchnął ciężko Conan. – Te zuchy zginęły towarzysząc mi w zasadzce przygotowanej przez rycerzy Ophiru. Byliśmy wtedy najbliższe uciekających królów, a jednak te psy nie podjęły walki! Na piekło Baaloka! – zaklął. – Dzielny Shed wyniósł mnie stamtąd, a pół mili dalej zabił go zaczajony oszczepnik. Chwała jego pęcinom, nigdy jeszcze nie było równego mu wierzchowca! – Monarcha pochylił głowę w geście niekłamanego żalu. – Ostatni zakończyłem pogoń ścigając ich na zdobycznych szkapach! Musiałem wracać pieszo, po drodze starałem się zabić tylu najeźdźców, ilu się dało. Wiem, że wielu dzielnych mężów padło, a wielu jest ciężko rannych... – tu zamilkł.

– Co z twoją zbroją, panie? Z twoją koroną? – zapytał Trocero z troską.

– Och! Pancierz zawadza jeźdźcowi bez konia! Przeszkadzał mi w machaniu mieczem, a korona jest tylko przeklętym utrapieniem! – Król rzucił gniewne spojrzenie. – Na widok korony wrogowie pierzchają albo próbują wziąć cię do niewoli, zamiast bić się z honorem. Trudno w koronie na głowie znaleźć uczciwą walkę. Rzuciłem to świństwo na stertę ciał, niedaleko od szlachetnej padliny Sheda – zirytowany Conan potrzasał zmierzwioną grzywą.

– Wasza wysokość, jeśli wolno mi powiedzieć jak przyjacielowi ... – słowa Trocera pełne były szacunku, a mina uroczysta. – Czy nie byłoby rozsądniej, Conanie, gdybyś nie napierał tak w ataku i nie wystawiał się na niebezpieczeństwo wyprzedzając armię? Walczyliśmy razem przez wiele lat i znam twoje zwyczaje, ale teraz wiele się zmieniło i byłoby rozsądniej oszczędzać się.

– Co mówisz, Trocero? Radzisz, żeby uchylać się od walki jak te tchórzliwe kury Malvin i Balt? Puszczam w niepamięć twoje słowa! – oburzenie sprawiło, że Conan wyprostował się odzyskując wiele utraconej w walce energii. – Cóż to usiłujesz mi wmówić, człowieku? Że jestem za stary i słaby, aby walczyć u boku mych wojsk? Pamiętaj, Trocero, że wciąż jestem dobrym wojownikiem, dopóki ktoś lepszy ode mnie nie postanowi dowieść, że jest inaczej!

– Nie, nie, panie, nie zamierzałem cię obrazić! Nie chodziło mi o to, że jesteś słaby! – Hrabia stał wyprostowany, kręcąc głową. – Jesteś zbyt ważny, zbyt umiłowany i cenny dla ludu Aquilonii, by ryzykować swe życie w bitwie! Gdybyś zadowolili się kierowaniem wojskami i udzielał oficerom dobrodziejstwa twego rozsądnego sądu, a nie galopował naprzód, aby osobiście zwyciężać w każdym pojedynku...

– Nie, Trocero, prosisz o zbyt wiele – twarz Conana rozchmurzyła się nieco. – Po tym jak usychałem z nudy na dworze, zaprzatając sobie głowę nie kończącym się ciągiem głupstw, potrzebuję walki i ryzyka! To czyni mnie młodszym. – Król Conan wciąż spoglądał spode łba. – Jestem zmęczony i ranny, a jednak od wielu miesięcy nie czułem się tak ożywiony jak teraz! Kiedy siwizna pokrywa skronie człowieka lub gdy spocznie na nich zdobione klejnotami złoto, to jeszcze nie znaczy, że minął wiek męski. Jestem więcej niż królem, mówię ci. Ciągle jestem wojownikiem! Kiedy przestanę nim być, skończy się moje królowanie!

– Tak, panie. Proszę o wybaczenie – hrabia skłonił się głęboko i odwrócił, aby chwycić wodze wierzchowca. – Weź mego konia, panie. W ten sposób szybciej powrócisz, aby rozchmurzyć myśli swych sług.

– Nie, Trocero. Pragnę, abys jechał u mego boku – król skinął przyjacielowi na znak zgody. – Stavro da mi swego konia, jeśli nie ma nic przeciwko temu. – Rycerz, którego imię wymienił, uklękawszy na jedno kolano wręczył królowi wodze swego rumaka. – Jestem wprawdzie cięższy od ciebie, rycerzu, ale nie mam zbroi, a zatem twoje zwierzę nie powinno być przeciążone. – Conan wskoczył lekko na siodło.

– A co ze mną, królu?! – wołał z dołu Delvyn, wymachując rękami, by zwrócić na siebie uwagę. – Moje nogi ledwie nadszają za śmiało krocącym rycerzem, a cóż dopiero za konnym oddziałem. Zostawiasz mnie tutaj bezbronno! Czy samemu mam szukać drogi do Belverus?

– Nie, głupcze, jasne, że nie! – zagrzmiął Conan. Na widok rozpaczliwej miny błazna twarz króla rozjaśnił uśmiech. – Jesteś jedynym łupem po całym dniu wspaniałej walki! Zbieraj się i jedź z nami. Trocero, czy nie zechciałbyś zarzucić go na łęk swego siodła niczym worek rzepy?

Ponure, zmęczone postacie ludzkie poruszały się wśród obozowych ognisk. Błada poświata księżycy, płomienie ognisk odbijające się na płytach zbroi, blade,

przygnębione twarze – panował tu dziwny smutek jak na obóz zwycięskiej armii. Gdy rozbrzmiał dźwięk kopyt, twarze uniosły się i rozjaśniły od uniesienia, jakie wywołało pozdrowienie wartownika.

– To hrabia Trocero... i król!

– Dzięki niech będą Mitrze, król wraca! – szmer głosów podniósł się wśród ognisk.

– Hurra! Conan żyje!

Pierwszym spośród siedzących wokół ogniska, który ożywił się na dźwięk tych słów, był wysoki, smukły mężczyzna w kaftanie i spodniach, nie miał na sobie zbroi, tylko napierśnik. Podbiegł do nadjeżdżającego monarchy, ale kiedy dostrzegł w blasku ognia wilgotną krew na piersi zsiadającego wojownika, zatrzymał się nie dotykając władcy.

– Panie, jesteś ranny!

– Bzdury, mój wierny Prospero, to tylko draśnięcie. – Conan odwrócił się, aby uścisnąć swego sługę i poklepać go przyjaźnie po plecach. – Wygraliśmy zatem, choć wiele nas to kosztowało! Jeszcze raz szlachetni najeźdźcy rozlali swą krew, by użyżnić bogatą ziemię Aquilonii! – Zwrócił się teraz do rosnącej grupy ożywionych ludzi.

Kiedy Conan mówił do zgromadzonych, usłyszał pytanie Prospera:

– A co tam masz, Trocero, czy to dziecko? A może troll z rzeki Tybor? – wzrok młodzieńca zatrzymał się na drobnej postaci, której hrabia pomagał zsiąść z wysokiego bojowego siodła.

– To karłowaty błazen z dworu króla Balta – wyjaśnił Conan. – Złapałem go na pobojowisku, bezradnego niczym mysz z ogonem w pułapce. Jeśli go zatrzymamy, dostarczy nam trochę rozrywki.

– Owszem, mogę to zrobić – zgodził się Delvyn, pyszniąc się w tłumie rycerzy jak równy między równymi. – Mój były pan nie będzie miał ze mnie pożytku w najbliższym czasie, bowiem teraz zapewne odpoczywa i odmładza się w towarzystwie lubieżnych dziewczek w haremie lorda Malvina w pałacu w Ianthe – karzeł popatrzył wokół z wyrazem niewinności na twarzy. – Tam właśnie planowali wycofać się na wypadek, gdyby zostali pokonani przez zachodniego króla o potężnych pięściach, co zresztą uważali za mało prawdopodobne.

Żart nie wywołał wśród słuchaczy śmiechu, lecz złowrogi pomruk.

– Milcz, łajdaku – warknął jeden z rycerzy.

– Zdaje się, że te zdradzieckie psy uniknęły zasłużonej kary – mruknął inny. Niespodziewanie Trocero poruszył istotną sprawę.

– Królu Conanie, musimy odzyskać twoją koronę.

– Tak – przyznał Conan. – Poślemy jezdnych po tę błyskotkę. Powiedz, że znalazca otrzyma talent złota, to uprości sprawę. Ale niech się nie pozabijają, bo nagroda przepadnie!

Wydano rozkaz, co spowodowało poruszenie w obozowisku. Z kolei Prospero podniósł istotną kwestię o znaczeniu praktycznym.

– Dzięki łasce bogów i twemu dowództwu, Conanie, potrafiliśmy pokonać obu wrogów. Myślę, że są na tyle osłabieni, że nie będą w stanie dalej realizować swych planów. – Poitańczyk uśmiechnął się i machnął z lekceważeniem ręką. – Ale jak wiesz, mój panie, mamy jeszcze piesze kompanie, które nadciągają tu z połnocnej granicy, a także świeży zaciąg z mojej prowincji. Mogę posłać im wiadomość, żeby wracali...

– Nie, Prospero, nie odsyłaj jeszcze posiłków. – Conan zapatrzył się zamyślony w ognisko. – Kraj za nami jest bezpieczny, a nasze forty graniczne są dobrze obsadzone. Jednak Aquilonia doznała obrazy ze strony Nemedii i Ophiru. Zastanawiam się, jak najlepiej zakończyć tę sprawę i zabezpieczyć nasz kraj przed najazdami w przyszłości.

Rada przeciągnęła się długo w noc, jej uczestnicy posilali się kwaśnym winem i gulaszem. Tymczasem jeźdźcy bładzili po równinie Tybor, szukając skarbu wśród porąbanych ciał.

3. POWRÓT DO DOMU

Pałac królewski w Tarancji roił się od drżących cieni rzucanych przez światła pochodni. Sklepienie sali jadalnej niczym bęben odbijało echo dzikich rytmów. Na środku wielkiej sali, przed stołem króla Conana, zwinnie czarne tancerki z Kush wyginały się w dzikich płasach. Tańcząc obserwowały, równie uważnie jak królewscy goście, mężczyzn z własnej trupy, którzy wewnątrz ich kręgu wykonywali

szaleńczy taniec z włóczniami i pochodniami.

Ciemnoskórzy południowcy wyginali się i miotali niczym demony, przeskakując nad i pod grotami włóczni, cudem umykając płomieniom. Wymachiwali włóczniami, kręcili młynki, wymieniali się bronią, by w końcu skrzyżować długie groty w stalowy ruszt. Na szczyt tej grzędy wskoczył najzręczniejszy z tancerzy. Był boso, rozłożył ramiona, a jego ciemna skóra błyszczała od potu. Kiedy w końcu umilkły drewniane bębny, ciszę, jaka zapadła na sali, przerwały okrzyki i wiwaty publiczności. Goście wstając wznosili wysoko puchary i pili zdrowie tancerzy.

Pierwszy tancerz wykonał, ku zachwytowi publiczności, efektowne salto. Teraz sam król Conan wstał zza stołu.

– Wspaniałe przedstawienie, ludzie z Kush! – rzekł. – Lepszego nie widziałem nawet w czasach, kiedy sam panowałem jako król nad częścią waszej odległej ojczyzny. Zapamiętałem jednak pewną sztuczkę, której nie widziałem dzisiejszego wieczoru.

Oparł się ręką o blat stołu i lekko go przeskoczył. Jego stopy odziane w miękkie buty z łatwością ominęły puchary i dzbany z winem. Poprawił złotą obręcz na pokrytym bliznami czole i ruszył naprzód. Wśród smukłych tancerzy jego barczysta figura wyglądała imponująco.

– Zapomnieliście tego? – wziął z rąk Kushytów dwie włócznie o długich grotach i zaczął obracać je w dłoniach, cofając się powoli, aby żaden z widzów nie znalazł się w zasięgu ostrzy. W pewnym momencie groty wirujących włóczni stworzyły przecinające się kręgi podobne do płomieni. Widząc to, tancerze i goście zareagowali śmiechem i oklaskami.

– A teraz żebyście nie myśleli, że ryzyko, na jakie ważą się ci wojownicy, to tylko zabawa! – król zrecznie zatrzymał świszczące włócznie i trzymając po jednej w każdej dłoni skierował groty w dół. Potem naprężył potężne ramiona, wygiął całe ciało naprzód i cisnął jednocześnie oba pociski, wydawało się prosto w twarze przerażonych widzów. Włócznie przeleciały nad salą i wbiły się z trzaskiem w obite skórą oparcie tronu, na którym król dotąd siedział.

Widzowie wynagrodzili popis oklaskami, rozległy się westchnienia zdumienia i ulgi. Śmiano się z dworzan, którzy siedzieli najbliżej tronu, a zwłaszcza z siwobrodego kanclerza Publiusza, który wystraszony przewrócił się razem z krzesłem. Teraz powstał on z ponurą miną i otrząpywał się z kurzu, w czym pomagało mu dwoje równie wystraszonych służących, którzy ze strachu upuścili tace.

Tylko jedna z osób siedzących za stołem Conana udała, że nic się nie stało. Była nią Zenobia, dostojna królowa, siedząca obok tronu na krześle z kości słoniowej. Poprawiła swe długie czarne włosy i wyprostowała się z godnością. Inna niewzruszona twarz należała do karła Delvyna usadowionego tuż za Publiuszem po lewicy króla. Jednak całkiem inaczej było, kiedy włócznia zmierzała w jego stronę. Karzeł nie tylko dał nurka pod blat stołu, ale ku rozbawieniu dworzan schował się na dodatek za jedną ze stołowych nóg.

– Dobrze, Aquiloncezycy, możemy dalej ucztować. – Król odesłał tancerzy i powrócił na swoje miejsce, przeskakując ponownie przez stół, po czym pomógł sługom wyciągnąć ostrza z oparcia. W końcu usiadł na swoim miejscu i zajął się daniem, których nie zdążył spróbować.

– Co o tym myślisz, Zenobio? – zwrócił się do królowej przerywając ogryzanie wołowego udźca, który ścisnął w dłoni. – Czyż nie jest radosna ta ucztka z okazji tryumfalnego powrotu? Wiele miesięcy minęło, odkąd nasz ponury pałac ostatni raz oglądał coś podobnego.

– Tak, Conanie, to wspaniałe przyjęcie, chociaż uroczystość można było lepiej przygotować. A poza tym nie jest to prawdziwy powrót do domu, skoro tylu twoich panów i oficerów pozostało z wojskami na wschodniej granicy. A ci twoi tancerze z Kush, to wspaniały pomysł, prawdziwie... barbarzyńskie widowisko.

– W istocie – przytaknął król z miną niewiniątka i sięgnął po kielich wina. – A mój podwójny rzut prawie się udał, chociaż, na Croma, nie do końca! Miło mi widzieć, że się nie boisz, kochana. Mógłbym jednak wymienić kilka osób, które nie wykazały się taką odwagą.

Ostatnim słowem towarzyszyło pełne wyrzutu spojrzenie skierowane w stronę kanclerza Publiusza, którego chude ramiona zadrżały z oburzenia.

– Wasza wysokość zechce wybaczyć mój brak wiary, ale przypominam waszej wysokości, że taka zabawa bronią nie należy do obyczajów dostojnego dworu Aquilonii, więc byłem nie przygotowany. Nie obawiałem się twego zamiaru, panie, obawiałem się tylko, że chybisz – kwaśny grymas poruszył siwą brodę kanclerza.

– Chcesz powiedzieć, że moje ręce stają się z wiekiem słabe i niepewne. – Conan roześmiał się krótko. – Myślisz, że czas uczynił mnie równie kruchym i słabym jak ciebie? – Pytania króla były zadane w żartach, ale dało się odczuć, że jest rozdrażniony, być może za sprawą wina. – Tu się mylisz, starszku...

– Dosyć, Conanie, nie unos się! – królowa Zenobia przytuliła się do męża, próbując go uspokoić. – Publiusz nie miał zamiaru obrażać cię, kochany! Wie równie dobrze jak ja, ile radości sprawiają ci wszelkie popisy i jak musisz zawsze dowodzić wszystkim, że twoja moc jest większa.

Pod wpływem jej pieszczot król opadł na podziurawione oparcie tronu. Uśmiechnął się i na znak przebaczenia skinął wołowym udźcem. Tymczasem za plecami Publiusza rozległ się piskliwy głos:

– A co się tyczy mego nagłego zniknięcia podczas twego popisu, szlachetny królu, to choć niektórzy mogli uznać je za przejaw tchórzostwa, a jest to podłe oskarżenie, za które z pewnością zdołam ich ukarać, zapewniam cię, że udałem się pod stół jedynie po moją lutnię, aby móc ofiarować ci w hołdzie pieśń – rzekł karzeł Delvyn stając na siedzeniu krzesła

– A zatem pieśń! – ogłosił Conan, prostując się w krzesle, aby uciszyć towarzystwo. – To coś stosownego na ucztę zwycięstwa! Zważajcie na słowa i akordy, wesółkowie. Ten mały człowieczek jest wyjątkowym błaznem!

Kiedy przebrzmiały słowa króla i śmiech przez nie wywołany, Delvyn uniósł instrument o owalnym pudle. Uderzył w struny i dobył niesamowity ton, przypominający wycie wiatru nad zachodnim wybrzeżem. Donośnym, piskliwym głosem obwieścił tytuł pieśni, potem przybrał ton bardziej płaczący i zaśpiewał jękliwie.

Berło z kości wołowej

Rozbójnik tu przybył z burzliwej Północy
i zdusił monarchę gołymi rękami.
Królewski bandyta dziś rządzi tu już,
choć Aquilonia to nie dziki kraj Kush.

Berłem zwykł walić po łbach
ów Conan Rębajło, zuch, że aż strach.
Wołową kość, miast brązu lub stali,
Daj mu, by się swą mocą pochwalił.

On jednym machnięciem zwycięży królestwo,
gdy władca się sroży, ty nurkuj pod krzesło.
By sztukę rządzenia objawił ów chwyt,
miast berła mu dajcie wołowy gnąt!

Kiedy słowa pieśni ucichły i przebrzmiał ostatni akord, słuchacze wstrzymali oddech, nie wiedząc jak zareagować. Król parsknął śmiechem, co pociągnęło za sobą lawinę chichotów, gwizdów i bębnienia w stół. Oklaski nie zdołały zagłuszyć komentarzy krytycznych:

– Wstrętny wierszyk, doprawdy!

– Zgoda, ale nie najgorszy jak na tę chwilę. Tyle w nim zółci.

Znad głowy karłowatego minstrela dobiegł osąd Publiusza:

– To nie licuje z godnością korony. Niezbyt to stosowny hołd dla naszego zwycięstwa na polu bitwy! Spodziewałem się bardziej natchnionej ballady czy hymnu sławiącego nasz tryumf.

– Ale czy nasze zwycięstwo jest pewne? – zauważył hrabia Trocero przechylając się w stronę Conana i kanclerza na krzesle stojącym obok krzesła Delvyna. – Nie doszła do nas prośba o zawieszenie broni ani żadna propozycja ugody ze strony wschodnich królów.

– Ugoda! – parsknął Conan, aż wzdrygnął się kanclerz Publiusz. – Oto jaki warunek ugody mogę postawić: miecz wbity w ich cuchnące gardła!

– Wasza wysokość, w dyplomacji nie zawsze najrozsądniej jest doprowadzać spór do ostateczności – z poczucia obowiązku upomniał monarchę kanclerz. – Lepiej dać przeciwnikowi możliwość wycofania się. Wszak wiemy, że naszego ostatniego przeciwnika lorda Malvina do ataku na Aquilonię skłonił rosnący nacisk ze wschodu – stary kanclerz potrząsnął siwymi długimi lokami.

– Ze wschodu? – zdziwił się Conan. – Myślisz o Koth?

– Tak, królu – przytaknął Publiusz. – Może sobie przypominasz, że rozmawialiśmy o tym trzy tygodnie temu, przed całym tym zamieszaniem związanym z napaścią. Młody książę Armiro, pochodzący z Khoraji nowy satrapa Koth, od pewnego czasu prowadzi wojnę odbierając Malwinowi tereny na wschodzie.

– Ach, więc to tak – włączył się do rozmowy Trocero. – Młody Armiro to zręczny intrygant i ma duże zdolności przywódcze. Nie zadowalała go władza w Khoraji, ważył się zatem sięgnąć po panowanie nad całym kothyjskim imperium. Ciasno mu i w tych granicach, więc nęka Ophir. To prawdziwy podżegacz.

– Słyszałem o Armirze – przytaknął Conan w zamyśleniu. – Wydało mi się jednak, Publiusz, że twoje doniesienia o tarciach granicznych między Ophirem i Koth były przesadzone – zakłopotany zmarszczył brwi. – Czy miałyby sens, by lord Malvin, zaangażowany w walki na wschodniej granicy, rozpoczynał jednoczesne działania na zachodzie i to przeciwko tak silnemu wrogowi jak my?

– To spowodował mój poprzedni władca. Król Balt twierdził, że pragnie nowego podziału terytoriów zachodnich, aby utworzyć barierę osłaniającą wystawione na ciosy niziny w dorzeczu Tybor – skrzekliwy głos Delvyna zaskoczył większość rozmawiających. Karzeł spokojnie powiódł wzrokiem po zdziwionych jego rozumowaniem twarzach słuchaczy. – Jak zapewne wiecie, Nemedię osłaniają góry na zachodzie i południu, ale nie od strony doliny Tybor – kontynuował wypowiedź. – Ten stary pies nazywał to „poprawą granic”. Balt uczynił ją warunkiem sojuszu, którego głównym celem była pomoc Ophirowi przeciw Koth. Najpierw jednak lord Malvin miał mu pomóc w ataku na wasze królestwo. Ophir miałyby, oczywiście, udział w podziale łupów, ale pomysłodawcą był stary zrzęda Balt.

– Ach, to tak się sprawy mają! – Conan trzasnął pięścią w stół, aż wylało się wino z ciężkiego, kryształowego puchara. – Do diabła z nikczemnym gburem Baltem i zniewieściałym Malvinem! Ważne, że utarliśmy im nosa!

– Armiro z Koth też tak myśli, panie. Jego armia tropi właśnie ophirskiego jelenia zranionego strzałami bossońskich łuczników – zauważył spokojnie Publiusz.

– Już zaczęli? Wiesz coś o tym? – Conan zwrócił na kanclerza świdrujące spojrzenie. – Wiem, Publiusz, że ty tu w stolicy otrzymujesz wiadomości szybciej niż nasi zwiadowcy na wschodniej granicy!

Kanclerz wzruszył ramionami.

– Nie trudnego, wasza wysokość. Poseł koryncki otrzymuje dyspozycje za pośrednictwem gołębi pocztowych, a jego wysłannicy trafiają czasami do mojego garnka. List przechwycony dziś rano donosi, że kothyjska armia maszeruje przez południowy Ophir i w stronę stolicy Ianthe. Wojska króla Nemedii pozostają na południowych rubieżach, ale sprzymierzeni królowie niezbyt rwą się do walki.

– Najpewniej ugrzęźli w Ianthe – roześmiał się mściwie Delvyn. – Nie wiedzą, czy uciekać na wschód, czy na zachód, czy też czekać na oblężenie! To do nich podobne, jakbym ich widział, wdzięczący się Malvin i mój pijany dawny pan.

– Na Croma, zamilczcie na chwilę! – zawołał Conan. – Czy mam przez to rozumieć, że w chwili kiedy tutaj siedzimy, królestwo Ophiru, które pokonał na polu walki, jest właśnie rozdrapywane od wschodu? A owoce naszego zwycięstwa zbiera jakiś chłystek? I zanosi się na to, że naszym sąsiadem, gorszym od obecnego władcy Ophiru, zostanie to żarłoczne, niespokojne książątko?

Widząc spokojne przytakiwania swoich doradców, Conan zmarszczył brew i potrząsnął czarną grzywą.

– Jeśli to prawda, to czas wytrzeźwieć. Jednak rozkazuję poczekać z trzeźwieniem do jutra, do południa. Dajcie wina, podczaszowie!

Król strzelił palcami przynaglając sługi, a uczta trwała dalej. Kiedy skończył się strumień napływających z kuchni półmisków, wezwano nową trupe tancerek i muzykantek. Te, lepiej znane dworzanom, wywodziły się z haremu, jaki utrzymywał przed pojawieniem się królowej Zenobii.

W trakcie występu ich kostiumy stawały się coraz bardziej skąpe, a repertuar ograniczył się do najprostszych figur. Wkrótce, przy dźwięku bębenków i fujarek, dziewczęta rozbiegły się po sali i zaczęły tańczyć na stołach przed rozentuzjzowanymi widzami.

Wokół tronu króla tańczyły dwie najzręczniejsze tancerki. Skacząc i wirując zarzucały mu szale na twarz. Zrzuciły spódniczki i powiewały przed nim luźnymi staniczkami, by lepiej ukazać królewskiemu wzrokowi wdzięki swych gibkich ciał. Król patrzył na nie z zachwytem, pieścił i przytrzymywał, kiedy tylko mógł, rozpierając się w krześle i głośno zachwalając ich umiejętności.

– Wspaniale, Moro, gdzie nauczyłaś się tej sztuczki? Świetnie ci idzie,

dziewczyno! Lilith, nie przemęczaj się, chodź tu, dziewczko, spocznij na mych kolanach! Dawno nie rozmawialiśmy na osobności.

Jasnowłosa kusicielka rzuciła jedno spojrzenie na królową cierpliwie przyglądającą się tej scenie i wirowała dalej poza zasięgiem królewskich ramion. Wkrótce, na dyskretny ruch dłoni o pomalowanych na czerwono paznokciach, obie tancerki oddaliły się, aby kusić innych gości. Zenobia podniosła się z krzesła, a jej pocałunki i pieszczoty wywiódł wstawionego Conana do sypialni na górze.

Wielu biesiadników zaczęło wychodzić, przeważnie parami, wiedzeni żądzą rozkoszy. Doradcy Conana wyszli nieco wcześniej. Stoły biesiadne pozostały do dyspozycji kilku wytrwałych gości, kawalerów i samotnych podróżników. Tancerki rychło zaczęły ich pocieszać. Jedna z nich, najniższa i najpulsniejsza, zajęła się Delvynem. Kiedy jednak poczęła okazywać mu pierwsze oznaki głębokiej przyjaźni, karzeł z wyrazem wstrętu na twarzy zeskoczył z krzesła wymachując lutnią jak bronią. Skrył się w ciemnym kącie przy kominku, skąd jego zielone oczy połyskiwały gniewnie przez resztę nocy.

– Ludzie na dworze mówią, że nie jesteście dobraną parą, mały człowieczku.

Conan siedział za stołem we wschodniej wieży, przysłuchując się, jak Delvyn brzdąka na lutni. Światło poranka padało na piętrzące się przed królem zwoje i pergaminy. Za oknem rozpościerał się widok błękitnego nieba i zielonych liści poruszanych lekkim wiatrem. Król pracował podpisując rozkazy strusim piórem i pieczętując je czerwonym woskiem topiącym się w ogrzewanym świecą tygielku. Z cienia, w którym siedział jego towarzysz, dobiegały akordy dziwacznej melodii.

– Ludzie zawsze będą strzępić języki, szczególnie zawistni – odparł karzeł. – Zresztą nic dziwnego, skoro do naszego spotkania doszło za sprawą szczęśliwego przypadku – minstreł dobył z instrumentu zew dzikiego, zachodniego wiatru. – Gdyby nie kiepski woźnica rydwanu, źle dopasowana zbroja i kaprys barbarzyńskiego króla włóczącego się samotnie po poboju, nie żyłbym już albo występowałbym w Ianthe czy Belverus przed bandą ogłupiających szlachciców i ich kapryśnych kokot.

– A jednak, przyjacielu, w naszym spotkaniu dostrzegam palec przeznaczenia – spokojnie zauważył Conan. – Wiele mamy ze sobą wspólnego. Na przykład, ja też miałem kiedyś kłopot ze znalezieniem zbroi, która by na mnie pasowała.

Delvyn, zamiast roześmiać się, uderzył źle nastrojoną strunę.

– Możesz przypisać hojności Melvina jako gospodarza i prostackiej niedbałości Balta to, że nie zostałem odpowiednio wyposażony – powiedział wracając do poprzedniej melodii. – Cóż to za niedbały władca, który w przeddzień bitwy pozostawia swego najzjadlejszego wojownika bez broni i wierzchowca, pytam wasza wysokość? – narzekania karła były szczere.

– Walczyłbyś dzielnie dla swego króla, jestem tego pewien – zgodził się Conan.

– I walczyłem! – odburknął ostro Delvyn.

– Tak, oczywiście, ale teraz w twoich słowach niewiele pozostało czci dla niego i jego sojusznika – król wyjrzał zza sterty dokumentów. – Kiedy tak źle mówisz o nich pod ich nieobecność, to zastanawiam się, jak mówisz o mnie za moimi plecami?

Delvyn wydobyl ze swego instrumentu płaczliwy akord.

– Czy dziwi cię to, o Królu Wyciskaczu Flaków? Wiesz przecież, że prosto w twarz też mówię o tobie źle?

Blisko osadzone oczy spojrzały z mroku na Conana. Król parsknął śmiechem. Kiedy się uspokoił, pociągnął łyk piwa z kufła i powiedział:

– Dobrze mówisz, dzielny Delvynie! Król uczy się cenić szczerą ponad wszystko, szczególnie u błaznów, których tylu go otacza. Nie przeszkadza mi twój ostry język, dopóki zaręczysz mi, że nie muszę obawiać się z twojej strony szpiegowania ani zdrady – po tych słowach król rzucił poważne spojrzenie na karła siedzącego na okutej mosiadzce skrzyni.

– Żadnego szpiegowania, królu, ani zdrady jawnej czy skrytej. – Delvyn zmienił nieco tony pobrzękiwania, ale nie spuścił wzroku. – Niepotrzebne mi takie kręte wybiegi, zapewniam cię. Nie czuję więzów ani wierności wobec króla Balta ani tego szakala Malvina – mały człowieczek podciągnął krótkie nóżki na siedzenie, nie przerywając smutnego finału granej melodii. – Będę z tobą szczery, panie. Dostyc napatrzyłem się ich nieudolnym i podłym rządcom. Mam przyjaciół w Ianthe i Belverus, którzy myślą tak samo.

– Zaiste, mały człowieczku. Dużo wiesz o zwyczajach królów – król Conan w

zamyśleniu popatrzył na karła, po czym znowu skierował wzrok na dokumenty. – Mając takie doświadczenie, co sądzisz o moim królestwie?

– Aquilonia? Znośny kraj, Conanie Łamaczu Karków. – Delvyn niemelodyjnie pbrzękiwał na lutni, jakby błędząc w gąszczu nut zbędnych czy zapomnianych. – Z pewnością jest to bogaty kraj. A jednak łatwo dał się ujarzmić i obłaskawić czkajacemu i skłonnemu do bójek dzikusowi z nędznych północnych rubieży. Dziwne połączenie: naród, który tworzy najwspanialsze dzieła hyboryjskiej kultury i sztuki, drży przed zaciśniętą pięścią nieokrzesanego cudzoziemca! Typowy przypadek dominacji brutalnej, barbarzyńskiej siły nad kapryсами rozwiązałej cywilizacji.

– Szanuję sztuki, mały człowieczku, nie wyłączając twoich brzdąknięć i brzdęknięć – przerwał Conan. – Wiesz, że odkąd zostałem królem, nauczyłem się pisać i nawet wziąłem się za układanie sag niczym bard.

– Niewątpliwie to twoje wielkie osiągnięcie. Wielu monarchów i wodzów bierze się za takie rozrywki, kiedy osiągają kres sił i ambicji – głosowi karła towarzyszyło leniwe brzdąkanie. – Kiedy człowiek porzuca zajęcie, dla którego został stworzony, może uznać za równie podniecające działanie z mniejszym skutkiem na innym polu. Takie zajęcia potrafią zmniejszyć brzemię próżniactwa i przesyty.

– Ty kanalio, nazwałeś mnie próżniakiem? – Conan spojrział znad stołu. – Dlaczego, przecież haruję tak ciężko, jak tylko potrafię, a ledwie daję sobie radę z czarami i buntami w kraju i zachłannymi królami na granicach! – Wstrząsnął swą czarną czupryną. – Dawno temu nauczyłem się, że tron jest jak drzemiacz tygrys, łatwiej go dosiąść niż jechać na nim! – Znów gniewnie potrząsał głową, a jego ciemne włosy otoczyły zachmurzone oblicze. – A przesyty, cóż, nic dziwnego, że jestem syty, całe życie włóczyłem się w poszukiwaniu skarbów i dostatku. Teraz, dzięki czynom mego życia, posiadam władzę i majątek, jakie zadowoliliłyby każdego!

– Tak, Królu Grabicielu Sakiewek, każdemu, co mu się należy. – Delvyn pociągnął nosem. – A jednak, na tle świata, twoje królestwo nie jest niczym wyjątkowym. Na przykład, nie jest bogatsze niż Turan i nie większe niż daleki Khitai. Zastanawiam się o ileż większe musiały być potrzeby i pragnienia władców tych krain, skoro osiągnęli więcej niż ty przy całej twej barbarzyńskiej zachłanności? – Ponownie szarpnął źle nastrojoną strunę lutni. – Powiedz mi, królu, czy władza i skarby, jakie posiadasz, naprawdę ci wystarczają?

Conan włożył pióro do kałamarza, z trudem hamując rozdrażnienie.

– Niech cię Crom przeklnie, mały człowieczku! Czegóż chcesz się dowiedzieć przez to wścibstwo?

Karzeł wzruszył ramionami.

– Chciałem po prostu zbadać, Królu Złodzieju Złota, czy jesteś naprawdę władcą wyjątkowym, czy tylko zwyczajnym – drobną dłonią dobył z lutni garść nut. – Wiesz przecież, że świat pełen jest dzielnych dowódców, zdolnych dworskich intrygantów, wspaniałych kapłanów i magów, a jeśli chodzi o królów, to raczej nie są oni zbyt utalentowani. Zdobywają władzę drogą dziedziczenia lub uzurpacji, utrzymują ją albo tracą a w każdym razie nie robią nic godnego uwagi, skoro zostaną królami. Zwykle mają już za sobą swoje największe czyny. Często władza monarsza oznacza dla nich zdziecinnienie jak dla starego zrzędy Balta albo jest bagnem próżności i zmysłowego zapomnienia jak dla Malvina. Otaczają ich wygody, które są więzieniem dla mężczyzny, oraz zazdrośni przyjaciele, doradcy i rodzina. Otoczenie takie prowadzi do tego, co wcześniej nie stałoby się za sprawą żadnego wroga czy wysiłku; obłaskawia i rozbraja żarłocznego samoluba, który stał się królem. – Delvyn z rozbawieniem potrząsał głową. – To prawda, że większość ludzi pragnie wygody i bezpieczeństwa, ale gdy król poddaje się bogactwu i spokojowi, to, królu, oznacza dlań coś gorszego niż śmierć.

Przez cały czas, kiedy Delvyn mówił, Conan siedział i ściągawszy brwi wsłuchiwał się w tę mieszaninę słów i niemelodyjnych dźwięków. Porzucił pracę i myślał.

– Przyszło mi do głowy, Królu z Mieczem Zawieszonym na Ścianie, że w tobie dostrzegam ducha, który nie da się tak łatwo obłaskawić. Jesteś w końcu nie tylko potężnym chłopem, ale także szcwanym i bezlitosnym wojownikiem wolnym od moralnych niepokojów i skrupułów, które słabi nazywają „cywilizowanymi”.

Delvyn przerwał na chwilę, a Conan czuł, że karzeł świdruje go z kąta swym nieodgadnionym spojrzeniem.

– Z tego, co słyszałem o twoich wyczynach i szczęściu, można by wnosić, że

przejawia się tu moc jakiejś niewidzialnej siły. Sam nie jesteś czarodziejem, ba, ogólnie znana jest twoja chłopska niechęć do wszelkich rodzajów magii, można więc sądzić, że mamy do czynienia z czymś bardziej tajemniczym, z dotknięciem bogów. Czy jesteś tego świadom, czy nie? Dziwna to myśl, a jednak wydaje się, że inaczej nie sposób wytłumaczyć tak szybkiego i zaskakującego wyniesienia kogoś, tak nie pasującego do majestatu i wysokiej pozycji.

Jeśli istotnie cieszysz się łaską bogów, tym nieuchwytnym darem, do którego wielu królów rości sobie niesłuszne pretensje, opierając się przy tym na mniej przekonujących dowodach, to rodzi się nieuchronne pytanie: jakiemu celowi ma to służyć? Czy powstałeś z barbarzyńskiej ciemnoty, aby zgnuśnić tu wśród wygod, jakie przystoją kobietom, trapić się przyziemnymi, codziennymi sprawami i zadowalać bogactwem i władzą jakie już posiadasz? Zaprawdę, królu, czy twoim udziałem jest dojść tak daleko i zatrzymać się? Czy też twoim przeznaczeniem jest osiągnąć coś więcej, być może coś, czego nie osiągnął jeszcze żaden monarcha na ziemi?

Bo też jest to mały światek, królu, przynajmniej ten obszar, który znamy. Jest niewiele większy niż senna wioska zmęczonych, spokojnych królów. Nie było nigdy człowieka, który rządziłby czymś większym niż jakaś odmierzona, ograniczona część świata, nie szersza niż pięść na tych mapach, które wy, królowie, tak lubicie rysować i poprawiać jaskrawym atramentem czy jeszcze jaskrawszą krwią. – Delvyn przestał brzdąkać i wskazał lutnią mapę przyczepioną do ściany przy oknie.

– Mów dalej, karle! Dokąd to mnie prowadzisz? – głos Conana brzmiał matowo, słychać w nim było nutę rezygnacji.

– Właśnie tłumaczę waszej wysokości, że skoro jest to tylko taki marny światek, to dlaczego miałby posiadać więcej niż jednego władcę? A kto byłby lepszy na tym miejscu od ciebie, Królu Miazdźcytelu Czaszek? Czyż nie jest to twoje oczywiste, nieodwołalne przeznaczenie, dla którego bogowie tak pilnie ratowali cię przed twoją własną krwiożerczą furia?

Zanim Conan zdobył się na odpowiedź, zapadła dłuższa chwila ciszy. Król siedział w bezruchu za stołem do pisania, zwrócony w stronę Delvyna usadowionego pod ścianą pomieszczenia. Cymmerianin nawet w szarym sukienym kubraku, ściągniętym pasem ze sztyletem i w skórzanych sandałach, wyglądał jak król w każdym calu. W końcu przemówił, a w jego głosie zabrzmiała surowa powaga:

– A jaką część świata mam zostawić dla ciebie, mały człowieczku? Jaki ma być twój udział w moim boskim przeznaczeniu?

Delvyn ponownie szarpnął struny lutni.

– Czyż nie jest to dla ciebie jasne, panie? Jestem tylko błaznem. Dla błazna jedyny sposób by być wielkim, to być błaznem wielkiego króla. A ja mam zamiar być największym z błaznów wszech czasów.

4. POŻEGNANIE

– Król jest ostatnio bardzo zamyślony, Trocero.

– Tak, Prospero. Myślałem, że w chwale odniesionego zwycięstwa okaże się bardziej jowialny.

– Prawda. Zdawać by się mogło, że udana kampania powinna go wprawić w lepszy nastrój, a tymczasem jest bardziej posępny niż zwykle. Ciekaw jestem, co go gryzie?

Obydwaj szlachcice, popijający popołudniowe wino na tarasie nad wejściem do pałacu, trwali przez chwilę w milczeniu. Trocero siedział na spłowiałym drewnianym krześle, ramiona miał zgięte, łokcie oparł na kolanach i pozwalał słońcu grzać swój szeroki grzbiet. Prospero jedną stopę oparł na blankach i obserwował spokojną krzątanicę na pałacowym dziedzińcu.

– Zapewne dzieje się tak za sprawą zgubnego wpływu, jaki wywiera nań ten przeklęty karzeł. Nie ufam Delvynowi – oświadczył Trocero.

– Myślisz, że jest szpiegiem? – spytał Prospero odchodząc od blanków i rozglądając się za drugim krzesłem.

– Szpiegiem? – powątpiewająco mruknął hrabia. – Tak, z pewnością, jeśli szpiegostwem nazwać podsłuchiwanie i rozpowszechnianie oburzających potwarzy. Dlaczego to robi, czemu ma to służyć, trudno powiedzieć, bo Delvyn niewiele spotyka się z kimkolwiek na dworze poza królem.

– Powiedział nam wiele o naszych wrogach i nie sposób dowieść, że cokolwiek z tego jest nieprawdą.

– Zrobił to, aby zdobyć nasze zaufanie! Teraz wie o naszych planach dosyć, by stanowić zagrożenie, jeśli się go wypuści. To dlatego Conan przestał wspominać o odesłaniu go do Nemedii w zamian za okup.

– Cóż, Delvyn jest za mały i zbyt rzadko rzuca się w oczy jak na zawodowego mordercę. – Prospero oparł plecy o rozgrzany kamień. – Być może naszego króla przygniata jedynie brzemień wieku średniego i zbyt łatwych tryumfów. W końcu nic w tym dziwnego, że monarcha bierze na służbę błazna.

– Tak, ale zauważ, że ten błazen nie błaznuje i nie jest głupi – hrabia dopił wina i postawił kielich na ziemi obok krzesła. – Potrafi zdradziecko wywęszyć ludzkie słabości i grać na nich. Kto wie, jaki był jego udział w klęsce poprzedniego pana? A jawne lekceważenie, jakie okazuje Conanowi... To oburzające!

– Cóż, przyjacielu! Wiesz przecież, że na tym polega wartość błazna. Król, zwłaszcza tak wielki jak Conan, potrzebuje odtrutki na ciągle pochlebstwa. Lubi, kiedy ktoś poniży go odrobinę! Tęskni za tym, aby się z niego śmiano, a nas, którzy nie jesteśmy karłami, nie stać na to.

– Miałbyś rację, gdyby ten karzełek naprawdę rozweselał króla. Ale wydaje się, że robi zupełnie coś przeciwnego, przynajmniej na dłuższą metę. Spostrzegłeś chyba, że w otoczeniu Conana bez przerwy rozbrzmiewają te przeklęte brzdąkania, gdziekolwiek by się znajdował, w namiocie nad Tybor czy w czasie marszu do domu. Posłuchaj tylko! – Trocero spojrział w górę na okno wschodniej wieży. – Jeden Mitra wie, jakie diabelstwa szepce królowi do ucha i jakie czarodziejskie zaklęcia niesie jego dziwaczna muzyka.

– Cóż to, cóż to, panie hrabio, miejże trochę wiary w naszego króla – roześmiał się Prospero. – Nikt nie brzydzi się czarami bardziej od Conana. I na jakiejś to słabości mógłby zagrać ten diabełek? Jaka widzisz słabość u tego zwycięskiego władcy kwitnącego królestwa, głowy oddanego dworu i rodziny? Śledźmy bacznie Conana, kiedy się z nim spotykamy, i przekonajmy się, czy jego osąd w sprawach wojny i dyplomacji stał się głupi albo tchórzliwy. Jeśli tak, to z nim porozmawiamy, jeśli nie, to niech cieszy się swoim karłem. Zbliżają się wielkie przedsięwzięcia, które będą próbą dla jego panowania.

Jeśli sądzić po barwie nieba, niedawno zapadł zmrok lub noc była wyjątkowo jasna. Ale nie była to zwykła aquilońska noc. W czerni spoczywającej nad horyzontem, w posępnym wyciu wichru było coś obcego. Rozmyta tarcza księżyca jarzyła się w połowie drogi do zenitu. Rozpływające się w mroku czarne kolumny rzucały groźne cienie na potrzaskane płyty podwórca.

Wiał porywisty, przenikliwy wiatr, ale żadna roślina nie poruszała się pod jego wpływem. Nie falowały źdźbła traw, nie uniosła się ani garść zeschniętych liści. Ruch powietrza można było zaobserwować jedynie śledząc smugi jasnego pyłu na kamieniach i na powierzchni wody w sadzawce położonej na środku dziedzińca.

Samotna postać posuwała się wolno naprzód. Na tle ogromnych ruin wyglądała na małą i bojaźliwą. W tym przybytku zapomnianych bogów była zbyt mała i krucha, nawet jak na zwykłego śmiertelnika.

– Kthantosie? – zaskrzeczał cienki głosik, którego właściciel wyraźnie próbował nadać mu męzne brzmienie. – O Starszy, dlaczego musiałem tu przyjść? Nie zaklinałem ciebie, Kthantosie!

Odpowiedź na to pytanie nie została wypowiedziana. Wypłynęła raczej niczym bąbel wśród oleistych bryzgów na powierzchnię czarnej sadzawki falującej przed pytającym.

– Zaklinałeś, mówisz? – śmiech w postaci gejzeru grubych bąbli wytrysnął, przerywając głuche, bulgotliwe słowa. – Ludzie zaklinają demony, śmiertelniku! Bogowie zaklinają ludzi!

– Zawsze do tej pory to ja ciebie wzywałem. – Mała, zgarbiona postać zatrzymała się w rozsądnej odległości od krawędzi sadzawki. Wiatr ucichł, a jednak ciemna woda ciągle falowała od bąbli. – Czy możliwe, aby twoja siła już urosła, Kthantosie?

– Tak powinno być z siłą boga, który ma więcej wyznawców, niż miał poprzednio – zakipiały mocno akcentowane słowa.

– Przynajmniej jednego wyznawcę więcej – śmiertelny gość myślał głośno, a w jego głosie brzmiała nuta sceptycyzmu. – Niezmiernie wielki to wzrost: od zera do jednego. Powinieneś się czuć nieskończenie silniejszy, przynajmniej przez jakiś czas.

– Przynajmniej przez czas twego życia, czas wzruszająco krótki w porównaniu z moim – zabulgotały w odpowiedzi czarne wody. Po chwili starannej obserwacji

można było dojść do wniosku, że to chyba nie woda wypełniała sadzawkę. Bąble i zmarszczki były grubsze, bardziej oleiste, przypominały roztopioną smołę. – W końcu mam twoją niezmienną wiarę – ozwał się głos.

– Zapewne, o Starszy, ale nawet jeśli tak jest, to moja pobożność wobec ciebie może się pewnego dnia zachwiać – w głosie gościa brzmiała nuta wątpliwości.

– Jeśli nie za sprawą pobożności, to przez prosty strach mam nad tobą władzę. Skoro raz uwierzyłeś, śmiertelniku, czyż możesz przestać wierzyć przez prosty akt woli? – zawartość sadzawki wzburzyła się, a drobne czarne fale uderzające o brzeg wyglądały niczym znak groźby. – Pamiętaj, słaby bóg jest bogiem zazdrosnym. Takim, który surowo karze krzywoprzysięzców. Tłuste, zadowolone bóstwa jak Tarim czy Mitra mogą sobie pozwolić na stratę kilku wyznawców, ale nie ja! A nawet w czasach swojej minionej chwały nie byłem bogiem miłosierdzia...

– Tak, tak, Kthantosie – śmiertelnik śmiało okazał znużenie. – Mówiłeś mi już o twych potężnych mocach i okrucieństwach dawnych czasów. Błagam, nie wysilaj się tak bardzo, żeby mnie przestraszyć, bo inaczej pożałuję, że kiedyś z kruchego, ledwie czytelnego zwoju, który przez niezliczone stulecia leżał zapomniany w pewnym grobowcu, wskrzesiłem twoje imię i kult...

– W rzeczy samej, śmiertelniku, możesz wyśmiewać się ze wspomnień o mojej utraconej chwale – potwierdził bezcielesny głos, a sadzawka zbulgotała leniwie, podrzucając na swej powierzchni jak dziecinną zabawkę odbicie bladego księżyca. – Jednak ostrzegam cię: nawet w obecnym stanie zachowałem dość mocy, by zabić każdego śmiertelnika, szybko lub powoli, jak zechcę. Krótko mówiąc, mógłbym cofnąć łaskę, jaką już na ciebie zlałem.

– Dostyc tej głupiej kłótni! Powiedz, dlaczego mnie tu wezwwał? Czy może zapomniałeś ze starości? – śmiertelnik przemawiał z nieoczekiwaną śmiałością i mocą.

– A po cóż by innego, jak nie po to, aby usłyszeć o twoich planach i intrygach? – Głos w sadzawce przestał bulgotać, jakby wprawiony w zakłopotanie tym, że musi prosić o cokolwiek śmiertelnika albo przyznawać się do braków w swej wszechwiedzy. – Co z tym nowym królem? – spytał w końcu ciężką, oleistą fontanną.

– Obiecujący, naprawdę obiecujący i podatny na mój wpływ – istota ludzka pewnie skrzyżowała ręce na piersi. – Są też inne możliwości – są młodszy, być może bardziej energiczni i łatwiejsi do kierowania. Krótko mówiąc, wypróbuję siłę tego, a potem zdecyduję – Już mu powiedziałem, że bogowie są po jego stronie – gość roześmiał się.

– Bo są, przynajmniej jeden bóg – bulknęła sadzawka. – Chociaż jestem bogiem starożytnym, jedynie cieniem samego siebie, lecz to się wkrótce zmieni. Zajmę miejsce wśród tych parweniuszowskich hyboryjskich bóstw i w swoim czasie wygnam je...

– Tak, tak – zgodził się człowiek – ale pamiętaj, że jedynie dzięki moim wysiłkom. Na razie, zamiast oddawać się wspomnieniom, spróbuj wyteńczyć swe starcze siły, aby mnie wesprzeć. Przestań mówić o karach boskich. Pamiętaj, że jeśli przegram lub zginę, to samo czeka ciebie.

– Nie mów o przegranej, to herezja! – oświadczył Kthantos z bulgoczącego wiru. Nad stawem, nad potrzaskanymi odłamkami kolumn na niebo zaczęła się wspinać jakaś nowa tarcza. Drugi księżyc, bo czyż mogło to być słońce? W każdym razie nie wyglądało jak słońce. Było tak blade i zaśnieżone, że jego blask ledwie rozjaśniał czystą, bezgwiazdną kopułę nieba. Ukryty głos bulgotał dalej.

– Miej wiarę we mnie, śmiertelniku! Służ mi jak wierny wyznawca, a boska sprawiedliwość ostatecznie zatryumfuje. Nie przejmuj się tym królikiem. Jeśli on przegra, doprowadzi nas do silniejszego!

– Wydaje się, że ta pograniczna wojna jest jednym z mniejszych zagrożeń, jakim stawiała czoło nasza dynastia, królu.

Królowa Zenobia siedziała na alabastrowej ławce w ogrodzie, a popołudniowe słońce igrało niebieskimi refleksami w jej czarnych włosach. Białe kamienie ławki i zwiewna biel sukni ostro kontrastowały z kruczymi warkoczami.

– Bardzo nam ciebie brakowało, Conanie, choć nie było cię tylko przez dwa tygodnie.

– Mogłaś jechać ze mną, gdybyś chciała, Zenobio. – Conan siedział na alabastrowym stołku naprzeciw żony. Jego czujna, wyprostowana postawa kontrastowała ze swobodną pozą żony, obute w sandały nogi mocno wpierały się w

ziemię. Zdobny klejnotami pas ze sztyletem ścisnął koszulę i kilt z królewskiej purpury, a błyszczący złoty krąg ozdobił czarną grzywą. – W każdym razie Conn mógł jechać ze mną. Osiągnął już odpowiedni wiek.

– Nie sądzę, żeby tak było, panie. Jest jeszcze dzieckiem – w głosie Zenobii zabrzmiało niedowierzanie.

– Cóż, być może. – Conan popatrzył, jak syn bawi się przy fontannie dekorującej południowo – zachodnie skrzydło pałacu. – A jednak, o ile mnie pamięć nie zawodzi, w jego wieku samotnie polowałem i łowiłem ryby w górskich strumieniach – zauważył Conan, potrząsając ukoronowaną głową. – Nie muszę chyba mówić, że mało wiedziałem o pisaniu, liczeniu i innych cywilizowanych sztuczkach, których on teraz się uczy. Ja liczyłem jedynie ślady, jakie zostawiła banda Vanirów, a każdego upolowanego królika znaczyłem nacięciem na drzewcu oszczepu.

Fontanna niezbyt zajmowała młodego Conna, bardziej fascynowała go zgarbiona postać karła Delvyna, który stał zamyślony, gapiąc się w jej krystaliczną toń. W końcu chłopiec wrzucił do wody liść dębu. Popychaniem i dmuchaniem skierował liść w stronę obiektu swego zainteresowania, przesuwając się przy tym wzdłuż okrągłego,, marmurowego brzegu fontanny.

– To było życie – opowiadał Conan. – Wiem, Zenobio, jak wiele wysiłku wkładasz w utrzymywanie porządku w pałacu i różne wewnętrzne sprawy królestwa. To zabiera ci większość czasu, ale tak właśnie jest dobrze, ja nie mam cierpliwości do tych rzeczy – roześmiał się i poruszył niespokojnie na stołku. – Niekiedy wydaje mi się, że nie ma tu ze mnie żadnego pożytku. Drobne, codzienne sprawy ciąży mi bardziej niż wojna, a próżnowanie na dworze przyprawia o ból w starych ranach.

– Conanie – odparła miękko królowa. – Wiem, że rwiesz się do bitwy. Czasem myślę, że bardziej kochasz przygody niż mnie. Zdaje się, że duże polowanie czy turniej tylko zaostrzają twą tęsknotę.

Conan przytaknął.

– W pewnym sensie, Zenobio, ten atak ze wschodu był dla nas dobrodziejstwem. Potwierdził słuszność zmian w wojsku, jakie przeprowadziłem, i dowiódł, że ciągle nie brak mi autorytetu, by dowodzić armią.

– W te dwie rzeczy nigdy nie wątpiałam, ani ja, ani nikt w królestwie poza tobą samym, jak sądzę – odparła królowa. Westchnęła lekko i czule się uśmiechnęła, przechylając się w stronę męża. – Conanie, nie musisz obawiać się rządzenia krajem w czasach pokoju ani stosunków z dworzanami, ani po prostu... starzenia się tutaj. Twój osąd jest równie trafny jak ich i mój, Mitra świadkiem. Twój przyjaciele i poddani kochają cię nie tylko ze względu na twe bogactwo i władzę ani nie ze strachu przed twymi umiejętnościami na polu walki! Czczą cię jako dobrego króla, człowieka pogodnego i miłosiernego, przed którym jeszcze wiele radości i dokonań. Och, cóż ci się stało, moje dziecko?

Jej uwagę odwrócił młody Conn, który dotarł wreszcie do zadumanego Delvyna, lecz nie pozostał przy nim długo. Powłócząc nogami, z oczami pełnymi łez i wydętymi wargami chłopiec wrócił do matki. Opadł ciężko na ławkę obok królowej i ukrył głowę w miękkiej tkaninie jej szaty. Zenobia objęła go ramieniem i przycisnęła do łona.

– Ciągle płacze, chyba rzeczywiście jest jeszcze dzieckiem – zauważył ponuro Conan. – Jest dosyć duży, żeby rzucać oszczepem, a ciągle przytula się do mamusi! W moim rodzinnym klanie coś takiego byłoby nie do pomyślenia! Ale ktoś może wiedzieć, co jest dobre w kraju cywilizowanym?

– Panie, to tylko dziecko! – królowa powiedziała to tonem urażonej godności. – Ty także szukałeś ukojenia w tych ramionach, na tej samej piersi. Nie przystoi dorosłemu królowi być zazdrosnym o dziecko!

– Tak, pewnie tak jest – przytaknął znowu Conan i spotkał wzrokiem jej surowe spojrzenie. – Zenobio, muszę ci powiedzieć, że wojna z Ophirem i Nemedią... jeszcze się nie skończyła – energicznie potrząsnął głową. – Wypadki na wschodzie są zbyt burzliwe i zbyt niebezpieczne, żeby Aquilonia mogła się do nich nie mieszać. Tak przynajmniej donoszą mi agenci. Być może wyjadę na dłuższy czas, i to wkrótce. Musimy działać szybko.

– Tak, panie, tego się obawiałam – królowa potrząsnęła głową i przytuliła Conna, który szeroko otwartymi oczami przyglądał się ojcu i matce. – Czy mówiąc o swoich agentach, Conanie, miałaś na myśli tego zdrajcę Delvyna? – jej wzrok spoczął na gibkiej sylwetce karła przycupniętego teraz w cieniu jednego z drzew.

– Tak. Na dodatek Publiusz i reszta zgadzają się z tym. Informacje błazna

okazały się dla nas najbardziej wartościowe – odpowiedział rzeczowo Conan. – Ale, Zenobio, Delvyn był do tej pory tylko pionkiem i niewolnikiem, nie wybierał sobie panów. Sądzę, że gotów mi oddać wielkie usługi.

– Być może – przytaknęła królowa, pieszcząc włosy Conna, czarne jak włosy obojga jego rodziców. – Ale proszę cię, Conanie, kiedy udasz się na wyprawę, weź ze sobą tego karła. Nie ufam mu, kiedy jest tu wśród nas.

5. UCZTA STALI

Następnego dnia Conan wyruszył z Tarancji. Wyglądał olśniewająco w czarno – złotej zbroi, na nowym, karym rumaku imieniem Shalmaneser. Król prowadził armię dorównującą liczebnością tej, która miesiąc wcześniej opuściła stolicę, by zabezpieczyć wschodnie rubieże. Stopniowo do królewskiego legionu dołączały masy gunderlandzkich i bossońskich piechurów nadciągające znad północnej i zachodniej granicy. Dodatkowo przybyły konne i piesze posiłki z centralnej Aquilonii dowodzone przez świetnie uzbrojonych rycerzy.

Mieszkańcy Tarancji, choć nie byli pewni, jakiemu niebezpieczeństwu zmuszona będzie stawić czoło ta nowa wyprawa, zgotowali wyruszającym wojskom wspaniałe pożegnania. Płatki kwiatów sypały się z dachów jak deszcz. Rozbrzmiewały wiwaty i śmiech, szczególnie na widok opancerzonego karła dosiadającego bagiennego kucyka o zmierzwionej grzywie. Karzeł z wysiłkiem utrzymywał się w siodle, ale wytrwale podążał tuż za królem.

Nad całym tym zamieszaniem górowała postać królowej Zenobii, stojącej z młodym księciem Connem u boku na balkonie pałacu. Władczyni z powagą patrzyła, jak Conan cwałuje Droga Królów.

Marsz na południowy wschód przebiegał sprawnie, czemu sprzyjała piękna wiosenna pogoda. Przez całą drogę rosła siła wojsk dzięki nowym oddziałom jazdy i kolumnom pieszych ochotników z bogatych południowych prowincji. Zanim przybyli do obozu na równinie Tybor, oddziały strzegące granicy dokonały wypadu na tereny Ophiru. Na rozkaz wysłany za pośrednictwem gońca oddziały aquilońskie zapuściły się w głąb niebronionego terytorium wroga. Wiadomości uzyskane od zwiadowców i jeńców były uspokajające.

– Król Balt nadal odpoczywa z Malvinem w Ianthe, jednak jego wymarsz na północ nastąpi rychło – oznajmił kurier polowy, który dopiero co wrócił do obozu. – Zarówno ophiryjskie, jak i nemedyjskie wojska są całkowicie zdemoralizowane i cofają się w stronę stolicy. Jeńcy mówią, że niebezpieczeństwo grozi miastu ze wschodu, skąd nadciąga armia kothyjska księcia Armira, dokonując po drodze potwornych rzezi. Wydaje się, że Ophiryjczycy bardziej boją się Armira niż Aquilończyków. Wedle ocen naszych zwiadowców armia kothyjska stanie u bram miasta za dwa, trzy dni.

– Wydaje się zatem, że bierzemy udział w wyścigu do Ianthe, a czas pracuje na naszą niekorzyść – oświadczył Conan, otwierając naradę. – Byłem głupcem, że od razu nie wykorzystałem zwycięstwa.

– Wasza wysokość zajęłaby wtedy stolicę i na dodatek większą część Ophiru? – spytał generał Ottobrand. – To byłoby wspaniałe, panie f Ale muszę powiedzieć waszej wysokości, że na dotarcie do Ianthe nasza armia potrzebuje nie mniej niż siedmiu dni, pod warunkiem że napotkamy jedynie słaby opór nieprzyjaciela – siwowłosy Gunderlandczyk w stalowej zbroi i futrzanym płaszczu pochylił się nad składanym stołem i stuknął palcem w mapę Ophiru. – Zwiadowcy donoszą, że Kothyjczycy nacierają szerokim frontem. Mogą przerzucać jazdę z miejsca na miejsce i wyprzedzać odstępującego przeciwnika. My zaś musimy posuwać się całymi siłami po jednej drodze, gdzie marsz nasz może opóźnić nawet słaba obrona. Samo zaopatrzenie całości sił w marszu...

– To jeszcze nie jest najgorsze, Conanie – wtrącił siedzący obok króla Prospero. – Kiedy już tam dotrzemy, będziemy musieli podjąć oblężenie. Mury miasta, w odróżnieniu od żołnierzy, nie są zmęczone i nie upadają na duchu. Bardzo prawdopodobne, że pod Ianthe spotkamy Kothyjczyków. Lord Malvin może stać na murach i patrzeć, jak jego wrogowie nawzajem się wyrzynają.

– Możemy wysłać naprzód posłów i zacząć pertraktacje z Armirem, panie – zaproponował Ottobrand. – Przy odrobinie szczęścia mogą skłonić księcia do zgody na sprawiedliwy rozbiór Ophiru – pociągnął palcem niczym nożem po pergaminowej mapie, dzieląc Ophir wzdłuż osi północny wschód – południowy zachód.

– Nie, bo rzecz sprowadza się do tego, aby przejąć władzę nad Ianthe – burknął Conan. – Chciałbym najpierw zająć miasto, a potem układać się z Armirem

– rozejrzał się po twarzach oficerów zebranych w oświetlonym jedną lampą namiocie. – Ty, młody Egilrude, czy możesz mi znaleźć czterech świetnych jeźdźców? Ludzi, którzy nie znają strachu i będą mi bezwzględnie posłuszni?
– Oczywiście, królu! – przytaknął jasnowłosy bossoński oficer o szerokiej twarzy.

– W porządku. Daj im zwyczajne ubrania, silne wierzchowce i racje żywności na pięć dni. Sam przygotuj się podobnie, spotkamy się tu o brzasku. – Kiedy Bossończyk wyszedł z namiotu, Conan zwrócił się do pozostałych: – Czasami garść mężczyzn może dokonać tego, czego nie zdoła cała armia.

– Jaki jest twój plan, królu? – spytał hrabia Trocero. – Gotów jestem jechać, jeśli rozkażesz.

– Nie, Trocero. To, co zamyślam, nie będzie najlepszym wykorzystaniem twoich umiejętności. Chcę, żebyś ty i inni oficerowie wzięli wojsko w karby i przyprowadzili je do Ianthe tak szybko, jak to możliwe. Nie obciążajcie się jeńcami i obchodźcie twierdze, jeśli to konieczne. Jeżeli mi się powiedzie, miasto będzie czekać na wasze wsparcie – zwrócił się ku karłowatej postaci siedzącej sztywno w rogu namiotu na polowym stołku. – Delvynie, czy ciągle ręcysz za swoich przyjaciół w mieście?

– Zaiste, królu – odziany w nową zbroję karzeł pośpiesznie skinął głową. – Jeśli stawisz się w domu księcia Lionnarda w Ianthe, umożliwi ci on wejście do cytadeli. Jest pierwszym i najbardziej zajadłym wrogiem Malvina. Najtrudniejszym zadaniem będzie przedostanie się do miasta.

– W czasie paniki i pośpiesznych ruchów wojsk to nie powinno być trudne. Odepnij te sprzączki, Prospero. – Conan zaczął uwalniać się od czarno – złotych, polerowanych płyt pancerza. – Będę potrzebował cudzoziemskiej zbroi od jakiegoś rosnącego jeńca – rzucił Ottobrandowi.

– Cóż to, panie? Czyżbyś miał zamiar jechać osobiście do miasta? – zaniepokoił się Trocero. – I to polegając na słowie tego sztukmistrza twego wroga Balta? – Z trudem hamując gniew hrabia wskazał Delvyna dłonią odzianą w żelazną rękawicę. – Jak możesz mu ufać, wasza wysokość? Skąd wiesz, czy nie zechce wydać cię w ręce swego poprzedniego pana?

Uwolniwszy się od pancerza Conan wzruszył ramionami.

– Ufam Delvynowi – powiedział – ponieważ on zostanie tutaj z wami, moi wierni oficerowie. Jeśli mnie się nie uda, zginie.

Droga do Ianthe trwała dwa dni. Późnym popołudniem pierwszego dnia napotkali oddział aquilońskiej jazdy. Korzystając z okazji Egilrude zamienił spienione, na pół żywe wierzchowce na świeże.

Następny świt zastał ich już w głębi Ophiru. Galopowali mijając uchodźców i kryjąc się za drzewami na widok maszerujących wojsk. Wieczorem tego dnia ujrzeli światła Ianthe. Na murach miasta płonęły pochodnie, a wody Rzeki Czerwonej odbijały blask płomieni. Szczęśliwym trafem dotarli do Zachodniej Bramy przed jej zamknięciem. Podali się za nemedyjskich niedobitków szukających swego oddziału i wpuszczono ich bez problemów.

W skazanym na klęskę mieście panowała dziwna, gorączkowa atmosfera. Ulice roiły się od próżnujących żołnierzy i obywateli próbujących sprzedać swój dobytek za gotówkę, którą mogliby ukryć albo wywieźć na wieś. Speculanci o chytrych oczach i złodzieje nieustannie węszyli za łatwym zyskiem. Straże miejskie i wojsko zupełnie im w tym nie przeszkadzały. Nie wiadomo było, czy miasto zostanie najpierw złupione przez wroga, czy przez własnych awanturników.

Aquilończycy znaleźli jakiegoś włóczęgo się po knajpach hulakę i za dzban piwa pozyskali jego usługi. Doprowadził on sześciu mężczyzn do posiadłości księcia Lionnarda – otoczonego wysokim murem pałacyku nad rzeką. Oko widoczne przez szparę w furcie spoglądało długo i podejrzliwie. Jednak po wręczeniu sporej łapówki pozwolono zakapturzonemu Conanowi spotkać się z księciem.

– Tędy, po cichu! – okryte mrokiem ulice, po których prowadzono Aquilończyków, były prawie nie strzeżone. Zezowaty sługa księcia pewnym krokiem podchodził do każdego z napotkanych wartowników. Za każdym razem jego niski szept zakończony brzęknięciem monety sprawiał, że żołnierze podnosili włócznie dając wolną drogę przybyszom.

Conan nie był w stanie odróżnić, w którym dokładnie miejscu przekroczyli granicę między płataniną zaśmieconych alejek i zardzewiałych furt a siedzibą Malvina. Kiedy jednak rzeźbione drewniane drzwi uchyliły się, aby wpuścić ich do mrocznego korytarza zdobionego kobiercami i posągami dawno zmarłych władców, był

już pewien, że są na miejscu. To najwyraźniej były wnętrza królewskiego pałacu.

– A zatem przysięgasz, że nie zawrzesz układu z samym Malvinem? – Lionnard upewniał się po raz któryś z rzędu. Szedł obok Conana za niosącym świecznik sługą. Tuż za nimi kroczył Egilrude, a dłonie czterech pozostałych żołnierzy spoczywały na mieczach. Rozglądali się uważnie i poruszali cicho. Ich skąpe zbroje nie pobrzękiwały w marszu.

– Zważ, że nie mam nic przeciwko temu, żebyś układał się z królem Baltem przeciwko Malwinowi – mówił książę. – Sam mam niewiele styczności z Nemedyczykami, odkąd wykluczono mnie z wysokiej rady. Mogę jednak wpłynąć na innych panów – zamyślił się na chwilę, a potem oświadczył: – Uprzedzam cię, że mój kraj nie zniesie więcej nierozważnych czynów i małodusznych sądów tego lordowskiego parweniusza.

Lionnard był drobnym, żylastym człowieczkiem, o wiele starszym niż jego zniechęcony władca. Ubrany był kubrak narzucony niedbale na jedwabie, jakie zwykle nosił w domu. Książę nie miał postawy arystokraty, nie dodawały mu majestatu starannie nawoskowane wąsy ani pięknie zdobiony rapier zwisający u pokrytego klejnotami pasa. Jednak jak przystało na rasowego arystokratę przepełniała go żądza zemsty.

– Zaprawdę, królu, jeśli w istocie jesteś królem Conanem z Aquilonii, nalegam, byś oddał przysługę Ophirowi i wykluczył Malvina z wszelkich układów, jakie zawrzesz tej nocy.

– Tak, książę – przytaknął Conan. – Żadnych układów z Malvinem. Nie bój się, ten łotr nie jest moim przyjacielem.

– Zgodnie z twoim życzeniem wezwałem już straż przyboczną – oznajmił Lionnard. – Dziesięciu ludzi to wszystko, co pozwolono mi zachować, ale kazałem dowódcy wprowadzić oddział przed główne wejście.

– Dobrze – mruknął Conan. – W swoim czasie będą nam potrzebni. Którędy? – rzucił krótko, zatrzymując się przy rozwidleniu korytarza.

– W prawo – odparł Lionnard. – Ten korytarz prowadzi do przedsionka wielkiej sali, gdzie Malvin co wieczór spotyka się ze swymi pochlebcami. Na zewnątrz będą strażnicy, których nie można przekupić ani oszukać. Najprawdopodobniej jednak będą patrzeć w przeciwną stronę, ku głównemu wejściu.

– Zatem czas na ucztę stali! – uciał Conan. Szybko wyciągnął miecz z pochwy. To samo uczynili jego towarzysze, a echo tych dźwięków rozeszło się po korytarzu niczym głos z kłębowiska żmij.

– Nie, książę! – szepnął Conan wstrzymując rękę Lionnarda sięgającą po rękojeść zwykłego żołnierskiego rapiera. – Odegraj lepiej rolę przybywającego na ratunek, nie buntownika. Zostań tutaj ze sługą, a kiedy będziesz mógł, dołącz do swoich żołnierzy.

Książę skinął głową i cofnął się pod ścianę. Conan dał Egilrude znak ruchem głowy. Oficer zwrócił się do swoich ludzi:

– Naprzód, szybko i cicho! – rozkazał.

Ruszyli w głąb korytarza trzymając się mroczniejszej strony. Niebawem dostrzegli jasno oświetlony portal. Obok widoczne były sylwetki czterech strażników, którzy oparci o włócznie wpatrywali się w obite żelazem drzwi wychodzące na dziedziniec zalany światłem pochodni.

Strażnicy nie spodziewali się napaści od wnętrza zamku. Jednak w ostatniej chwili jeden z nich usłyszał ciężkie kroki i odwrócił się nagle. Miecz Conana świsnął w powietrzu i ugodził wartownika tuż pod krawędzią hełmu. Ostrze weszło głęboko, przebijając kość. Kiedy Conan wyszarpnął oręż, klingę pokrywała jasna czerwień. Wartownik zachwiał się charcząc. Zanim padł, Conan już parował ciosem włóczni drugiego żołnierza.

Zza drzwi wypadli kolejni strażnicy. Mimo to walka była krótka. Conan wymierzył drugiemu wartownikowi cios, który zmiażdżył osłonę nosa, a uderzenie zatrzymało żołnierza na chwilę potrzebną, aby Egilrude dobił go pchnięciem pod naplecznik. Inni obrońcy walczyli równie dzielnie co daremnie. Ostatni padł pod ciosami czterech mieczy, które dosięgły go jeden po drugim. Nikt nie uciekł, aby wszcząć alarm, choć szczęk broni i wrzaski zabijanych z pewnością nie powinny pozostać nie zauważone.

Kiedy ostatni obrońca znieruchomiał bez tchu na kamiennej podłodze, z korytarza wyłonił się książę Lionnard ze sługą. Conan bez słowa nakazał im wyjść na dziedziniec.

– Zamknijcie te drzwi na zasuwę – rozkazał Conan kierując machnięciem miecza dwóch żołnierzy w stronę portalu. – Wpuszczajcie tylko ludzi Lionnarda, jeśli

się pojawiają. A wy za mną – wskazał Egilrude i pozostałym żołnierzom wewnętrzne drzwi. – Stójcie tu w gotowości – rozkazał, kładąc rękę na masywnym kolistym uchwycie. Szarpnął, uchylił dębowe wierzaje na szerokość dłoni i zajrzał do środka.

Wewnątrz znajdowała się sala biesiadna, pełna bogato odzianych mężczyzn. Na wolnej przestrzeni za drzwiami stała odszypuntowana, ociekająca piwem beczka. Za nią, nad kotłem pełnym żaru tkwiło nadziane na rożen, w większości już ogryzione prosię. Trzydziestu czy czterdziestu dostojników najwyraźniej skończyło już posiłek. Prowadzili teraz chaotyczną rozmowę. Kiedy zaskrzypiały drzwi, kilku z nich spojrzało na Conana. Jego ponura twarz nie wzbudziła ich niepokoju. Najwyraźniej nie słyszeli odgłosów walki.

Szybko rozejrzawszy się po sali, król zamknął drzwi i zwrócił się do otaczających go ludzi:

– Kiedy wejdę, zabarykadujcie za mną te drzwi. Użyjcie do tego włóczni poległych strażników – mówił głębokim, zgrzytliwym głosem. – Niech nikt prócz mnie nie wchodzi i nie opuszczajcie tego miejsca, chyba że będziecie pewni mojej śmierci – rozkazał.

– Panie, jeśli ty zginiesz, nasze życie nic nie będzie warte – rzekł Egilrude. – Co możemy zrobić, by ustrzec cię od niebezpieczeństwa?

– Róbcie, co rozkazałem! Nie uchylam się od niebezpieczeństwa, a wszystko, czego potrzebuję, to ostra stal i prosta droga do wrogów!

To rzekłszy, Conan zwrócił się ku drzwiom. Chwycił za oba brązowe pierścienie, otworzył na oścież obie części drzwi, po czym wkroczył z godnością do sali biesiadnej. Kiedy wrota zamknęły się za nim, w jedną rękę chwycił miecz, a w drugą topór odebrany martwemu strażnikowi. Ruszył przed siebie.

Tym razem wtargnięcie potężnego, uzbrojonego mężczyzny spowodowało, że w sali zapadła cisza. Dwóch żołnierzy odeszło od stołu, by zatrzymać intruza.

– A zatem, milordzie, cytadela wytrzyma bez wątpienia – kontynuował wypowiedź ktoś odwrócony plecami do Conana. – To jasne, że nasi wrogowie są wyczerpani. Z pomocą nemedijskich sojuszników zmieciemy ich z pola; ale któż to, czyżby posłaniec od naszych wojsk? – mówca, korpulentny szlachcic w żółtym płaszczu, odwrócił się i głupkowato popatrzył na Conana. – Jego oręż jest zakrwawiony, czyżby wojna stanęła u naszych wrót?

– To pewnie kolejny dezertor z katastroficznymi wieściami ze wschodu – zauważył drwiąco jakiś głos. – Dlaczego nie spytasz go, ilu to kothyjczyków zmiotł dzisiaj z pola bitwy?

Kres dalszym kpinom położył krzyk zdumienia, kiedy Conan zbliżył się do dwóch nadchodzących strażników. Pierwszego rozchłastał ciosem topora, drugi ponieważ usiłował wyciągnąć miecz, ale na próżno. Klinga Conana gładko ścięła mu głowę z ramion.

– To morderstwo! Zdrada! To szalenciec i zabójca! Zatrzymać go! – dostojnicy zerwali się z stołów, sięgając po broń. Jednak zaledwie kilku z nich spróbowało uczynić to, do czego wszyscy wzywali. Trzech mężczyzn ruszyło na spotkanie Conana, gniewnie wymachując rapierami. Reszta udawała, że broń zaklinowała się im w pochwach.

Szczęk stali rozległ się echem. Atakujący zasypali Conana deszczem ciosów i sztychów, ustawiając się przy tym szeroko, by każdy miał dostęp do przeciwnika. Jednak jego topór i miecz śmigały lekko, odbijając klingi lżejszej broni przeciwników i oddając im cios za cios, pchnięcie za pchnięcie. W chmurze stalowych błyskawic jeden z rapierów złamał się i nad głowami walczących zawirował odłamek główni. Potem drugi oręż upadł z brzękiem na kamienną posadzkę. Rozległ się rozdzierający wrzask uciszony przez spadający topór.

Już tylko jeden przeciwnik pozostał Conanowi, który zbliżył się szybko i zadał cios w momencie, kiedy wróg potknął się o drgające nogi jednego ze swych towarzyszy. Śmiertelny cios topora położył przeciwnika na wznak, wzbijając przy tym chmurę czerwonych kropelek. W sali zapadła trwożna cisza. Pozostali panowie, śpiesząc na spotkanie obcego, zatrzymali się.

– To demon walki! – szepnął ktoś.

– Tutaj, wilku, chodź do mnie, a ja uśmierzę twoją furie! – zabrzmiał poważny głos. – Wiedz, że wyleczyłem już wielu takich jak ty.

Słowa te wypowiedział krępy, siwy mężczyzna, a był nim sam król Balt, zahartowany w bojach monarcha Nemedii. Był on najlepiej uzbrojonym mężem w sali. Od stóp do głowy okrywał go skórzany pancerz, pochodzący z czasów, kiedy Balt był szeregowym piechurzem. Dłonie w rękawicach zaciskał na rękojeści dwuręcznego

miecza, dłuższego i szerszego niż miecz Conana.

Stary król był krępy, lecz barczysty niczym koń pociagowy i o krzepkich członkach. Wyglądał przerażająco, nawet w chwili gdy stał spokojnie, pozwalając zbliżyć się napastnikowi.

– Nie, trzymajcie się z tyłu, ten rozbójnik jest mój! Wasze sztuczki to dla niego tylko zabawa! – wrzasnął Balt. Upomnienie skierowane było do gwardzistów noszących szarobrunatne barwy Nemedii. Powiedział to jednak zbyt późno, bo ci dwaj wymachując bronią obeszlili starego władcę, by zmierzyć się z jego przeciwnikiem.

Jeden z nich zamachnął się do ciosu, po czym zatrzymał nagle, osunął się na jedno kolano, a potem rozciągnął na podłodze. Jasna krew z jego serca ściekała po sztychu aquilońskiego miecza.

Drugi, nim zdążył się zbliżyć, padł bez czucia, powalony płazem miecza własnego króla.

– Do tyłu, mówiłem! To moja walka! – ryknął Balt. – Bo nie oszczędzę następnego nieposłusznego szczeniaka, który będzie mi się plątał pod nogami!

Nim dokończył pogroźkę, Conan był już przy nim, zataczając kręgi mieczem i toporem. Stary wojownik dotrzymał mu pola i parował jego ciosy ze szczękiem stali albo też uchylał się zręcznie, nie odrywając przy tym stóp od ziemi. Czynił użytek ze wszystkich sekretnych sztuczek, jakich nauczył się podczas długiego życia spędzonego na polach bitew. Raz po raz oręż Conana ześlizgiwał się po jego ciężkiej głowni albo zostawiał niegroźne rysy na pancerzu.

Cymmerianin czuł, jak ciężki nemediański miecz uderza i żłobi jego napierśnik ciosami, które wyciskały oddech z płuc i niemal przebijały zbroję. Dwaj królowie walczyli pośród kręgu gapiów, przekonanych, że stary Balt da sobie radę bez niczyjej pomocy.

Najgroźniejsza sztuczka Nemedyczyka zaskoczyła Conana. Poczuli on nagle, że jego miecz uwiązał w zdradliwej szczelinie. Była to służąca do łamania mieczy szczyrba u nasady głowni miecza króla Balta. Stary władca parsknął z podniecenia, kiedy dostrzegł, jak siła dźwigni sprawia, że rękojeść zaczyna wysuwać się Conanowi z palców.

Desperacki cios topora trafił w miejsce złączenia obu mieczy i rozdzielił je. Nagłe zniknięcie oporu zakłóciło ruch starego zabójcy i na chwilę wytrąciło go z równowagi. Korzystając z okazji Conan na odlew uderzył toporem w złocony hełm. Siła uderzenia przepołowiła szyszak i siwowłosą czaszkę. Król Balt padł bez życia na ziemię.

– Na Erlika! – ozwał się jakiś głos wśród kręgu strwożonych gapiów. – To Conan! Conan z Aquilonii powalił króla Nemedii!

– Tak, poznaję jego oblicze tłoczone na monetach – zdumiał się inny świadek. – Przybył, by zabić nas w naszej warowni! – To ostudziło obecnych i tłum ludzi, odruchowo zbliżających się do zwycięzcy, zwolnił kroku. Conan stał dysząc ciężko nad półtuzinem trupów.

– Król czy łotr, to potwór! – wykrzyknął inny głos. – Ale spokojnie, bracia, odsuńcie się od niego. Już go mam! Tylko zejździecie mi z linii strzału – były to słowa brodatego mężczyzny, stojącego za stołem po przeciwnej stronie sali. Napiął on właśnie czarny łuk zdjęty z obramowania kominka. – Oto, – niegodziwcze, zapłata za twe dzisiejsze morderstwa... – głos zadrżał mu z wysiłku, kiedy napiął cięciwę, drżała też ręka, gdyż napięcie twardego łuku wymagało wielkiej siły.

W oddaniu strzału przeszkodził mu metaliczny błysk. Strzała poleciała nisko, wpadła w tłum wywołując krzyk bólu jednego z gapiów. Strzelec opuścił ramię, a łuk wysunął mu się z garści. Mężczyzna odwrócił się powoli i oparł się o ścianę, a potem osunął z otwartymi ustami. Gardło rozplątał mu topór ciśnięty muskularnym ramieniem Conana.

W mgnieniu oka miotacz ruszył śladem swego topora, błyskawicznymi ciosami miecza powalając każdego zawałidrogę. Jednym susem przesadził stół i podniósł łuk zabitego.

Kończan był na miejscu. Conan natychmiast wyciągnął zeń strzałę, założył ją na cięciwę, naciągnął i strzelił. Płynne, pewne ruchy sprawiły, że pocisk utkwiał w krtani ophirskiego lorda, który właśnie zbliżał się z obnażonym mieczem. W okamgnieniu druga strzała przeszła pierś następnego przeciwnika. Kolejny wróg odwrócił się, by zbiec, lecz smukłe drzewce utkwili mu pod łopatką i runął wprost na swych towarzyszy.

W sali rozpętało się piekło, bo teraz każdy starał się ratować za cenę życia

innych. Potykali się i zderzali, tarzali na stołach i pod stołami, daremnie próbując ująć przed lotnym dotknięciem śmierci. Jedni kulili się za meblami, inni za trupami. Wszyscy kurczyli się ze strachu przed ciemnowłosym zabójcą o piekielnym spojrzeniu, który przechadzał się po sali z łukiem w dłoni i zimno wybierał ofiary. Tylko kilku desperatów chwyciło za broń, by ruszyć na spotkanie śmierci.

Nie było innej możliwości, bo sala biesiadna nie miała innego wyjścia poza potężnymi dębowymi drzwiami, do których tłum mężczyzn na próżno kołatał. Na drugim końcu sali były jeszcze małe drzwi prowadzące zapewne do ustępu, ale na samym początku walki czmychnęli tamtędy śludzy zamykając je za sobą. Teraz ich panowie na darmo błagali i kopali w deski potykając się przy tym o ciała poprzedników, którzy zabawili tu zbyt długo.

Przy głównych drzwiach około tuzina uciekinierów wpadło w szal napierając raz po raz całą masą swych ciał, jednocześnie rąbiąc belki nożami i mieczami. Kilku uwięzionych chwyciło ciężką kamienną ławę i rozpędziło się, by staranować nią drzwi. Kiedy się tak wysilali, Conan wybierał cele właśnie spośród nich. Pocisk, cięciwa, napięcie, strzał – po każdym cyklu tłum pod drzwiami topniał. Wreszcie taran porzucono, a ci, którzy ocaleli, czołgali się, próbując znaleźć osłonę za ławami i sobą nawzajem. Conan tymczasem dostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo. Pół tuzina zdesperowanych mężczyzn podniosło kamienny blat stołu i osłaniając się nim ruszyło na łucznika, zamierzając przyprzeć go do muru i zmiażdżyć.

Ruszyli przed siebie w pośpiechu, ale Conan cofnął się tylko spokojnie i strzelił najpierw w odsłoniętą nogę jednego z mężczyzn, potem w ramię innego. Ranni padli i tempo natarcia zmalało. Okrągły blat zazgrzytał po płytach podłogi. Ostatnią strzałę posłał Conan w goleń jednego z pchających płytę. Potem odbił się od ściany i całym ciężarem uderzył w chwiejący się blat. Płyta przechyliła się do tyłu i runęła na podłogę przygniatając dwóch czy trzech mężczyzn, którzy nie zdążyli uciec. Zamiast grzmiącego huku, upadek płyty pociągnął za sobą jedynie wycie i trzask łamanych kości.

– O zgrozo! Demon jeszcze żyje! – zawodził jeden z przygnięconych.

– Oszczędź nas, prosimy, o straszliwy! Zostało nas już niewielu, jesteśmy pokonani! Błagamy o życie!

– On jest królem, pozdróćcie naszego zdobywcę! – krzyczeli inni. – Chwała i cześć Conanowi, królowi Aquilonii i Ophiru! – piskliwe pozdrowienia wydobywające się z kilkunastu ochrypłych gardzieli brzmiały wyjątkowo żałośnie.

– Gdzie jest Malvin? – dobywszy miecza Conan przeciął cięciwę łuku i odrzucił go na bok. Rękaw na ramieniu, na którym trzymał łuk, cały był postrzępiony od pracującej cięciwy. – Prowadźcie mnie do Malvina! Jego też muszę zabić! – rzekł chrapliwie.

Kroczył po sali z mieczem w dłoni, kopniakami przewracał ciała na plecy i z ukosa spoglądał na twarze pokryte bladością śmierci, bólu lub strachu. Sala nie była zbryzgana krwią, bowiem strzały zostawiały na ubraniach tylko niewielkie plamy czerwieni. Kiedy mijał kryjówki ocalałych i spoglądał na nich, ci skrzecze drżącymi głosami:

– Witaj, Conanie Wielki!

Nie interesowało go dobijanie tych resztek. Ruszył w stronę miejsca, gdzie stał stół większy od innych. Pod nim kuliło się kilkoro ocalałych. Niski, odziany w chłopski strój człowiek o twarzy pokrytej bliznami wypełził spod blatu i stanął śmiało, wznosząc długi nóż.

– Walcz z nim, mówię ci! Ratuj swoje królestwo! – Ten głos miał wysoki ton, ale nie za sprawą strachu, był to bowiem głos kobiety, chociaż wydawała go ubrana po męsku postać o twarzy skrytej pod kapturem. Postać ta kucnęła obok stołu i namawiała kogoś ukrywającego się pod nim: – Zabij go! Albo przynajmniej staw mu czoło i dowiedz, że jesteś mężczyzną! Obiecuję zginać u twego boku! – Conan zbliżył się i uniósł miecz. Kobieta ubrana w męski strój odrzuciła kaptur i potrząsnęła krótkimi ciemnorudymi włosami.

Spod stołu odezwał się pomruk, zbyt cichy, by Conan mógł coś zrozumieć. Kobieta z uwagą nachyliła głowę, a potem na jej twarzy pojawił się grymas obrzydzenia.

– Targować się, mówisz? Dać mu... co? Nie, Malwinie, tchórzliwy łotrze. Ja daję ci śmierć! – nagłym pchnięciem pograżyła swój sztylet w cieniu za stołem. Rozległ się jęk i łomot skręcającego się ciała i spod stołu wypełził młody mężczyzna. Klinga kobiety przeszła mu kark, rękojeść sterczała tuż za uchem.

– Amlunia... – jęknął lord Malvin, słabnącą ręką chwytając jej kostkę. Potem

rozpląszczył się na ziemi i z ust pociekła mu krwawa piana. Broniący stołu mężczyzna widząc śmierć swego pana rzucił nóż na blat i pokazał puste ręce na znak, że się poddaje.

Kobieta nazwana Amlunią nie zwróciła na to uwagi. Ruszyła na spotkanie Conana, śmiało wkraczając w zasięg jego miecza.

– Zabij mnie, jeśli musisz, łupieżco... albo oszczędź! To, co Malvin chciał zachować za cenę królestwa, ja daję ci darmo! – przywarła do Conana, a jej piersi dotknęły jego zbroi, kiedy wspięła się na palce składając gorący pocałunek na jego ustach. – On nie był mężczyzną, ale ty nim jesteś! Jesteś królem Ophiru i moim, jeśli potrafisz utrzymać to, co zdobyłeś w tej rzezi!

6. OBLĘŻENIE

– Trzymamy Ianthe, niech więc Armiro dobija się do bram, aż sobie pokrwawi pięści! – Conan ruszył na obchód murów. Spoglądał na kryte czerwoną dachówką dachy miasta i na powierzchnię rzeki srebrzącej się w promieniach południowego słońca. – Miasto należy do nas, a wraz z nim resztki ophirskiej armii i połowa królestwa od Rzeki Czerwonej na wschodzie do Arondu na zachodzie – odwrócił się do kroczącej za nim garstki doradców. – Kothyjczycy nadciągają szybko i biją się dobrze, to prawda! Ale to zbyt mało wobec murów miasta i umocnionych przyczółków.

– Tak, panie, a jednak... – hrabia Trocero przysunął się do króla i stanął obok kamiennej krawędzi opadającej pionowo ku stromemu brzegowi rzeki. – Książę Armiro na pewno przystąpi do oblężenia. Nasi obserwatorzy donoszą, że Kothyjczycy już budują przedpiersia i maszyny oblężnicze.

– Oblężenie, tak... – Conan pociągnął nosem, aż jego szerokie nozdrza zadrgały, a potem wybuchnął śmiechem. – Ale na nieszczęście dla księcia miasto Ianthe stoi okrakiem nad rzeką. My trzymamy obie jego części i oba mosty! Jeśli obronimy linie zaopatrzenia, to ataki księcia trudno będzie nazwać mianem oblężenia. W mieście nie będzie głodu, epidemii ani zamieszek! Pamiętaj, że my Aquilończycy jesteśmy wyzwoliczami tego kraju, cieszącymi się poparciem nowego, prawowitego władcy, księcia Lionnarda. – Conan skinął uprzejmie głową drobnemu szlachcicowi, który zgiał się w głębokim ukłonie, poruszając przy tym nerwowo wąsami. – To Armiro powinien obawiać się oblężenia, dopóki panoszy się w naszych posiadłościach, miły Lionnardzie – dokończył Conan.

– Mamy wspólny cel, mój panie – potwierdził skwapliwie Lionnard i ponownie zgiał się w ukłonie.

Król spojrział w dół. Rzeka Czerwona toczyła swój szeroki, bystry nurt od źródeł w górach Karpash, których przedgórze widać i było za delikatną mgiełką okrywającą północny horyzont. W okolicach Ianthe rzeka wiła się pomiędzy skarpami z czerwonych łupków, którym zawdzięczała swą nazwę.

Wysoki, skalisty cypel, na którym stali, wznosił się nad zakrętem rzeki, która zwężyła się w tym miejscu, co umożliwiło przerzucenie mostu. Był to zarazem najdalej w głębi ładu położony port, do którego przez cały rok mogły zawijać statki pełnomorskie. To na tym urwisku w odległej przeszłości jakiś pirat zdecydował się wznieść swą warownię. Tutaj pod feudalną protekcją jego następców przewoźnicy, poborczy myta i kupcy rozkręcali swe interesy. Tutaj powoli wyrastało miasto z coraz to większymi fortami i z mostami.

Teraz z urwiska rozpościerał się widok na dostojne kopuły, wieże i spadziste dachy zwyczajnych domostw i kramów, nanizane na siatkę uliczek, których meandrów nie sposób było wyśledzić nawet z tak dogodnego punktu obserwacyjnego. Dwa mosty przecinały rzekę, jeden powyżej urwiska, drugi poniżej. Górny most był prosty, wsparty na wielu łukach, drugi szerszy, oparty na kanciastych przęsłach, pokryty sklepami i mansardami. Rzekę pokrywały zakotwiczone łodzie i statki, największe z nich musiały cumować poniżej mostów. Wszystko to opasane było mocnym, zjeżonym blankami murem, który rozciągał się prostymi odcinkami pomiędzy rozstawionymi co sto kroków basztami. Przy rzece mur kończył się potężnymi skarpami, których fundamenty obmywał spieniony nurt.

W węźle umocnień, na wysokim, nadrzecznym wzgórzu, wznosiła się cytadela. Na jej najwyższym, południowym murze stał król Conan, któremu towarzyszyli Trocero, książę Lionnard i Egilrude, który nosił teraz zwieńczony orłem hełm oznaczający rangę kapitana. Nieco z boku, oparci o koła katapulty, stali przysłuchując się rozmowie karzeł Delvyn i odziana w skórzaną kurtkę Amlunia. Rzucano się w oczy, że tych dwoje było starymi znajomymi. Chociaż Delvyn unikał kobiet, teraz z nową

faworytą króla wymieniał wypowiedane półgłosem komentarze. – Mamy szczęście, że cytadela leży po stronie aquilońskiej – zastanawiał się głośno Conan. – W przeciwnym razie Kothyjczycy mogliby wysłać z biegiem rzeki statki, by zdobyć mosty i odciąć nas – wskazał ręką rząd groźnych balist stojących wzdłuż blanków. – Tu jednak panujemy nad ruchem na rzece. Te maszyny mogą miotać głazy lub żagwie na każdy wrogi statek, który będzie próbował przepłynąć. Także mosty i znaczna część miasta znajdują się w ich zasięgu – ostatniej uwadze towarzyszyło przelotne spojrzenie rzucone na Lionnarda. Satrapa poruszył się niespokojnie pod jego wpływem. – Jeśli Aquilończycy obsadzą cytadelę i posterunki mostów, sędzę, że wojska Ophiru obronią mury swej stolicy.

Lionnard przytaknął skwapliwie:

– Niech wasza wysokość w to nie wątpi! Żaden lojalny mieszkaniec Ianthe nie otworzy bram łupieżcom Armira z Koth! – chrząknął i zapytał: – Panie, czy nie rozsądniej byłoby posyłać część wojsk na inne kampanie, wkrótce potem jak... uratowałeś Ianthe? – urwał, bo nie miał śmiałości dokończyć pytania i rozejrzał się po zebranych z niemałą prośbą o pomoc.

– Rzeczywiście, panie – zgodził się Trocero. – Armiro to energiczny wódz. Może przekroczyć rzekę i siać spustoszenie na prowincji, a nawet otoczyć miasto w dużej odległości...

– Niech spróbuje – przerwał mu Conan. – Poziom wód jest wysoki, straciłby połowę sił na przeprawie. – Wskazał ręką rzekę meandrującą wśród łąk za murami miasta. – Najbliższy bezpieczny bród leży o dwanaście mil stąd w górę rzeki. W dole nie ma brodu aż do rzeki Khorotas i do morza. Wydałem rozkaz, aby przeciągnięto na naszą stronę wszystkie łodzie i promy i spalono warsztaty szkutnicze oraz przystanie na przeciwnym brzegu. Jasam nie zaryzykowałbym przeprawy prosto w paszczę Armira w innym miejscu niż przez tę mosty. On też nie zaryzykuje, chyba że jest większym głupcem, niż myślę – monarcha stanowczo pokręcił głową. – Nie, Trocero, najlepiej będzie wysłać każdego zbędnego tu żołnierza na północ, na wojnę z Nemedią. Po śmierci swego króla tamtejsi baronowie nie będą ociążać się z okrzyknięciem nowego i rozpoczną wojnę przeciw Aquilonii. Ostatnim razem popełniłem błąd, że nie wykorzystałem zwycięstwa szybko i bezlitośnie. Nie popełnię więcej podobnej pomyłki.

Trocero przytaknął. Był pod silnym wrażeniem słów króla.

– Jeśli nam się uda, narodzi się potężne imperium...

– Nie wątp w nasze zwycięstwo. Nie możemy przegrać! Conan serdecznie klepnął hrabiego po ramieniu, aż ten zachwiał się na skraju przepaści. – Najazd Ottobrandy wyprzedził wieść o śmierci Balta. Nemedyjska szlachta będzie zaskoczona i nie przygotowana. Powiedziałem Prosperowi, żeby wyszukał człowieka, który podobnie jak szlachetny Lionnard zapewni krajowi mądrzejsze rządy. Sam udam się za kilka dni na północ, przyjmę od niego hołd lenny i zajmę się co bardziej wojowniczymi baronami. – Conan położył dłoń na ramieniu doradcy. – Tobie, Trocero, powierzę obronę Ianthe i wiązanie sił Armira, dopóki nie opanujemy sytuacji na północy.

– Z Armirem będziemy mieli do czynienia później, bez wątpienia – wzrok Trocera błędził po wschodniej części widnokręgu.

– Tak – potwierdził król. – Wyrzucenie go z Ophiru będzie tylko krokiem na drodze do podboju samego Koth.

– Widzę dym nad południowym murem, panie – powiedział Trocero, zwracając uwagę na coś, co już po chwili stało się oczywiste dla wszystkich.

– Tak. Armiro pali przedmieścia. – Conan bez wielkiego zainteresowania obserwował szarobrunatne kłęby nad odległymi blankami. – A niech sobie pali! Głupotą było pozwalać na budowę domów za murami miasta.

– Tak, mój szlachetny panie i hrabio Trocero, ale pozwólcie mi, proszę, przerwać – wtrącił się Lionnard. – Odczytałem właśnie sygnały – brodaty książe wskazał błysk odbitego światła słonecznego, migocący na szczycie pobliskiej baszty. – Kothyjczycy atakują pod osłoną dymu. Nasze oddziały proszą o posiłki.

– Tak? – Conan odwrócił się szybko – Dobrze, upewnij się, że je dostaną! Ja też tam pójde. – Cymmerianin na czele świty ruszył do schodów i zaczął schodzić na dziedziniec.

Popędzili przez miasto na łeb, na szyję. Dwóch gwardzistów z oddziału Czarnych Smoków chciało jechać na czele, by torować drogę, ale Conan na swym Shalmaneserze jechał prawie równo z nimi. Trocero i Lionnard pędzili z tyłu, usiłując nie stracić z oczu zadu królewskiego wierzchowca. Jeźdźcy wybrali nowy

most, chcąc ominąć ludzką ciżbę, ale i tak wpadli w tłum na targowej alei prowadzącej do Bramy Oxen, najdalej na południe umieszczonych wrót miasta, znad których dobywał się dym.

Przerażeni grzmotem podków mieszkańcy uskakiwali z drogi jadącym. Spoglądali na mrocznego zdobywcę Ianthe z uczuciem nadnaturalnego lęku. Wszyscy słyszeli bowiem o nagłym zjawieniu się Conana w pałacu hrabiego Malvina i przerażającej masakrze, jaka tam nastąpiła. Kiedy Cymmerianin przejeżdżał w towarzystwie znajomej, choć niezbyt szanowanej osoby Lionnarda, składali mu uległy hołd, chyląc w pokłonie ciemne czupryny. Nie wątpili, że skoro ten straszliwy wojownik podjął się obrony ich miasta, wszystko w końcu zmieni się na lepsze.

W okolicach południowego muru napotkali grupy mieszkańców uchodzących z zagrożonych dzielnic. Z przodu dobiegały ochryple okrzyki oraz świst i trzask głazów uderzających o mur.

– Wy dwaj, zostańcie tu! – warknął Conan do gwardzistów, a ci natychmiast posłusznie ściągnęli wodze. – Oczyszczyć ulicę! W razie potrzeby zrobić użytek z mieczy! Uchodźcy nie mogą zatarasować drogi naszym posiłkom. – Gwardziści odjechali, by wykonać rozkaz.

Pozostali zostawili konie przed bramą i weszli na jedną z flankujących ją baszt. Za murem nie było widać nic prócz kłębow duszącego dymu. Obrońcy kasłali i przecierali zażawione oczy.

– Sprowadźcie na mur kadzie z wodą! – polecił Conan ophirskiemu oficerowi. – Niech twoi ludzie obleją wodą bramę – w tym momencie rozległ się huk, Conan odwrócił się i dostrzegł ukruszony fragment blanków trafiony wystrzelonym głazem i klęczącego człowieka, który dostał odłamkiem. – Na Croma! – warknął Cymmerianin. – Skąd ci Kothyjczycy wzięli katapulty? Zjawili się tu nie wcześniej niż dzień temu!

Przy akompaniamencie regularnie powtarzającego się huku uderzeń, z trudem odnajdując drogę w kłębach dymu, Conan i jego podwładni ruszyli wzdłuż muru, aby dodać otuchy obrońcom. W chwilę później nad bramę napłynęły nowe chmury dymu, zabarwionego płomieniami na rudo i złoto. Stało się jasne, że pod bramą umieszczono jakąś łatwo palną masę.

Na szczęście, pojawiła się wreszcie woda. Rozdano wiadra i wylewano ich zawartość za blanki, co przytłumiło nieco płomienie i dym.

Conan nie miał zaufania do obserwatorów na basztach. Przechodził właśnie do jednej z nich, gdy dostrzegł koniec szturmowej drabiny opierający się z trzaskiem o parapet. Przez rzednącą chmurę dymu dostrzegł szereg wspinających się kothyjskich żołnierzy. Mokre szmaty na twarzach nadawały im nieludzki wygląd.

– Do diabła! Do broni, psy! – ryknął król i chwycił za kark skulonego za blanką halabardnika. Wspólnymi siłami stracili pierwszego z atakujących i odepchnęli zakończony hakami szczyt drabiny. Drabina zniknęła w kłębach dymu, a po chwili dobiegły stamtąd wrzaski i chrząst łamanego oręża.

Obrońcy rzucili się odpierać atak wzdłuż całego muru. Przewracali drabiny i spychali Kothyjczyków pikami i toporami. Z tyłu dały się słyszeć odgłosy nadciągających posiłków, dowodzonych przez aquilońskich oficerów.

Conan, upewniwszy się, że jego rozkazy i zachęty nie są już potrzebne, odszukał Trocero i wraz z nim opuścił mury.

Żołnierską jadalnię cytadeli w Ianthe uprzątnięto i obficie zaopatrzone na użytek królewskiego dworu. Zniknęły prostackie, drewniane stoły i ławy, ich miejsce zajęły ozdobne meble z górnych apartamentów. Kamienne płyty wymoszczono dywanami i poduszkami, a na ścianach zawieszono gobeliny.

Ucztę starszyny powinny były, w zasadzie, odbywać się w górnej sali rady. Zbyt mało czasu upłynęło jednak od rzezi. Szpary w podłodze zbyt cuchnęły krwią i żółcią, aby dało się tam ucztować. Przesądni szeptali, że w pustej sali ciągle rozbrzmiewają echa wrzasków i snują się cienie panów wyróżnionych w tym miejscu.

Tego wieczora zatem król Conan pił i weselił się w bardziej przytulnym pomieszczeniu. Przed nim usadowił się nowy dwór księcia Ophiru. Na obitym sobolimi skórami krzesła siedział książę Lionnard, pyszniąc się swym wyniesieniem i sycąc zemstą. Garstka jego krewniaków, mniej lub bardziej przstraszonych, zasiadała obok poważnego hrabiego Trocero. Kapitan Egilrude i dwóch innych hardo spoglądających aquilońskich oficerów grali w kości. W kącie przy kominku Delvyn niemelodyjnie brzdękał na lutni.

Na szerokim krzesle pod oknem zasiadał Conan z Amlunią. Dziewczyna ubrana

była w czarne, obcisłe skórzane spodnie i buty tej samej barwy. Czarna skórzana kurtka rozpięta była na piersiach z powodu żaru bijącego od kominka. Skóra dziewczyny odcinała się mocną bielą na tle jej czarnego stroju. Rude włosy co chwila spływały na twarz Conana i na jego rozchełstaną koszulę, kiedy pochylała smukłą szyję. W trakcie rozmowy Amlunia wdzięczyła się i przytulała, szepcząc coś do ucha władcy i całując go raz po raz.

Kiedy tak rozmawiali i pili, Delvyn uderzył w struny lutni i zaśpiewał:

Dwór w Ianthe wielu harfistów już gościł,
lecz rychło zapomniał o ich zręczności.
Gdy Conan, król – grajek na harfie przygrywał,
za strunę służyła mu jedna cięciwa.

Wydawało się, że karzeł przyjął wydarzenia w Ianthe i śmierć swego dawnego pana, króla Balta, zupełnie obojętnie. Nie okazywał też skrępowania ani zazdrości wobec zażyłości między Cona – nem i Amlunią. Jedynie hrabia Trocero wydawał się speszony tym, że król dopuszcza się do takiej poufałości morderczą ladacznicę, która jeszcze niedawno należała do jego wroga. Trocero widział w tym kolejny dowód zmian, jakie ostatnio wyczuwał w Conanie. Nie osłabły wprawdzie zapał i zdolności przywódcze króla, więc hrabia zachowywał spokój. Tymczasem Delvyn śpiewał o gniewie, ambicji i walce:

Tańczyli z wieczora, do rana płasali,
a rytm im dyktował szczęk łuku i stali.
Cięciwa śpiewała tak wdzięcznie i z cicha,
że wrogów harfista do snu ukołysał.

Ostatnia strofa pieśni karła wywołała oklaski i śmiech. Amlunia, zmieszana i z rozszerzonymi oczami, opasała ramieniem tors króla i wyjęła kubek piwa z jego ręki spoczywającej na poręczy krzesła. Podniosła wysoko naczynie i przenikliwym głosem zawołała:

– Toast za zdrowie władcy! Za króla Conana, który wygrywa najsłodsze pienia żałobne!

Łapczywie łyknęła z kubka, potem ze śmiechem przytknęła go do ust Conana. Część piwa wylała się mu na twarz, więc dziewczyna odrzuciła kubek i zaczęła namiętnie zlizywać pianę z jego brody i policzków, wreszcie przywarła do ust Conana w długim pocałunku.

Pozostali goście odstawili naczynia i zmieszani lub zachwyceni czekali, aż pocałunek się skończy. Kiedy Amlunia oderwała się wreszcie od króla, który ciężko złapał powietrze, głos zabrał Trocero:

– Nasz król to zręczny grajek! Pozostaje jednak pytanie, wasza wysokość, jakąż to melodyjkę zagramy Armirowi, kiedy znów zapuka do bram miasta?

– Musi mieć szybki rytm, to jasne – rzucił Conan odzyskując dech. – Dziś po południu ten łotr pokazał nam swe umiejętności i zapał swych wojsk. Omal nie zdobył murów, ale na Croma, nie tak prędko znajdzie nowe budy do podpalenia pod naszymi bramami!

– Armiro z Koth ma opinię zdolnego i bezlitosnego dowódcy! – zauważył Lionnard. – Możemy podziękować Mitrze, i Cromowi oczywiście też, panie... – Satrapa poruszył się niespokojnie, kiedy Conan posłał mu podejrzliwe spojrzenie. – Chciałem powiedzieć, że nikt w Ianthe nie zechce otworzyć przed nim wrót, po tym co zrobił w południowym Ophirze. Lęk przed pożogą i rabunkiem wzmoże czujność naszych obrońców. – Lionnard niespokojnie zatopił wzrok w twarzy Conana. – W końcu, o królu, ty zdobyłeś Ianthe prawie bez rozlewu krwi.

– Bez rozlewu krwi? – roześmiał się Conan. – Spytaj o to swego rywala Malvina! Spytaj Balta albo miłą Amlunię – pchnął w stronę księcia krzywiącą się dziewczynę.

– Masz zamiar pokonać go w Koth, panie? – spytał Trocero. – Czy też tylko wyrzucić go z Ophiru? Jedni bogowie wiedzą, czy da się rozdzielić te dwa zadania.

Król wzruszył ramionami.

– Z tego co słyszałem o Armirze, niełatwo pogodzi się z klęską. Zapewne będę zmuszony ściągnąć go do Koth, może nawet do Khoraji albo zniszczyć zupełnie, żeby nie został naszym zawistnym sąsiadem. Cóż, tak byłoby najlepiej. – Conan pociągnął piwa, a potem zdecydowanym tonem dokończył: – Skoro Nemedia nie

zagrozi nam od północy, to cóż... Koth, Khauran, a nawet sławny Turan mogą być nasze wraz z całym tuzinem księstw Shemu! Czy to zaskoczenie spostrzegam na waszych twarzach? – król przybrał bardziej monarszą pozę i potrząsnął czarną grzywą. – Widzicie więc, moi przyjaciele, że Aquilonia dojrzała do tego, aby stać się imperium! Znajdziemy dosyć sojuszników do tej rozgrywki. W swoim czasie osadzałem królów, królowe na co drugim tronie w krajach hyboryjskich! Nadszedł czas, by przypomnieć im stare długi – mówił, mocno akcentując wyrazy, spoglądał na wszystkich z nadpełną uwielbienia, uwodzicielskiej twarzy Amlunii. – W samej Khoraji, ojczyźnie naszego wroga, opiewają mnie jako bohatera narodowego za zasługi położone w służbie dawnej królowej Yasmeli.

– Och tak, królu, wdowa Yasmela, słyszałem o niej! – pisnął Delvyn. – Rządziła na dworze Khoraji, dopóki kilka lat temu władzy nie przejęło stronnictwo Armira. Mówią, że księżę trzymają uwięzioną w prowincjonalnym zamku, w bezpiecznej odległości od pałacowych intryg – błazen brzdąknął w struny lutni. – Ale może to być jedynie plotka rozpuszczana, aby uspokoić jej dawnych przyjaciół. Bardziej prawdopodobne, że Yasmela już nie żyje.

– Co?... Yasmela zamordowana? Albo uwięziona? Nie mów o tym więcej, błaznie! – Conan zachmurzył się i z trzaskiem postawił kubek na stole. – Na Croma! – mruknął groźnie do Delvyna, który wpatrywał się weń spokojnie i zuchwale. – Zapytam cię o to później, na osobności! Ten łajdak Armiro mierzi mnie coraz bardziej!

Jakiś cień padł na myśli króla, bo przestał mówić o imperium. Coraz częściej wołał o piwo i przekomarzał się z wijącą jego boku dziewczką. Rozmawiali o wspólnych upodobaniach: rzezi i rozpuście.

– Mówiono mi, Amlunio, że brałaś udział w bitwie przeciwko mnie wraz ze swym ostatnim panem i że twoje ostrze zebrało krwawą daninę wśród moich piechurów – król ścisnął jej delikatny podbródek w stwardniałych palcach.

– Tak było! – dziewczyna nie okazała strachu, przeciwnie, roześmiała się, uwolniwszy brodę. – Nigdy nie zawracałam sobie głowy nauką walki na kopie czy maczugi, ale konny atak na piechotę to wspaniała zabawa! Lepsza od polowania na jelenie czy dziki!

Teraz roześmiał się Conan.

– Na Croma, podoba mi się dziewczyna, która tak rwie się do boju! Cymmeriańskie kobiety też tak robią. Walczą obok swych mężczyzn i mszczą ich, kiedy padają, często same przy tym ginąc – wspomniał i pogłaskał Amlunię po krótkich włosach i smukłej szyi. – Oczywiście, niektórzy powiedzą, że obecność kobiet na polu walki jest niemoralna... – król pokręcił głową w pijackiej zadumie. – Ech, nie jestem filozofem! Ale dobrze mieć dziewczkę, co gardzi niebezpieczeństwem!

– Dzięki, panie. – Amlunia wierciła się zmysłowo pod dłonią Conana. – By uniknąć gwałtu, noszę pełną zbroję i mocuję ją' ściśle. Jeszcze żaden wojownik nie rzucił mnie z konia i nie dosiadł samemu... znaczy w czasie bitwy!

Na te słowa Conan parsknął, śmiał się długo i głośno. Potem – łyknął piwa.

– Niewątpliwie, Amlunio, niebezpieczeństwo gwałtu tłumaczy twoje upodobanie do skórzanych strojów! – jego ręka zbłądziła pod jej kurtką i zaczęła rozsznurowywać odzienie do końca. – Powiedz mi, dziewczyno, czy czasem nie jest ci w tym zbyt gorąco?

Amlunia chwyciła rękę króla i powiodła nią po swym ciele.

– A co z tobą, o królu? Czyżbyś chciał mnie zgwałcić? Nie pozwoliłabym ci – powiedziała zalotnie.

– Czy to wyzwanie? – Conan odstawił kubek i przyciągnął ją do siebie. – Masz może schowany w bryczesach topór, by odeprzeć mój atak? – spytał i żartobliwie pstryknął ją w ucho.

– Nie, mój królu! Nie możesz mnie zgwałcić! – lubieżnie szepnęła mu do ucha. – Możemy zabawić się wspólnie, ale nie pozwolę, żeby to był gwałt! – po tych słowach nastąpiły umizgi i pieszczoty tak natarczywe, że wykluczały dalszą rozmowę.

Oficjalna część wieczery skończyła się. Lord Lionnard odszedł, przepraszając półgłosem, a wkrótce potem Trocero ruszył na nocny obchód. W towarzystwie króla pozostał tylko Delvyn, śpiący lub zamyślony przy kominku, oraz Egilrude z innymi oficerami. Ci wkrótce zajęli się służącymi. Kobiety, choć początkowo niechętne, nie mogły odmówić zdobywcom miasta. Pozwoliły więc wlewać sobie wino w gardła, a potem dały się obłapiać jak Amlunia, a nawet odwzajemniały pieszczoty żołnierzy.

Swawola przeciągnęła się do późna. Przez większą część nocy służba biegała po

piwo, mięsiva i drwa na opał. W końcu strudzeni hulacy posnęli i okryto ich kocami. Wreszcie zgaszono światła i zapadła cisza.

O świcie odgłos ciężkich kroków i stanowcze szturchnięcia w ramię wyrwały króla z pijackiej drzemki.

– Conanie! Obudź się, królu! Pilna wiadomość, potrzebne są twoje rozkazy.

– Co się stało, Trocero? – rozluźniwszy chwyt na rękogęści sztyletu, który ukrył wcześniej pod zagłówkiem, Conan odsunął na bok bezwładne ciało Amlunii i siadł na dywaniku przed kominkiem.

– Armiro przekroczył rzekę przez most.

– Co? Powiadasz, że zdobył most?! – Conan odrzucił koc i zaczął nerwowo szukać odzienia.

– Nie, Conanie – spokojnie tłumaczył hrabia. – Przekroczył rzekę o milę czy dwie na północ od Ianthe. Zbudował własny most.

– Niech go Crom przeklnie! Masz na myśli most na łodziach? Możemy taki łatwo zniszczyć..

– Nie, panie! Posłaniec mówi, że zbudował prawdziwy most, po którym przeprawia konie i rydwany. Jego oddziały już zajęły przyczółek po naszej stronie rzeki. Zaalarmowałem strażę miejską, ale musimy się śpieszyć, żeby powstrzymać inwazję!

7. KLÓTNIA KRÓLÓW

Jeźdźcy posuwali się w górę rzeki, wśród drzew porastających wysoki zachodni brzeg. Nad wodą wisiała mgła, ale pojawiające się od czasu do czasu przebłyśki słońca i plamki błękitu wskazywały, że powinna się wkrótce podnieść.

Aquilończycy nadciągali powoli i ostrożnie, licząc się z możliwością zasadzki. Trocero i Ottobrand jechali tuż przed królem Conanem, na łękach siodeł opierali tarcze, które miały osłonić go przed strzałami wroga. Tego poranka król nie był w nastroju pozwalającym na galop do boju na czele wojsk.

– Przeklęta mgła! Nic dziwnego, że Armiro zbudował most tuż pod naszym nosem! – warknął Conan.

– Tak jest, wasza wysokość! W nocnej mgle i w huku rzecznego nurtu – przytaknął Ottobrand i na chwilę zamilkł, żeby hałas przewalających się wód mógł dotrzeć do króla. – Mimo to, mój panie, ten książę musi być czarownikiem, że przerzucił most tak szybko, w jedną noc!

– Nie, nie – zaprzeczył król. – Jeśli się nad tym zastanowić, słyszałem opowieści, że stygijska armia używa takich wynalazków przeciwko zbuntowanym plemionom na południowej granicy – spojrzał przed siebie z gniewem. – Armiro musiał zaplanować to dużo wcześniej. Atak na miasto miał tylko odwrócić naszą uwagę. – Conan posępnie pokiwał głową. – Powinniśmy byli wiedzieć o tym i przygotować się. Ty, Ottobrandzie, mogłeś pomyśleć..

– Przed nami most, panie! – generał, któremu pilno było przerwać tę krytykę, podniósł odzianą w rękawicę dłoń i wskazał w górę rzeki.

Tam, między niską kurtyną mgły a pofalowaną powierzchnią wody ciągnął się długi rząd solidnych drewnianych filarów i krzyżowych wsporników. U ich podstawy bystry nurt pieniał się i odbijał od drewnianych ostróg. Dolna krawędź mgły zakrywała przęsła od góry i nie można było dostrzec, czy i co porusza się po moście. Wyglądało to niemal na czarodziejską sztuczkę, ale Conan pamiętał wiele takich porannych mgieł wiszących nad jeziorami Cymmerii. Z pobliskiego lasu dobiegł jakiś hałas. Rozbrzmiał szcęk żelaza, rżenie koni i głośnie przekleństwa. W chwilę później jeden ze zwiadowców wrócił pieszo, przedzierając się przez zielsko.

– Nieprzyjacielskie oddziały przed nami, panie – powiedział Ottobrandowi. – Wzniesli palisadę wzdłuż przeciwnego brzegu strumienia. Obsadzili ją dobrzy łucznicy.

– Wyślij dalej jednego z towarzyszy, którzy nie stracili koni, niech uprzedzi resztę. – Ottobrand uniesieniem ręki zatrzymał grupę jeźdźców i zwrócił się do króla. – Przed nami umocnienia, panie. Wygląda na to, że lepiej nie atakować ich tak małymi siłami. Wydam rozkaz, żeby przysłano nam do południa więcej wojska.

– Tak. A do tego czasu Armiro przeprawi przez rzekę resztę armii. – Conan spiął konia ostrogą, minął generała i ruszył naprzód wzdłuż urwiska. – Rzućmy okiem na ten jego przyczółek.

Tuż przed nimi do rzeki wpadał strumień leśny. Jego koryto wiło się cienistym parowem wśród trzciny i urywało nagle wśród fal Rzeki Czerwonej. Conan osadził

wierzchowca wśród grupy drzew o grubych pniach i popatrzył na przeciwległy brzeg strumienia.

Przed nim wznosił się szaniec osłaniający przyczółek mostu. Długa palisada ciągnęła się nad strumieniem i rzeką, a rosnące przed nią zarośla wycięto prawie do gołej ziemi. Kiedy Conan przyglądał się umocnieniom, żołnierze kothyjscy, odziani w purpurowe płaszcze i szpiczaste hełmy, roili się niczym mrówki, wykonując swoje zadania.

Trocero i Ottobrand zatrzymali się obok Conana. Ujrawszy przed sobą palisadę, generał zaklął cicho.

– Panie, ten książę odgadł, że przybędziemy tą drogą. Podejście jest zablokowane.

– Groźny bastion, jak na coś wzniesionego w takim pośpiechu... – słowa króla przerwał świst nadlatującej strzały i łoskot, z jakim wbiła się w pobliskie drzewo. Równocześnie z drugiej strony strumienia jakiś głos zwrócił się do Aquilończyków:

– Kto przybywa? Czy to Conan, pacholek Ophiru marzący o zdradzieckiej napaści na Koth?

Conan podjechał na sam brzeg, wyprzedziwszy swych oficerów.

– Nie! – odkrzyknął. – Jestem Conan, król Aquilonii i wybawca Ophiru od niszczycielskich napadów Koth! Czy jest tu obecne książętko Armiro i jego wojsko?

– Ja jestem księciem Armiro! – podjął wyzwanie młodszy, bardziej gniewny głos. – Dlaczego nie zwracasz się do mnie z szacunkiem należnym Najwyższemu Tyranowi Khoraji i Wysokiemu Księciu Następcy Koth? – w najwyższym punkcie palisady dało się dostrzec zdobne pióropuszcami hełmy i ramiona dwóch oficerów, prawdopodobnie księcia i jego kapitana.

– Nie znam takich tytułów! Widzę tylko nierozważnego chłystka, którego zachłanność skłania, aby naruszał dziedziny lepszych od siebie! – odparł Conan.

– A ja widzę jedynie nieokrzesanego awanturnika deptającego królewską szatę brudnymi nogami! – odgryzł się ostro książę. – Jaki więc masz tu interes? Przychodzisz błagać o rozejm?

Zza pleców Conana Trocero szepnął pośpiesznie:

– Chce się targować, panie! Daj mu południowy Ophir, byleby tylko wycofał się za rzekę.

– Tak, wasza wysokość, może nawet połowę stolicy na południowym brzegu. Potem możemy ją odbić, kiedy zechcemy – dodał Ottobrand.

Conan zignorował ich uwagi i odkrzyknął grzmiącym głosem, którym zwykł był wydawać rozkazy w bitewnej wrzawie:

– Rozejm! Nie, khorajskie szczenię, przyszedłem po twoją głowę! Pożałujesz dnia, w którym wyruszyłeś, aby zdobyć królestwo, które ja zechciałem wyzwolić! – ryczał. – Możemy załatwić tę sprawę jak mężczyzna z mężczyzną, jeśli czujesz się już na tyle mężczyzną, by stawić mi czoło w pojedynku!

– Tak, to także moje życzenie, choć niemiło mi kalać kothyjską stal krwią nędznego łotra, który udaje króla! Ale skoro śmiałeś mnie obrazić... – na chwilę zapadła cisza, jakby nieznajomy naradzał się z kimś. – Nie mam wyboru. Co do miejsca spotkania, może nim być ta wyspa? – postać na palisadzie podniosła ramię i wskazała na rzekę. – Każdy z nas przypłynie tam samotnie i w walce zdecydujemy, kto będzie władcą całego Ophiru!

Wyspa, którą wskazał, była zwyczajną łachą piasku oddaloną od brzegu na odległość większą niż zasięg strzały z łuku. Wydawało się, że jej powierzchnia jest sucha i twarda, a położenie dogodnie. Wszyscy mogliby obserwować, jak przeciwnicy krzyżują broń na otwartej przestrzeni, i nikt nie mógłby się wmieszać do walki.

– Zgoda, spotkamy się tam! – krzyknął Conan do rywala. Odwrócił się do Ottobranda i polecił: – Sprowadź mi łódź.

– Tak jest, wasza wysokość! Ale, panie, czy doprawdy zaryzykujesz wszystko w pojedynku...?

– Ryzyko? – spytał gniewnie Conan zataczając koniem. – Jakie ryzyko? Przypomnij sobie, że niedawno zabiłem jedną ręką czterdziestu takich gałganów jak Armiro! To będzie drobnostka, dlatego sprowokowałem go do walki – zaśmiał się złowieszczo i spiąwszy konia ruszył w stronę brzegu. – Książę to szczer ładowy. Dobrze, jeśli uda mu się dotrzeć na pole walki nie wpadając w paszczę węża rzecznego.

– Tak, zapewne, wasza wysokość, ale ile jeszcze razy zamierzasz czynić swe

panowanie i losy kraju stawką w walce, której wynik zależy wyłącznie od siły twego ramienia? – zaproponował z kolei Trocero. – Armiro ma opinię dobrego szermierza, silnego i sprawnego nawet jak na swój młody wiek...

– Młody wiek? – król obrócił się w siodło i posłał hrabiemu groźne spojrzenie. – Chcesz powiedzieć, że jestem za stary, że opuściły mnie siły i szczęście w walce? Dlaczego ciągle mnie tym męczysz? Co mam zrobić, żeby udowodnić, że tak nie jest? – z wyrzutem popatrzył na starego przyjaciela. – Czy wystarczy ci, jeśli zostanę królem całego świata?

Podczas gdy Trocero zapewniał Conana o swej wierności i lojalności, dostarczono łódź. Do środka załadowano pełen wybór broni, łącznie ze strzałami i tęgim łukiem. Król zdjął ostrogi, pancerz i ciężką kurtkę, która przeszkadzałyby mu w łodzi. Zamiast tego pożyczyl drewniany pawęż i okrągły hełm od jakiegoś gunderlandzkiego pikiniera. Usiadł twarzą do rufy, chwycił wiosła i zanurzył je w wodzie.

Prąd był silny nawet tu, w miejscu odległym od głównego nurtu. Niemal cały wysiłek musiał Conan włożyć w to, by nie dać się znieść. Wiedział, że Armiro przypłynie z prądem i będzie mniej zmęczony, kiedy dotrze na wyspę.

A jednak nie baczył na wysiłek i dziękował północnym bogom za lata wiosłarskich ćwiczeń, jakie odbył wśród piratów na morzu Vilayet. Posuwał się naprzód nie spuszczać wzroku z wybranych punktów orientacyjnych: ostrej skały na mieliźnie i rozszczępionego drzewa na brzegu.

Był już w połowie drogi do piaszczystej łachy, kiedy dostrzegł, że jego ludzie na brzegu kierują się w górę rzeki. Obejrzał się i zobaczył przeciwnika wyłaniającego się spoza rzecznej cypla. Książę stał wyprostowany, jedną nogę opierał na ławce i sterował swobodnymi uderzeniami dużego wiosła. Z pewnością bardzo mu pomagała jakaś odnoga prądu rzecznej.

Widownia tej sceny powiększyła się znacznie, bo mgła zaczęła się podnosić. Ukazał się drugi brzeg rzeki zatłoczony ludźmi i końmi stojącymi pod obwisłymi sztandarami legionów Koth. Podobnie w górze rzeki ukazał się most, a na nim nieprzerwany strumień ludzi, wozów i koni zdużających na zachód.

Na widok obu władców wiosłujących ku sobie, żołnierze zwolnili i zaczęli gapić się na rzekę. Spowodowało to wrzaski oficerów, którzy jednak z powodu panującego na moście tłoku nie mogli dosięgnąć winnych opóźnienia. Po chwili cały ruch na moście zamarł.

Walczący z nurtem Conan niewiele zwracał na to uwagi. Wiosłował miarowo i płynnie, aż doprowadził czółno do wysepki i poczuł, jak jego dno grzęźnie w błocie.

Powierzchnia łachy była błotnista i lepka, ale pod spodem krył się zbity piasek. Można było tu walczyć. Podczas gdy woda ściekała z jego spodni i butów, Conan przyglądał się zgromadzonej w łódce broni. Wziął wreszcie gunderlandzką tarczę, swój własny miecz, który przypiął do pasa ze sztyletem, i długą włócznię o stalowym grocie.

W zamyśleniu popatrzył na łuk i kołczan, ale nie ruszył ich. W oczach zgromadzonych nie wyglądałoby to na czyn godny króla, gdyby naszpikował przeciwnika strzałami, zanim ten postawił nogę na piasku. Co więcej, w zapalczwych słowach Armira i w jego gotowości do walki Conan wyczuł coś, czym nie mógł gardzić. Może, jeśli książętko dobrze się spisze i w uczciwej walce dojdzie do impasu, warto będzie darować mu życie? Cymmerianin powiedział sobie w duchu, że do zwycięstwa wystarczy mu, by książę przysięgł wycofać się z Ophiru i uwolnić khorajską królową Yasmelę.

Płynąc tu, Conan wiele myślał o swej byłej kochance. W istocie była to główna przyczyna, dla której wyzwiał Armira na pojedynek, miał zamiar zmusić go do odpowiedzi. Gdyby Conan zwyciężył, życie księcia zależałoby od tego, czy zdołałby uspokoić Cymmerianina co do losu Yasmeli. Jeśli królowej nic się nie stało, ten panek mógłby ostatecznie zostać wartościowym sojusznikiem, o ile nauczyłyby się okazywać Conanowi należny szacunek.

Wziąwszy włócznię i tarczę, król ruszył przed siebie po piaszczystej łasze. Łódź Armira zbliżała się już do krańca wysepki. Książę miał na sobie błyszczący napierśnik i obszytą futrem purpurową pelerynę. Strój nie najlepszy, ale dzięki niemu Kothyjczyk wyglądał bardziej po królewsku niż Conan odziany w swój niedbały ubiór. Kiedy książę zbliżył się do wysepki, rozbrzmiały wiwaty żołnierzy przypatrujących się widowisku z mostu i palisady. Wzniosły się pięści, potrząsano włóczniami, a do uszu Conana dotarł przytłumiony odgłos owacji. Dla kontrastu, salut oddany królowi przez garstkę przyjaznych mu wojowników był dlań

tylko milczącą pantomimą.

Jednak uwaga Conana skupiała się na sposobie, w jaki Armiro kierował łodzią. Wydawało się, że robi to wspaniale, ale jakoś zbyt płynnie i jakby bez wysiłku. Długa szalupa poruszała się miarowo naprzód przez pełen wirów nurt, a jednak wiosło księcia kiwało się równym, lekkim ruchem, prawie nie dotykając wody. Czy łódkę popychała jakaś inna siła?

Wkrótce okazało się, że coś wlecze się wzdłuż łodzi. Były to ciemne przedmioty przyłączone do burty i poruszające się miarowo. Kiedy łódź weszła na mieliznę w pobliżu wyspy, przedmioty te okazały się głowami i ramionami dziesięciu mężczyzn, którzy zanurzeni w wodzie szli po dnie rzeki. Kiedy tylko wynurzyli się z wody, odrzucili rurki, przez które poprzednio oddychali, chwycili łódź i wyciągnęli ją na brzeg.

Armiro przestał udawać, że wiosłuje i wyszedł z łodzi, kiedy ta zatrzymała się na piasku. Uśmiechając się cynicznie, książę założył strzałę na ciężki krótkiego łuku. Jednocześnie jego towarzysze, nie czekając aż woda ocieknie z ich umazanych czerwonym mułem ciał, sięgnęli do łodzi po naciągnięte już kusze.

Między nierównymi stronami pojedynku nie było żadnych zbędnych słów. Łuk księcia wzleciał wysoko w powietrze, po czym upadł na ziemię – to Conan wyrwał go strzelcowi końcem włóczni. Gorzej było ze strzałami kuszników, którzy rozstawiając się w wachlarz przybierali pozycje strzeleckie stając lub klęcząc. Wobec takiego zagrożenia król zdecydował się na sromotną ucieczkę, odrzucając włócznię i skacząc na głowę do wody. Natychmiast oblepiło Conana błoto, a własny miecz, pozbawiony pochwy, ukłuł go w nogę. Ślizgając się brzuchem po mieliznie, Cymmerianin czuł, jak tuż obok wbijają się w błoto ciężkie bełty.

Łodowata woda stawała się głębsza, więc król przestał rozbryzgiwać ją chaotycznie i popłynął zwinnie jak delfin. Zsunął buty i pozbył się zawadzającego miecza. Zostawił sobie hełm i drewnianą tarczę dla osłony pleców. Po chwili wynurzył się, żeby złapać haust powietrza i w wodę uderzyła następna salwa pocisków. Jeden bełt trafił w hełm przyprawiając Conana o wibrację mózgu, inne utkwily w tarczy. Cymmerianin znów zanurkował. Przedostał się na głębie i pozwolił, żeby rzeka go unosiła. Hełmu i tarczy używał dla osłony, kiedy wypływał, by złapać łyk powietrza. Potem pracując rękami i nogami próbował zniknąć z widoku swym prześladowcom.

Zrzędzeniem losu jego oficerowie sprowadzili już z przystani drugą łódź. Za jej pomocą wyłowili teraz króla w dole rzeki, poza zasięgiem kusz. Trocero pomógł Conanowi przerzucić ciało przez burtę i uwolnił go od pogiętego hełmu oraz tarczy najeżonej krótkimi bełtami. Ottobrand i jakiś szeregowiec powiosłowali w stronę brzegu, podczas gdy Conan zdejmował przemoczoną koszulę. Wyciskając wodę z bryczesów trafił na głęboką ranę na pośladku i zaklął z wściekłością.

– To była śmierdząca zdrada, królu! – zaklinał się Trocero. – Wszystkim bogom dzięki, żeś ocalał! Dostrzegliśmy coś podejrzanego w sposobie prowadzenia łodzi przez Armira, ale byłeś już wtedy poza zasięgiem naszych głosów – hrabia potrząsnął głową spoglądając ostrożnie na Conana. – Ten podstęp dowodzi, że książę, choć bystry i szczwany, nie jest honorowym przeciwnikiem.

Conan zachowywał ponure milczenie, gdy płynęli do brzegu pod okiem aquilońskich wojsk. Jedynym dźwiękiem, jaki przebijał się przez szum wody, było dobiegające z oddali echo wiewatów, kiedy Armiro i jego giermkowie odbijali od wysepki w dwóch łodziach.

– Cóż, mój królu – odważył się przerwać milczenie Ottobrand. – W każdym razie ani nie zyskaliśmy, ani nie straciliśmy zbyt wiele, jeśli pominąć rany waszej wysokości, które wszelako nie wyglądają zbyt groźnie. Ciągle jeszcze możemy pokonać Armira z Koth. Co więcej, wieść o jego perfidii podniesie ducha każdego uczciwego Aquilończyka. Posłałem już rozkazy do naszych w górze rzeki, żeby przygotowali płonące łodzie do zniszczenia mostu...

– Dosyć, generale! – król zeskoczył z łodzi na brzeg, wziął z rąk któregoś z żołnierzy końską derkę i zaczął się wycierać. – Wiem, że ty i hrabia Trocero potraficie oprzeć się temu oblężeniu, więc zostawiam to na waszej głowie. Ja na jakiś czas opuszczę Ianthę.

– Ależ Conanie, królu, co masz na myśli? – Trocero stracił dech ze zdumienia. – Czy zamierzasz jechać na północ i dołączyć się do Prospera w Nemedii? Ostrzegam cię, panie, że jeśli nie zdołamy rozbić tego kothyjskiego bandyty, to w ciągu kilku dni może on okrążyć miasto – hrabia ponuro potrząsnął głową, spoglądając Conanowi prosto w oczy. – Wtedy trudniej ci będzie przybyć tu z

odsieczą i przerwać oblężenie. Panie... czy jesteś przy zdrowych zmysłach?

– Ufam, że dasz sobie radę z Armirem z Koth i zajmiesz się Delvynem i Amlunia – powiedział król wkładając bryczesy i koszulę wręczoną mu przez jednego z oficerów. – Jeśli ma dojść do regularnego oblężenia, to lepiej żebym stąd wyjechał, bo obrona nigdy nie była moją specjalnością. – Naciągnawszy koszulę pochylił się – ku hrabiemu i zwrócił się doń poufnym tonem: – Trocero, jadę do Khoraji. Sam, po to by zatroszczyć się o... pewną dawną sojuszniczkę. Mówiono mi, że ktoś źle się z nią obszedł, a ja nie mogę zawieść jej zaufania.

– Conanie... wasza wysokość – jęknął Trocero zniżając głos. – Czy naprawdę porzucasz podboje, żeby pogalopować za jakąś starą miłością? A co z twoimi wrogami? Jeśli pożądasz jakiejś cudzoziemskiej królowej, to dlaczego nie pošlesz na ratunek armii?

– Armia jest zbyt powolna! – zareplikował król również szeptem. – A co do mojego wroga, to jeśli ktokolwiek może mi powiedzieć, jak pokonać młodego Armira, tym kimś jest Yasmela!

8. TWIERDZA NAD GÓRSKIM JEZIOREM

Conan Cymmerianin, samozwańczy król Aquilonii, był bez wątpienia twardym mężczyzną. Nie raz i nie dwa przemierzył cały świat od Argos po bajeczny Khitai i z powrotem do Zingary. Po drodze, którą teraz przemierzał, maszerował, galopował, skradał się i bywał wleczony w okowach wielokrotnie, przy różnych okazjach. Kłopoty nieodmiennie towarzyszyły mu na każdym kroku. Był jednym z tych, na których trzeba pilnie uważać i kryć skarby oraz córki na wydaniu.

Z biegiem lat po wszystkich krajach rozeszła się sława imienia Conana – przestępcy, buntownika, wybawcy i zdobywcy. Pod własnym imieniem i wieloma przydomkami zyskał w wielu krajach więcej przyjaciół niż żyjących wrogów. Kobiety i mężczyźni skupiali się u jego boku, zdobywali fortuny lub ginęli. Kilka lat temu obwołano go monarchą największego z państw hyboryjskiego świata. Niełatwo było więc Conanowi przebyć wrogi kraj Koth samotnie i anonimowo.

Na domiar złego bardzo rzucał się w oczy. Północny barbarzyńca w krainie smagłych, krągłolicych południowców wyróżniał się topornymi rysami twarzy i błękitnymi oczami. Potężne rozmiary ciała, siła i charakterystyczna, kocia gracia ruchów były niczym noszona na szyi tabliczka z imieniem.

Aby pozostać nie rozpoznany, Conan zaopatrzył się w zwykłe, pospolite odzienie. Narzucił na siebie wytarty i zakurzony płaszcz z kapturem, który zupełnie nie przypominał królewskiego stroju. Co do koni, ograniczył się do pary mocnych, pospolitych wierzchowców o ciężkich pęcinach i błotnistej maści. Przed opuszczeniem Ophiru wymienił trzos pełen szczerozłotych aquilońskich monet na fałszowane monety wschodnich królestw, które mniej rzucały się w oczy.

Wyrzekł się też pocałunku brzytwy i zapuścił grubiańską, szarą – brodę. Udawał chromego, co nie sprawiało mu trudności, bowiem długie dni jazdy konnej fatalnie wpływały na stan rany w tylnej części ciała. Utrzymywał w czystości zranione miejsce, co do reszty ciała, pilnował, by miała zapach, który nawet stajennych zniechęcał do dłuższej rozmowy.

Conan przybrał pozory człowieka potulnego i stroniącego od ludzi. Przyszło mu to z największym trudem, ale było najistotniejszą częścią kamuflażu, zarówno bowiem jako król, jak i jako złodziej wyróżniał się przede wszystkim żywym temperamentem. Podczas kilku szybkich starć na gościńcu i w gospodach powściągał swój gniew i nie dał się ponieść bojowej furii.

Król Conan mijał spalone i splądrowane wioski południowego Ophiru i przemierzał usiane zamkami, zielone przestrzenie Koth. O ile mógł się zorientować, nikt go tu nie rozpoznał. Gdyby jednak któryś z karczmarzy przyjrzał się z bliska złotej aquilońskiej monecie zagubionej wśród miejscowych srebrników i miedziaków, mógł na niej rozpoznać oblicze posępnego cudzoziemca, który zjawiał się w kłębach kurzu, by spędzić noc na stryszku nad stajnią i wyruszyć długo przed wschodem słońca.

Wreszcie Conan porzucił pofałdowane niziny Koth i zapuścił się w wąskie doliny górskiego królestwa Khoraji. Miał teraz czas, by pogrążyć się we wspomnieniach o dawnej księżniczce – regentce Yasmeli. Przypomniawszy sobie, jak wybrała jego, pierwszego cudzoziemca napotkanego w nocy na ulicy miasta, aby dowodził jej wojskami i spełnił niezwykłą wizję tego, co według Yasmeli, było wolą boga Mitry. Wspomniawszy, jak razem pokonali nieśmiertelnego czarownika Natohka, znanego ludowi pod imieniem Czarnego Kolosa, i jak świętowali swój

tryumf pewnej namiętnej nocy wśród ruin zalanych światłem księżyca.

Zmarszczył brew na wspomnienie tego, jak przytłoczona sprawami rodziny i królestwa Yasmela coraz rzadziej ulegała jego zalotom. Jak poświęcała swój czas i energię na łagodzenie surowych, rządów swego brata, króla Khossusa; jak po wyjeździe Conana używała swych kobiecych wdzięków, aby kierować szlachetnie urodzonymi. Ostatecznie jednak w odwiecznej grze dworskich intryg skończyła jako pionek.

Od czasu gdy został królem, Conan otrzymywał wieści z Khoraji za pośrednictwem posłów i szpiegów. Wiedział, że król Khossus umarł jakiś czas temu. Publicznie ogłoszono, że przyczyną zgonu była choroba, ale równie dobrze mogła do tego przyłożyć ręki jakaś wysoko postawiona osoba. Księżniczka Yasmela, zamiast od razu wstąpić na tron, odgrywała jakąś niejasną rolę w długim korowodzie pretendentów do tronu, kanclerzy i książąt. Wypadki te doprowadziły do przechwycenia władzy przez nie znane bliżej książatko. Tytuł Najwyższego Tyrana najprawdopodobniej został wymyślony przez samego Armira. Polityczne burze w Khoraji wkrótce musiały wydać mu się śmiesznie małe w porównaniu z nawałnicą na szczytach władzy w Koth – nowym polu ambicji khorajskiego samozwańca.

Conan myślał dotąd, że bez względu na polityczne wstrząsy w górskim królestwie, Yasmela jako ulubienica ludu i wybawicielka Khoraji zajmuje honorowe i bezpieczne miejsce w państwie. Jednak ten wysoko postawiony matacz Armiro zamknął ją w Tarnhold. Conana dręczyła myśl, że dawna kochanka może być torturowana i morzona głodem w podziemiach tej twierdzy. Ogarnięty niepokojem król zjechał z północnych, granicznych przełęczy i przez zalesione stoki dotarł do doliny Tarnhold.

Przypominał sobie, że słyszał kiedyś o tamtejszym zamku służącym niekiedy jako więzienie. Teraz miał przed sobą tę potężną twierdzę noszącą ślady kolejnych form architektury nakładających się na siebie przez stulecia. Całość otoczona była stromym, zwieńczonym blankami murem dochodzącym w jednym miejscu do skraju gęstego lasu. Główna wieża wznosiła się na cyplu wcinającym się w wody górskiego jeziora. Wiele fortec w Khoraji położonych było w podobnej scenerii, jednak żadna nie przedstawiała tak ponurego widoku.

Przejeżdżając przez pagórek po ścieżce biegnącej brzegiem jeziora, Conan zastanawiał się, co przydawało Tarnhold tak groźnego wyglądu. Może był to szaroczarowy odcień potężnej budowli z kamienia, ciemniejszy nieco od granitu otaczających ją skalnych ścian. Może porastająca jej podnóże cherlawa roślinność, a może mroczny wygląd samego jeziora. Wydawało się, że chwyta ono światło słoneczne, aby utopić je w swej szarozielonej toni, zamiast odbijać. Może przyczyniały się też do tego strzępy obłoków jakby ponabijane na okoliczne szczyty. Wydawało się, że ich posępne cienie spływają po zalesionych stokach i skupiają wokół twierdzy nad jeziorem.

Conan pomyślał, że w tak niegościnnym otoczeniu Yasmela nie cieszy się zapewne dobrym zdrowiem. Przekupień, którego wypytywał o twierdzę, zareagował na ciekawość Cymmerianina lękiem i wykrętami. Niechętnie dał się namówić do rozmowy o zamku i przerwał ją gwałtownie, kiedy padło imię Yasmeli. Conan wziął to za otwarte potwierdzenie jej nieszczęścia. Postanowił nie zmuszać kupca do mówienia, aby jakaś pogłoska nie przeniknęła do – strażników zamku.

Kilku wartowników, których wypatrzył, nie wyglądało zbyt groźnie. Odziane na szaro postaci z halabardami, snujące się po murach w tę i z powrotem, nie wydawały się poważnymi przeciwnikami. Także szorstkie, nadgryzione zębem czasu mury zamku ułatwiały wspinaczkę. Conan dostrzegł, że wartownicy czujniej spoglądają do środka niż na zewnątrz. W nocnym mroku nie powinno być trudno prześlizgnąć się między nimi.

Conan nie miał jednak zamiaru czekać tak długo. Postanowił wejść do twierdzy za dnia. Sprowadził konie ze ścieżki do miejsca, gdzie rzadki las skarłowaciałych drzew osłaniał zwierzęta od strony zamku. Oporządził wierzchowce, po czym założył im siodła i wodze, by były gotowe do szybkiej ucieczki. Potem poczołgał się w stronę jeziora.

Woda była ciepła i lekko pachniała siarką. Przy brzegu, wśród kęp trzciny i turzycy, unosiły się grube skupiska alg. Conan zsunął się do wody i posługując garściami piachu niczym mydłem, umył się starannie, bowiem zapach brudnego ciała, który poprzednio odstraszał ciekawskich, teraz mógł go zdradzić. Potem zaczął płynąć w stronę fortecy. Miał na sobie tylko bryczesy z cienkiego jedwabiu, a ciemną grzywę związał teraz na karku. Stroju dopełniał sztylet na rzemieniu przerzuconym przez ramię. Cymmerianin uważał, że jeśli będzie

potrzebował czegoś więcej, zdobędzie to później, wewnątrz twierdzy.

Rana na pośladku zagoiła się już w wystarczającym stopniu. By nie wzburzyć wody, Conan wiosłował płynnie ramionami, aż stopy musnęły porośnięte wodorostami dno. Wtedy ukrył się za kępą trzciny i bacznie obserwował masywną ścianę twierdzy.

Z jednej strony łączyła się ona z mniej wyniosłym murem osłonowym. Na blankach nie było widać żadnego wartownika, więc Conan zanurkował i odpłynął kilkadziesiąt kroków w stronę środka jeziora, aby stąd raz jeszcze obejrzeć stromą przeszkodę.

Od tej strony nie było okien poza wąskimi szczelinami rozmieszczonymi wysoko na szaroczarnej powierzchni muru. Kamienna ściana była zwietrzała i spękana, mimo to wspinaczka do okien albo na wystający wyżej dach trwałaby długo i narażała intruza na wykrycie. Łatwiej było wdrzeć się na mur z boku, gdzie nowsza część budowli łączyła się ze starszą, której rysy dawały więcej chwytów do wspinaczki.

Conan postanowił jednak zbadać najpierw zanurzone w wodzie fundamenty murów. Mogły się tam znajdować odpływy ścieków, umożliwiające skryte wejście do zamku. Nabrał powietrza w płuca i zanurkował z otwartymi oczami.

Cymmerianin zdziwił się na widok tego, co ujrzał w zielonkavo-żółtym blasku światła przenikającego przez powierzchnię. Poziom wody najwyraźniej podniósł się o kilka sążni w ciągu minionych stuleci, być może spowodowała to jakaś lawina, która odcięła odpływ ze stawu. Na porośniętym wodorostami dnie stawu znajdowała się dawna przystań i wejście do zamku.

Bepośrednio przed Conanem rozpościerało się kamienne nabrzeże, na wprost pogrzebane w szlamie i roślinności. Dalej w ciemnej ścianie twierdzy ział pustką zaokrąglony portal. Zapewniał on dostęp do najniższych zalanych piętrowości twierdzy.

Jeśli przejście pozostawało nadal otwarte, to właśnie tego potrzebował Conan. W płucach zabrakło mu już tchu, więc wypłynął na powierzchnię tuż pod ścianą, w której szczelinach gnieździły się roje wodnych pajaków. Król uznał, że nikt go tu nie dostrzeże, więc pozwolił sobie na dłuższy odpoczynek. Oddychał głęboko niczym poławiacze pereł na morzu Vilayet. Potem pomyślał o delikatnej Yasmeli skazanej na codzienne oglądanie tak ponurej okolicy, o ile w ogóle miała jakiś widok z okna, nabrał po raz ostatni powietrza i zniknął pod powierzchnią.

Zatopiona brama wyglądała groźnie. Wodorosty przesłaniały jej przepastne wnętrza, ale Conan nie tracił czasu na przecinanie ich. Energicznie rzucił się naprzód i w dół, przepłynął pod zwornikiem portalu i po omacku przedarł się przez zielonkawą serpentynę.

Korytarz był ciemny, a oczy Conana nie miały dość czasu, aby oswoić się z mrokiem, coś jednak przed sobą dostrzegł. Nie były to, jak się obawiał, drzwi, lecz krata z pionowych sztab. Metalowe pręty wyglądały na zgrubiałe i zdeformowane od rdzy, a całość była tak pogięta, że rosły mężczyzna nie powinien mieć kłopotu z przeslizgnięciem się przez nią.

Cymmerianin podpłynął do kraty, oparł się barkiem o jedną ze sztab, chwycił drugą, a stopą zaparł się o trzecią. Potem wyteżył całą siłę, by rozepchnąć pręty. Poczul, że metal żadnej ze sztab nie ustępuje w dostrzegalnym stopniu. Właśnie miał ponowić wysiłek, gdy nagle dotarło do niego coś, co radykalnie zmieniało jego wyobrażenie o przeszkodzie, z którą się zmagał.

Poczul, że pręty ozywają w jego uścisku, przesuwając się harmonijnie i z mocą. Dostrzegł, że zginają się w zgrubieniach, które uprzednio brał za skupiska rdzy. W pierwszej chwili pomyślał, że krata łamie się pod naciskiem walącego się stropu tunelu. Wlepił wzrok w ciemność nad głową i pojął prawdę, która sprawiła, że omal nie wypuścił powietrza z płuc. Sztaby, które ścisnął, były pancernymi nogami ogromnego pajaka wodnego, gnieźdzącego się w tym tunelu. Nawet jeżeli dotąd spał, teraz na pewno już się zbudził. Conan dostrzegł parę wielkich, fosforyzujących zielonkavo oczu, odróżnił też szczęki osadzone na spodzie łba i poruszające się szybko na znak rozbudzonego apetytu. Zwierzę wyciągnęło w dół dwa szczękoczułki. Ich ostre końce zagięły się na kształt haków, gotowe pociągnąć Conana w stronę wygłodniałej paszczy. Król odbił się desperacko i potężnymi uderzeniami ramion skierował z powrotem do wyjścia. Jednak drogę zamknęły mu nogi potwora, które pewnie przesunęły się nad nim i uwięziły go niczym w wysokiej, wąskiej klatce. Cymmerianin obrócił się w bok i przecisnął połowę ciała między dwiema pajęczymi nogami, które zsunęły się w tym momencie ściskając talię człowieka w ciasnym uchwycie.

Conan, miotając się z furia, zdołał sięgnąć po sztylet i dobył go z pochwy.

Krótką głównia posłużyła do daremnej szermierki z hakowatymi pazurami, które nakłuwały jego ciało, potem zaczął nią dźgać w jedną z wiążących go nóg. Jednak pancerz potwora był gruby i twardy, a jego stawy połączone mocno jak u homara.

Oszalały z gniewu Conan zdał sobie sprawę z tego, że potwór wcale nie musi go zjadać żywcem ani nawet miażdżyć. Wystarczy, że przytrzyma go jeszcze przez kilka chwil, dopóki życie nie ujdzie z niego w srebrzystym strumieniu mknących ku powierzchni bąbelków. Ubywało mu sił, walczył jeszcze, ale czuł już, że nadchodzi koniec. Buntując się przeciw takiemu losowi, napierał rozpaczliwie, dźgał łapy i czułki potwora, chwycił się wodorostów, które splatały się z jego rozpuszczonymi włosami.

Opór człowieka wywarł jednak pewien wpływ na wodnego potwora. Za sprawą szaleńczych wysiłków ofiary stworzenie zaczęło przesuwac się w stronę portalu. Conan, niemal oślepiły z braku tchu, poczuł, że uderza głową o sklepienie tunelu. Konwulsyjnie czepiając się obrośniętych wodorostami kamieni, włókł za sobą wodnego pajaka.

Tak dotarł do krawędzi tunelu. Tu wsunął ostrze sztyletu w jakąś szczelinę, obiema dłońmi uchwycił się rękojeści i z całej mocy spróbował wyrwać z odnoży potwora.

Wysiłki Conana nie rozerwały uścisku pajaka, nie zdołał też wywlec bestii z jej skalnej kryjówki. Zamiast tego oderwał się zwornik portalu. Opadając, minął Conana, trafił w łeb pajaka i pociągnął obu przeciwników na dno. Potem z powolnym, lecz narastającym dudnieniem ruszyła cała lawina obluzowanych głazów. Conan poczuł, że chwytą go potężny zwal gruzu, wyciskając z płuc resztkę tchu, a z umysłu świadomość.

9. KRÓLESTWO ZŁUDZEN

Piekło było miejscem ciemnym i zimnym.

Conan zastanawiał się czasem, jak będzie ono wyglądać. Słyszał, jak barachańscy piraci ostrzegali przed wodnymi zaświatami, a konający Shemici bredzili o jeziorach niegasnącego ognia. Ballady Aesirów opowiadały o posępnej, lodowatej przestrzeni, dziwnie przypominającej ojczyznę śpiewaków. Natomiast to miejsce było zimną otchłanią, pełną ostrych kamieni i kapiącej wody. Cuchnęło wilgocią, pleśnią i zgnilizną.

Cymmerianin leżał na twardej, kanciastej powierzchni przypominającej kamienne schody. Dolną połowę ciała miał pogrążoną w wodzie i zdrętwiała z zimna. Poruszył się lekko. Jego członki były obolałe i potłuczone, jakby tuzin demonów obił go za jego występki. Mimo to zdołał wczolgać się na pierwszy suchy stopień i usiąść na nim. Później, kiedy odrętwienie trochę ustąpiło, podniósł się i oparł plecami o kamienną ścianę.

Miał wrażenie, że bogowie życzą sobie, by ruszył w górę. Tak też zrobił wymacując stopień za stopniem. Schody skończyły się płaskim podestem, ograniczonym drugą kamienną ścianą. Odległość między ścianami lekko przekraczała zasięg rozłożonych ramion. Logika podpowiadała Conanowi, że to tylko korytarz, jednak gdy szedł między ścianami, w tych krótkich chwilach, kiedy jedna ręka nie dotykała już wilgotnej, szorstkiej powierzchni, a druga jeszcze nie zdążyła dotknąć kamieni przeciwległej ściany, coś kusiło go, by upaść na twarz i chwycić się kurczowo kamiennej posadzki, byleby nie pozostać w czarnej i nieograniczonej przestrzeni.

Wreszcie opanował się. Wkrótce spostrzegł, że korytarz ma zakręty. Miał także drzwi obite zardzewiałymi płytami i zamknięte na zasuwy. Trupi odór dobywający się z tych pomieszczeń był zbyt ostry, aby zachęcić go do wejścia. Conan zastanowił się, czy wkrótce znajdzie otwarte, ziejące pustką drzwi, które będą przeznaczone właśnie na niego?

W jednym z rozwidleń korytarza znalazł skarb. Wisiał w powietrzu i błyszczał niczym najwspanialszy klejnot. Była to skośna smuga światła, oświetlająca kilka drobin pyłu unoszących się w powietrzu.

Promień nie rzucał ani odrobiny światła na Conana ani jego otoczenie. Zaczynał się na tyle wysoko, że nie sposób było ustalić jego źródła. Skrywały je najpewniej jakieś występy czy przypory sklepienia. Ściany były zbyt oddalone od siebie i zbyt gładkie do wspinaczki nawet dla górala, zatem Cymmerianin musiał zadowolić się wyciąganiem obolałej szyi i obserwacją srebrnej gry światła na drobinach pyłu.

Odkrył, że skacząc w górę i wymachując rękami, może sprawić, by pył układał

się na promieniu w ruchome wzory. Choć była to bezsensowna zabawa, powtarzał ją jednak, bo pozwalała mu ona uwierzyć we własne istnienie. Trzymając jedną dłoń na tle delikatnego promienia, zobaczył, że niemal odróżnia jej znajomy kształt: cztery grube palce i zrogowaciały kciuk. To znaczyło, że ciągle jeszcze ma kształt człowieka, a gdzieś poza tą czarną próżnią obracają się kręgi niebios i być może istniała szansa, by tam wrócić.

Odkrycie to spowodowało ożywienie w jego skołatany umyśle. Przypomniał sobie długą podróż, pływanie, walkę i niebezpieczeństwo... chyba, mimo wszystko, nie był jeszcze w piekle. Ruszył po omacku wzdłuż ściany korytarza zdecydowany odnaleźć wyjście.

W następnym łuku wejściowym nie było drzwi. Wlepiając oczy w czarną pustkę, ruszył naprzód i poczuł, że kamienie usuwają się spod jego stóp i spadają w otchłań. Rzucił się do tyłu, chwycił framugę drzwi i wyciągnął się ze zdradliwej przepaści. W tym momencie spadające kamienie uderzyły z grzmiotem o niewidzialną powierzchnię wody.

Dyszząc z ulgą Conan postawił stopę na progu i wsłuchiwał się w szum fal wywołanych przez spadające kamienie. W dźwięku tym było coś dziwnego, jakby ciecz była ciężka i lepka. Uznał, że przed nim znajduje się jakaś zavalona galeria. Jednak zaraz w umyśle Conana powstał inny obraz, sadzawki czy fontanny, szerokiej i okrągłej, otoczonej odcinającymi się na tle czarnego nieba zarysami ruin. Wewnętrzna wizja podpowiedziała mu, że ciecz przelewająca się w sadzawce nie była wodą, była gęstsza, atramentowo czarna i oleista, nie poruszał jej wiatr, ale jakaś nieznana siła. Kiedy tak stał zasluchany, plusk stał się głębszy i zmieszał się z głośnym bulgotem bąbli wydobywających się głęboko spod powierzchni. Hałas ten przeszedł w dźwięk podobny do ludzkiej mowy.

Za chwilę do uszu Conana doszedł odgłos jeszcze bardziej złowieszczonego zjawiska. Bulgotanie przeszło w plusk spadającego płynu, jakby strumyki atramentowej cieczy ociekały z czegoś masywnego, co właśnie wynurzało się powoli ze środka sadzawki.

Conan wyczuł zagrożenie nie tyle dla ciała, co dla samej duszy, odwrócił się więc i natychmiast opuścił to miejsce. Biegł na oślep, po omacku znajdując drogę. Odgłosy nie ściagały go, on jednak uciekał dalej po pochyłości, w górę, przez puste przejścia i korytarze. W pewnej chwili wpadł z rozpędu na drewniane drzwi, które ustąpiły z trzaskiem pod jego ciężarem. Wleciał do środka, rozerwał zasłonę z tkaniny i... stanął zdumiony.

Pokój przed nim zalany był blaskiem dnia. Musiał natychmiast zamknąć oczy, ale przedtem dostrzegł, jak jakaś kobieca sylwetka gwałtownie porusza się wewnątrz pokoju.

– Conanie? Czy to ty?

Głos wydał mu się dziwnie znajomy.

– Czy to jest naprawdę Conan z Cymmerii? Śniłam o tobie przez trzy ostatnie noce! – Poczuł, jak delikatne dłonie rozsuwają jego palce, którymi zasłaniał oczy przed palącym światłem. – Tak, ty jesteś moim Conanem! Trochę tylko się postarzałeś, ale teraz jesteś przystojniejszy niż kiedykolwiek – poczuł miękkie pocałunki na powiekach, policzkach i suchych ustach. – I jesteś teraz królem! – Zorientował się, że twarz przywierająca do jego twarzy jest mokra od łez.

– Yasmelo, dziewczyno. Znalazłem cię, na Croma! – osłabiony osunął się na jedno kolano. – Chwilę temu myślałem, że jestem w piekle. Teraz wiem, że jestem w raj!

Zmusił się, aby na moment otworzyć powieki i dostrzegł olśniewającą piękność. Zamknął powieki i długo cieszył się jej obrazem: jagodowymi ustami, głębokimi piwnymi oczami, pięknie rzeźbionymi rysami twarzy i ciemnymi włosami o złotym połysku.

– Jesteś piękniejsza niż dawniej, Yasmelo, o ile to w ogóle możliwe! – Przytulił ją i kołysał w ramionach. Jej ciało osłaniało go od światła, tak że mógł znowu otworzyć oczy i dostrzec miękką, oliwkową skórę jej szyi, spowitą w przejrzystą jak mgiełka tkaninę i otoczoną łańcuszkiem od złotego wisiora.

Przywarli do siebie w milczeniu, a kiedy rozluźnili uścisk, Conan powstał na równe nogi. Jego oczy przyzwyczyły się do światła na tyle, że mógł zobaczyć każdy szczegół pomieszczenia.

Apartament był bogato urządzony, sklepienie wspierało się na pięknie rzeźbionych kolumnach, wszędzie stały wytworne meble. Na przeciwległym końcu pomieszczenia, za trzyczęściowymi drzwiami balkonowymi rozpościerał się widok na górskie jezioro połyskujące w świetle wieczornego słońca. Za plecami Conana

sterczały uchylone i nadwerężone drzwi wejściowe. Poprzednio zasłaniał je bogato wyszywany arras, który zsuwał się na ziemię ze złamanej żerdzi.

– To wejście do cel – wyjaśniła Yasmela. – Są zalane i niezdrowe, jak zapewne wiesz. – Oddaliła się, by przymknąć drzwi.

– Tak, zamknij je. – Conan podszedł, aby jej pomóc. – Możesz złapać malarię... albo coś może złapać ciebie. – Odłamał kawałek drewnianej drzazgi i włożył ją za framugę, potem przycisnął stopą i zaklinował mocno. – Lepiej byłoby zabić gwoździami – dodał zwracając się do Yasmeli. – Ale powiedz mi, Yasmelo, co to za miejsce? Czy ciągle jesteśmy w Tarnhold? Mój umysł był zamroczony, zanim ocknąłem się w twym więzieniu.

– Jesteśmy w Tarnhold, a moje okna wychodzą na jezioro Aubril. Jest ono jeszcze piękniejsze o zachodzie słońca, gdybyś zechciał zostać...

– Tak, z pewnością, ale z zewnątrz, Yasmelo, wygląda to całkiem inaczej – podszedł do wysokich drzwi, przy których wiszące po bokach kotary związane w eleganckie węzły. – Zrujnowane więzienie, jakie widziałem, nie zapowiadało takiego bogactwa i wygody.

– Och tak, Conanie, rozumiem. – Yasmela przeszła przez pokój i stanęła obok niego. – Ten zamek, Tarnhold, to starodawne miejsce. Przez stulecia służył za dom wysoko urodzonym Khorajczykom, którzy wypadli z łask króla i szukali tu schronienia. Na tę posiadłość rzucono potężne zaklęcia ochronne, żeby nadać jej groźny wygląd. Z pewnością, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłeś, wpadłeś w sidła złudzenia.

– Rozumiem, a co z tym pajakiem, który omal mnie nie utopił? Czy on też był złudzeniem? – Cymmerianin ostrożnie zatrzymał się na progu balkonu, jakby się bał, że ten zawali się pod jego ciężarem, po czym podejrzliwie wysunął głowę na zewnątrz. Słońce rzucało blask na marmurowe płyty tarasu, a kwiaty wprost przelewały się z donic ustawionych na balustradzie.

– Nie jestem pewna, ale ten potwór mógł być złudzeniem. – Yasmela była zaniepokojona tym, że Conan ukazał się w oknie. – Tarnhold ma wiele sekretów i wielu strażników, niektórzy z nich są złudzeniem, ale inni mogą okazać się aż nazbyt rzeczywisti.

– Hm... – Conan wycofał się do pokoju. – Może zatem wszystko jest tu fałszywe. – Podszedł do ściany i dotknął palcem jedwabnej tapicerii, potem zważył w dłoni jadeitową wazę. – Zapewne wszystko w Tarnhold jest w istocie nędzną ruiną, a my jesteśmy otumanieni.

– Wiem tylko to, co widzę i czuję, Conanie – dotknęła jego ramienia i powiodła palcami aż do jego nagiej piersi. – Czy nadal jesteś tym samym zajadłym barbarzyńcą?

Chrząknął spoglądając na swoje pocięte członki, poszarpane bryczesy i oblepione błotem stopy.

– Tak sądzę – mruknął.

– Na podwórzu, na dole jest źródło. Możesz się wykapać, Conanie. – Szybko klasnęła w dłonie i na ten dźwięk zaskrzypiały drzwi od sąsiedniego pokoju. Ukazała się kobieta w średnim wieku o dostojnym wyglądzie, ubrana w długą, przepasaną suknię. Rzuciła na Conana jedno zdumione spojrzenie, potem wstydliwie opuściła wzrok i pokłoniła się swojej pani.

– Vatesso, znajdź naszemu gościowi ubranie i upewnij się, czy wieczorny posiłek jest dość obfity – poinstruowała ją Yasmela, po czym zwróciła się do Conana: – Chodź ze mną, nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Księżniczka poprowadziła Conana przez dwa pokoje równie luksusowe jak pierwszy, a potem szerokimi schodami do westybulu. Conan zawahał się, zanim zrobił krok na zamkowe podwórze, ale Yasmela wyszła przed nim i zachęciła go lekkim skinieniem. Obecni tu służący, ogrodnicy i stajenni oddalili się dyskretnie. Dziedziniec był zalany słońcem, wzdłuż ścian ciągnęły się grządki i rosły drzewa owocowe. Architektura twierdzy wyglądała stąd znacznie bardziej zachęcająco. Nie było śladu strażników na murze, a niski kamienny taras zapewniał swobodny dostęp do jeziora. Jednym słowem, od wewnątrz miejsce to wyglądało zupełnie inaczej.

W kącie dziedzińca, w marmurowym basenie biło ciepłe źródło, obok owocował krzew winorośli. Na powierzchni basenu kłębiła się mgiełka o tym samym siarczany zapachu, jaki Conan wyczuł w stawie.

Cymmerianin rzucił wilgotne spodnie i włożył nogę do wody. Chwilę później dołączyła do niego Yasmela, której służąca pomogła zdjąć suknię. Zostawiła na sobie tylko grzebień we włosach i łańcuszek na szyi ze złotym wisiorkiem

kryjącym się między twardymi piersiami.

Usiedli razem na balustradzie basenu i zaczęli stopniowo zanurzać się w parującej wodzie. Vatesa pomogła Yasmeli umyć Conana, a także rozmasować jego poranione ciało. Następnie pokojówka wycofała się, pozwalając tym dwojgu czulej zająć się sobą nawzajem.

O zachodzie słońca wznovili rozmowę na balkonie Yasmeli, za stołem pokrytym resztkami wieczerzy.

– Dlaczego od wewnątrz nie widać strażników na murach? – spytał Conan.

– Wartowników jest niewiele. Mówiłam ci już, że ta twierdza polega na innych strażach – odparła Yasmela.

– Hm, rozumiem, że przy takich obrońcach nie potrzebujesz ludzkich strażników. – Conan niechętnie skinął głową. – Nie jesteś zatem więźniem?

– Więźniem? Nie, choć niektórzy mogliby to nazwać w ten sposób – powoli pokręciła głową. – Ja po prostu wycofałam się z życia dworskiego.

– Wycofałaś się tak potulnie? To do ciebie niepodobne, Yasmelo, składać broń i oddawać plac boju?

– Nie, niepodobne. Conanie, powinieneś wiedzieć, że nie jestem już tą samą księżniczką – regentką, jaką kiedyś byłam – odparła, biorąc go za rękę. – Przez wiele lat żyłam w cieniu mego królewskiego brata próbując naprawiać krzywdy i łątać dziury, jakie jego panowanie pozostawiło w całości naszego państwa. Po jego śmierci okazało się, że władanie Khorają przekracza siły kobiety. Zagmatwałam się w pajęczynie pałacowych intryg. Nawet nie wiem, czy wygrałam, czy nie. Frakcje, sojusze, walki to rzeczy bardzo męczące. Miałeś wiele kochanek, jak sądzę?

Conan przytaknął:

– Wiele...

Yasmela westchnęła.

– Miłość jest o wiele mniej radosna, kiedy uprawia się ją pod naciskiem politycznej konieczności lub kiedy dyktuje ją korzyść. Dworacy, jakich znałam, mieli giętkie języki, ale byli mniej lojalni niż niestały tłum prostaków. Po latach takiego życia przychodzi czas, że jest się wdzięcznym, kiedy można zostawić los narodu w rękach kogoś silnego i bezlitosnego w wystarczającym stopniu, by...

– Masz na myśli Armira? Yasmelo, czy on trzyma cię tu jako konkubinę? – Conan poruszył się gwałtownie na krześle.

Roześmiała się zaskoczona.

– Księżę Armiro? Nie! – przez chwilę była zmieszana, po czym zadumała się. – Nie wiem nawet, czy księżę ma czas i zainteresowanie dla spraw ciała, tak bardzo skupiony jest na utrwalaniu i rozszerzaniu swej władzy. Gdyby jednak odczuwał takie żądze, z pewnością skierowałyby je w stronę kobiety młodszej ode mnie.

– Wyglądasz młodo, Yasmelo – powiedział Conan szczerze. – Ale ostrzegam cię, że ten Armiro jest moim zaprzysięgłym wrogiem. Nie pozwolę żyć nikomu, kto postąpił ze mną tak fałszywie jak on!

– Uprzedzam cię, Conanie, że Armiro nie da się łatwo pokonać. On nie jest złym władcą. Niektórzy powiadają, że jest największym khorajskim władcą od czasu, kiedy nasz kraj oderwał się od Koth. Armiro umiejętnie zaprowadził porządek w obu krajach, co zapewne zauważyłeś w trakcie podróży – z zapalem ścisłała jego dłoń. – W odróżnieniu od wszystkich khorajskich monarchów ostatnich czasów, Armiro znalazł pole dla swych ambicji poza granicami Khoraji, już samo to przyniosło nam wielką ulgę. I nie słyszałam, aby jego rządy nad podbitymi krajami odznaczały się zbędną srogością.

– Tego nie wiem – przerwał Conan niecierpliwie. – Przyznaję, że jest bystrym i sprytnym dowódcą. Ale pytam cię, czy to równoważy zdradę? I tchórzostwo? – Chyba zbyt silnie ścisnęła dłoń Yasmeli, bo z jękiem wyrwała mu rękę.

– Ten łajdak złamał reguły pojedynku! – warknął Conan nie bacząc na jej zmieszanie. – Razem ze swymi mordercami rzucił się na mnie, i to na oczach swych wojsk, które wiwatowały widząc tę zdradę! Jeden z jego psów zranił mnie w siedzenie, gdzie żaden szanujący się wojownik nie powinien mieć blizny! – Conan uniósł się do połowy spoza stołu i klepnął się demonstracyjnie w poszkodowaną część ciała. – Mówię ci! – Siadł prosto i kontynuował swe oskarżenia. – W Hyborii za mało jest miejsca dla mnie i dla niego! Walczyłbym z nim teraz, gdyby nie to, że doszły mnie wieści o krzywdzie, jakiej od niego doznałaś. Na Croma! Jaki ja byłem wściekły – monarcha rzucił gniewne spojrzenie zza stołu. – Choćby był tylko nędznym gburem czy świniopasem, to chciałbym rozedrzeć mu gardło, a

tym bardziej kiedy jest księciem, który ośmiela się uważać za równego mnie! – prychnął z pogardą. – Skąd on pochodzi?

Gniew kochanka wprawiał Yasmelę w coraz większe zakłopotanie, Conan dostrzegł teraz, że niemal doprowadził ją do łez. Odpowiedziała starannie dobierając słowa:

– Jest tylko sierotą cynicznego dworu Khoraji. Afronty, jakie musiał znosić, uczyniły go gruboskórnym, jak zresztą wielu innych – melancholijnie pokiwała głową. – Kilka lat temu był tylko jednym z pretendentów do korony, ale był sprytniejszy i bardziej przedsiębiorczy od innych, tak że w końcu przeżył ich wszystkich – pokiwała głową i westchnęła ciężko. – Ale powiedz mi, Conanie, mój ty światowy królu, czy nie rozumiesz, że obyczaje i zasady cudzoziemca mogą się z jakichś powodów różnić od twoich? Pamiętaj, że ty też kiedyś uchodziłeś za dzikusa! Czy nie możesz pogodzić się z równie mocnym charakterem władcy odległego królestwa?

Conan przerwał jej stanowczo.

– Nie, Yasmelo, w moim sercu nie ma miejsca dla takich jak Armiro! – zmarszczył brew i zaczął powoli dobierać słowa. – Jako król dowiedziałem się pewnej rzeczy: otóż świat jest ciasnym miejscem, w istocie jest to mała wioska królów współzawodniczących ze sobą. W takiej wioseczce nie opłaca się znosić złego sąsiada.

– Zamierzasz więc zostać wójtem całej wioski – dokończyła jego myśl Yasmela. – Masz doradców, którzy ci to mówią?

– W istocie – przytaknął szczerze Conan. – Mam zwłaszcza jednego, niegłupiego karła imieniem Delvyn, który powiedział mi o mnie samym więcej, niż zdołałbym się dowiedzieć przez tuzin żywotów.

Yasmela ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Wielu królów ma takich przyjaciół. Jednak ostrzegam cię, bądź ostrożny. Armiro też ma doradców.

– Czasem wydaje mi się, że jesteś jednym z nich – zauważył Conan. – Zbyt dobrze cię jednak znam, aby uwierzyć, że mogłabyś związać swój los z takim zdrajcą jak Armiro.

– Tak, masz rację, jest zbyt posępny jak na mój gust – przyznała Yasmela i ze smutkiem pokiwała głową. – Jeśli zostaniesz ze mną dziś w nocy, możesz usłyszeć coś, co zmieni twoją ocenę Armira – westchnęła smutno, jakby zażenowana tym, co chciała powiedzieć. – Ze swej strony uprzedzam cię, że nie byłam wobec ciebie zupełnie szczerą. Muszę ci powiedzieć, Conanie, że nie jestem też taka, na jaką wyglądam.

Conan zamrugał oczami.

– Błagam, dziewczyno, nie mów mi, że uprawiałem miłość z jakąś starą, brodatą czarownicą albo z nieśmiertelnym wampirem, który zamierza wyssać ze mnie krew! – rzucił tę uwagę żartem, a jednak nie potrafił powściągnąć baczno podejrzliwego spojrzenia.

– Cóż, w gruncie rzeczy tak jest, kochany – potwierdziła Yasmela poważnym i melancholijnym tonem. – Mówiłeś o oszustwach tego pałacu, zastanawiałeś się, czy twierdza Tarnhold jest w istocie piękna czy brzydka. Muszę ci wyznać, że sama znajduję się pod wpływem podobnego zaklęcia! – wskazała przedmiot zawieszony na szyi na złotym łańcuszku. – Ten amulet jest zaczarowany. Zaklęto go, aby nadawał noszącej go osobie pozory młodości. Muszę ci powiedzieć, Conanie, że jestem stara! Bez tego czaru nie wydałabym ci się godną pożądaną – przy ostatnich słowach jej głos zadrżał. Jedną ręką ścisnęła wisiorek, drugą zasłoniła oczy w odruchu wstydu.

– Nie, dziewczyno – zaprotestował Conan, wstał z ławki i okrążywszy stół zbliżył się do Yasmeli. – Masz teraz nie więcej lat niż ja – usiadł przy niej na krawędzi stołu. – A wiesz, że nie jestem stary! Każdego kto twierdzi, że jest inaczej, wyzywam na próbę miecza albo współzawodnictwo w picciu piwa! – schylił się, zmierzwił dłonią ciemne loki Yasmeli. Poklepał ją po policzku i poczuł na palcach wilgoć jej łez.

– Tak, Conanie – odparła cichym, nieśmiałym głosem. – Ale przecież wiadomo, że mężczyźni stają się z wiekiem coraz bardziej pociągający, podczas gdy kobiety marszczą się i opadają jak uschnięte rośliny.

– Bzdura – szepnął czule. Niebo nad jeziorem pokryło się głębokim, purpurowym cieniem zachodu. Conan sięgnął za siebie i przeniósł kapiącą lampkę oliwną na krawędź stołu, skąd lepiej oświetlała siedzącą sylwetkę Yasmeli. – Nie potrzebujesz tego amuletu, oddaj mi go – powiedział nadstawiając dłoń.

Yasmela, niepoczyszona, siedziała opierając jeden łokieć na stole i ciągle zasłaniała dłonią oczy. Drugą kurczowo przyciskała amulet do przejrzywej tkaniny na piersi. Oprócz zwiewnego szala miała na sobie tylko luźne spodnie. Nie potrzebowała innego stroju, bo wieczór był ciepły. Kamienny wisiorek, któremu Conan przyjrzał się już wcześniej, miał kształt kwiatu, symbolu młodości, upiękzonego pręcikami z niebieskiej emalii.

– Zdejmij to – zachęcił ją ponownie.

Słyszając jego naleganie, poruszyła się. Szybkim, niedbałym ruchem zdjęła łańcuszek z szyi i wrzuciła w jego nadstawioną dłoń. Wziął go i schował do kieszeni. Utkwił wzrok w jej odwróconej twarzy i smukłym ciele czując niepokój oczekiwania zmieszany z odrobiną strachu.

Zmiany były powolne i ledwie uchwytny. Wysokie piersi Yasmeli, spowite niebieską tkaniną, jakby zmiękły i rozluźniły się. Rozpłaszczyły się następnie w kształty bardziej krągłe i bujne, drżące w tłumionym szlochu. Płaski brzuch obrzmiał na chwilę jakby ciężar, a potem opadł przyciśnięty wypukłością biustu. Jej uda i biodra, dobrze widoczne pod cienką tkaniną, powiększyły się i wzmocniły nadając ciału księżniczki krzepką podstawę. Ramiona i szyja zaokrągliły się z wdziękiem. Wkrótce cała Yasmela z lalkowatej młódki zmieniła się w tryskającą zdrowiem damę. Widok tej kobiety przywiódł Conanowi na myśl nagie, rzeźbione w kamieniu półboginie, które biegały, walczyły i kochały się na płaskorzeźbach świątyni Mitry w Tarancji.

Yasmela popatrzyła na obejmującego ją Conana. Na jej twarzy wypisane były bogate dzieje jej życia. Spoczęły tam minione lata, a ich smutki zostawiły ślad w melancholijnym wygięciu ust i w miękkich liniach kącików oczu. Ale w kącikach ust Conan dostrzegł też oznaki poczucia humoru i światowej mądrości. Na policzkach perliły się łzy, a malująca się na jej twarzy rozpacz z pewnością nie dodawała urody. Jednak w oczach była też odrobina pewności, pośpiesznie spojrziała na Conana, by wyczytać coś z jego wzroku. W odpowiedzi objął ją mocniej.

– Wstań, kobieto, i chodź do mnie. Tylko najpierw zrzuć te ciuszki. I zapomnij o tym zaczarowanym bawidełku, chcę cię nagiej.

10. NOCNA NAPAŚĆ

Legendy śpiewane na południu Stygii mówią, że każdego wieczoru zmęczony bóg słońca udając się na spoczynek spuszcza ze smyczy głodną czarną panterę Noc, żeby grasowała w poszukiwaniu zdobyczy i strzegła jego ziemskiej dziedziny. Większość śmiertelników, pozostawiona w hebanowym cieniu bestii, ledwie śmie przymknąć oczy do snu. Niektórzy jednak, zwłaszcza złodzieje i kochankowie, podejmują największe wysiłki, kiedy włochaty, czarny brzuch Nocy przesuwają się nad światem.

Choćby czełek mozolił się wytrwale i niestrudzenie, choćby pomagały mu w tym dłonie drugiej osoby i choćby chłodził się przy tym niejednym haustem zimnego białego wina, to przecież nie sposób pracować przez całą noc. Zawsze przed świtem złodzieje i kochankowie szukają w końcu spoczynku. Porzuciwszy ziemskie troski, odpoczywają aż do powrotu jasnego dnia. Z takiego właśnie snu Conana i Yasmelę, splecionych ramionami na jedwabnej pościeli, wyrwał nagły wrzask.

Natychmiast zorientowali się, że to głos Vatesy dobiegający z sąsiedniego pokoju. Brutalny cios ukrócił jej przeraźliwy pisk. Uderzenie zadane czymś ciężkim brzmiało jak cios śmiertelny.

Conan błyskawicznie wyskoczył z łoża i chwycił ciężką brązową statuetkę. Jednocześnie drzwi otwarły się z hukiem i do komnaty wpadła odziana na czarno postać. W następnej chwili intruz runął na ziemię, a rozpryski jego mózgu, rozbitego ciężarem statuetki, poplamiły jedwabną tapicerię. Ostry, krótki miecz napastnika nie zabrzączał na podłodze, bo szybciej przechwyciła go dłoń Cymmerianina.

Teraz do pokoju wpadło kilka mrocznych postaci. Nagle odsłonięto lampę, która rzuciła oślepiający snop światła na Conana i jego królewską kochankę.

– A więc, Yasmelo! Teraz już otwarcie spiskujesz z moimi wrogami! To pogwałcenie naszego porozumienia i ohydna zdrada... – ostry głos przemawiał w arystokratycznej odmianie języka kothyjskiego.

– Nie wiń królowej – przerwał mu Conan. – Nie ponosi odpowiedzialności za to, że obcy wojownik, nieproszony, wdarł się do jej komnaty! Moje przybycie nie zostało obwieszczane podobnie jak twoje, Armiro. Bo głos, który słyszę, jest

głosem Armira, choć nie wiem, za sprawą jakiej magicznej sztuczki słyszę go tutaj...

– Magia? – głos wybuchnął złośliwym śmiechem, podczas gdy jego właściciel wszedł w zasięg światła lampy. – Czy sądzisz, Conanie z Aquilonii, że nie mam szpiegów w podbitym Ophirze, a także w twoich królewskich legionach? Sądzisz, że brak mi niewolników, powozów i dobrych dróg, żeby przybyć tu szybciej niż samotny człowiek na koniu?

– To dobrze, kanalio, że jesteś tu! – warknął Conan. – Już dowiodłeś, że nie nadajesz się do pojedynków! Poszczuj mnie swymi psami, a ja sprawdzę ich stal!

– Nie każę im brukać głowni taką drobnostką – oświadczył Armiro wyciągając miecz. – Cofnijcie się, ludzie, ta walka należy do mnie! – Książę ruszył naprzód przybierając bojową pozę.

Szermierze starli się z hałaśliwym zgrzytem. Obie głownie były krótkie, dobre do walki w ciasnym pomieszczeniu. Conan był prawie nagi, miał na sobie tylko spodnie. Armiro miał pod tym względem przewagę, bo pod płaszczem nosił skórzany strój. Nie powstrzymało to jednak ataku Cymmerianina. Grad jego energicznych cięć i sztychów odrzucił przeciwnika na tyle, że jego podwładni musieli cofnąć się, żeby zrobić mu miejsce.

Potem nastąpił gwałtowny zwrot w walce i chmura ciosów, jakimi Conan zasypywał księcia, rozviała się błyskawicznie. Armiro, oparty plecami o ścianę, rozpiął zapinkę pod szyją i umiejętnie okręcił płaszcz wokół wolnej ręki. Posługując się nim jak tarczą, mniejszy i zwinniejszy przeciwnik zepchnął Aquilończyka na środek pomieszczenia i dalej. Conan musiał oddawać plac, by uchronić swą nagą skórę przed przypadkowym muśnięciem stali. Książę, wysunawszy do przodu owinięte płaszczem ramię, słał spoza tej osłony błyskawiczne ciosy. Conan ani na chwilę nie zyskał szansy wzięcia rozmachu, aby wymierzyć cios, który przeniknąłby płaszcz i owinięte nim ramię. Odwrót Conana oddalił walkę od łoża, na którym Yasmela wstrzymywała dech przy każdym szczękaniu stali. Obserwowała pojedynek, a w jej oczach błyszczał lęk.

Gdy Conan został przyparty do ściany, jego ryk obwieścił nowy zwrot w walce. Aquiloński król chwycił nie płaszcz, ale stolik i uderzył nim z taką siłą, że odrzucił młodego człowieka aż na środek pokoju. Tam książę zatoczył się i upadł na jedno kolano. Niepewną ręką wznosił klingę, by się osłonić. W tej chwili Conan skoczył naprzód, odrzucając połamany stolik. Jego skóra zabłysła blado w świetle lampy, kiedy wyginał się, by zadać śmiertelny cios.

– Nie, Conanie, oszczędź go! To mój syn!

Rozbrzmiewający z mroku krzyk Yasmeli zatrzymał rękę kochanka w tej rozstrzygającej chwili. Jeszcze zanim przebrzmiało echo jej błagania, ludzie Armira rzucili się na Conana ze wszystkich stron. Głownia króla uderzyła jak błyskawica i ugrzęzła w ciele i kości. Jednak ofiara tego ciosu wykazała się niesłychanym męstwem, chwyciła broń i pociągnęła ją ze sobą do ziemi. W okamgnieniu król został rozbrojony i przygnieciony przez pół tuzina strażników. Leżał, sapiąc ciężko, z dwiema kothyjskimi głowniami na gardle.

– Cóż, dziękuję ci, droga matko – zwrócił się Armiro do Yasmeli. – Twoje wstawiennictwo w mojej sprawie zmiękcza mi serce. Nie zastosuję tak drastycznych środków przeciw twoim... wykroczeniom... jakie brałem pod uwagę przedtem. Choć to gorszące przymierze z nim trudno określić mianem aktu nierozwagi – wskazał mieczem ciągle jeszcze walczącego na podłodze Conana.

– Oszczędź go, Armiro, proszę! – krzyknęła Yasmela. – Okaż mu taką samą powściągliwość, jaką on okazałby tobie za moją przyczyną. Conan i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi z dawnych czasów. On naprawdę nie narzucał mi się siłą!

Armiro parsknął krótkim, lekceważącym śmiechem.

– Nie jestem tym zaskoczony, matko – rzekł chłodno. – Ale nie mów nic więcej, ostrzegam cię. Pamiętaj, że nie zawsze okazywałem uprzejmość i miłosierdzie twoim starym, dobrym przyjaciółmi!

Popatrzył znowu na miotającą się na podłodze postać przygniecioną stertą strażników. Ludzie ci nie popełnili błędu i nie śmiali się wraz z księciem z delikatnych spraw osobistych.

– On jest zbyt cenny, żeby go zabić, w każdym razie nie teraz – zdecydował książę. – Będzie zakładnikiem albo przynętą, może nawet marionetkowym królikiem, kiedyś tam – dodał wyniosłym tonem. – Mariuszu, sznurki dla naszej marionetki! – rozkazowi towarzyszyło głośne pstryknięcie palcami.

Jeden z żołnierzy, których miecze krzyżowały się na gardle Conana, sięgnął posłusznie do kieszeni i wyciągnął zwój grubych rzemieni. Jego koledzy podjęli

się trudnego zadania połączenia nadgarstków jeńca za jego plecami.

– A co do ciebie, matko, obawiam się, że twój pobyt tutaj dobiega końca – powiedział Armiro. – Musisz ostatecznie zrezygnować z udziału w państwowych sprawach Khoraji, z twoich cielesnych sprawek i zamieszkać w twierdzy bardziej niż ta ustronnej i bezpiecznej. Podejmę odpowiednie środki, żeby nie zmniejszyć wygód, w jakich żyjesz – książę schował miecz do pochwy i mówił dalej chłodnym, stanowczym tonem: – Twierdza Tarnhold będzie odtąd silniej strzeżona. Posłuż się za więzienie dla tego jeńca i jako pułapka na awanturników, którzy spróbują go uwolnić. Mariuszu, kiedy skrępujesz go solidnie, każ służbie przygotować jedną z cel na dole. I dopilnuj, żeby spakowali do drogi rzeczy mojej matki. – Armiro niezobowiązującym ruchem położył rękę na zmarszczonym czole Yasmeli, a potem ją opuścił. – Matko droga, możesz już się ubrać, ale zrób to, proszę, w sąsiednim pokoju. Idź – skinął jej pośpiesznie i opuścił komnatę.

– Conanie... wybaczyć! Nie chciałam, żeby cię pojmano... – głos Yasmeli przeszedł w szloch, który chwilę później zamienił się w ostry krzyk oburzenia, zapewne na widok Vatesy leżącej w sąsiednim pomieszczeniu. Potem drzwi zamknęły się gwałtownie i dobiegał zza nich jedynie szmer głosów.

Król został przygnieciony twarzą do ziemi, a jego nadgarstki i kostki skrępowano mocno i fachowo. Każda pętla splatała się na krzyż z następną. Trzymały mocno, a jednocześnie nie przyprawiały o drętwienie dłoni i stóp.

Kiedy założono już więzy, strażnik imieniem Mariusz wyszedł z pomieszczenia polecając dwu innym zostać i trzymać straż. Wkrótce Conan usłyszał ich głosy dobiegające z balkonu, gdzie gawędzili leniwie o zbliżaniu się świtu.

Conan leżąc w mroku walczył daremnie, szarpał i wykręcał węzły. Starał się robić to możliwie cicho, ale w duchu kłął Yasmelę, twierdząc Tarnhold, Armira, jego strażników, a najgwałtowniej samego siebie. Był durkiem, że zaufał tej kobiecie, która zawsze była niewolnicą swej rodziny i królestwa. Jeden z jej dworskich romansów obarczył ją aroganckim potomkiem o nieograniczonej żądzy władzy. Yasmela, nauczona latami gorzkich doświadczeń, musiała go dobrze wyszkolić. Umiejętności księcia, jego energia, przebiegłość i okrucieństwo w dążeniu do celu, wszystko to zdawało się nie mieć granic.

Nawet szermierzem był, jak się okazało, niezłym. Conan niechętnie zdobył się na odrobinę uznania dla tej umiejętności księcia. Chociaż na potępienie zasługiwało to, że ten łotr najpierw schował się za koszulę matki, a potem publicznie ją lżył i wyszydzał! Gdyby teraz Cymmerianin mógł uciec i zdobyć broń, nic nie powstrzymałoby go przed wymierzeniem kary temu wyrodkowi, czy był on synem Yasmeli, czy też nie!

Lecz na razie były to tylko czcze pogroźki bezbronnego jeńca leżącego ze spletanymi rękami i nogami. Wino zemsty na wrogu tak przebiegłym jak Armiro powinno leżakować długo i dobrze się schłodzić. W tej chwili, gdyby zdołał się uwolnić z więzów, żadna siła nie powstrzymałaby go przed skokiem z balkonu do jeziora. Teraz była najlepsza na to pora. W ciemności na pewno uda mu się wymknąć z doliny.

Ale jaki fortel mógł mu pomóc? Nie miał żadnej broni prócz własnych zębów, ale nie sięgał nimi ciasnych, mocnych węzłów. Łóżka nie dało się przesunąć bez hałasu, a Conan nie miał ochoty zabawiać wartowników swymi daremnymi wysiłkami.

Jedynym przedmiotem, jaki miał przy sobie, był zaczarowany amulet Yasmeli. Spoczywał w kieszeni na wysokości pasa. Król niezgrabnie przesunął na bok swe skrępowane nadgarstki, by wokół bioder sięgnąć po amulet zagiętym palcem wskazującym. Ale nawet gdyby go dosięgnął, to co? Dać go strażnikom jako łapówkę? Prychnął z obrzydzenia na myśl o podobnym postępowaniu.

Mimo to czary mogły się przydać. Wyginając ramiona najbardziej jak mógł, zahaczył wreszcie o krawędź kieszeni. Wymacał delikatny złoty łańcuszek i cał po calu wyciągnął go. Wisiorek zaczepił się o szew, ale w chwilę później leżał już w dłoni Conana.

Wtem nasunęła mu się pewna myśl. Wygiął łokcie wysoko nad ciałem, przytknął łańcuszek do więzów na nadgarstkach. Czekał w niepewności i napięciu zastanawiając się, jak ciało śmiertelnika odczuje działanie magii? Po swędzeniu czy ciepłe?

Jedyna zmiana polegała na tym, że rzemienie na nadgarstkach rozluźniły się i zmiękły. Twarda wołowa skóra stała się wiotka i giętka. Conan zaczął metodycznie zginać i wykręcać potężne ramiona. Po chwili rzemyki z cielej skóry puściły. Rozłożył uwolnione ręce i zabrał się do więzów na kostkach.

11. MIESZKANIEC PIEKIEŁ

– Nieśmiertelny Kthantosie, jestem tutaj – karzeł Delvyn stał na skraju chlupoczącej czarnej fontanny, zalanej gasnącym światłem zmierzchu. – Czego sobie tym razem życzysz, bożku?

Ciemna substancja w basenie poruszyła się i zakołysała między brzegami jakby ze wstrętem.

– Nie życzę, ale żądam – zabulgotał głęboki głos. – Żądam, po pierwsze, żebyś zwracając się do mnie używał bardziej czcigodnego określenia niż „bożek”. Czegoś współmiernego do mej boskości i nieograniczonej mocy.

– Dobrze, półbogu! Mam jednak nadzieję, że nie dlatego mnie tu wezwałeś – błazen niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. – Wnioskuje stąd, że twa moc nadal rośnie. Zauważyłem, że dokonałeś tu kilku gustownych zmian... – omiótł wzrokiem monumentalne kamienne konstrukcje otaczające basen. Żłobkowane kolumny i masywne belkowania nie były już pokruszone i wyszczerbione jak dawniej, a ich czarne sylwetki sterczały równo tworząc kompletną kompozycję na tle bezgwiezdnego nieba. – Jednak mimo to nie nazwałbym twej mocy nieograniczoną – oświadczył Delvyn.

– Granice to rzecz przemijająca, choć z twego punktu widzenia wyglądają na nieprzewyciężone – odparł głos.

– Być może, moja perspektywa nie jest wielka, o boski Kthantosie, ale w każdym razie większa niż twoja – karzeł stał i spokojnie patrzył na sadzawkę. – Jeśli pragniesz szacunku swoich wyznawców, to rozważ, czy nie powinieneś przyoblec swej boskości w kształt bardziej ujmujący niż oleista kałuża.

– Masz na myśli coś bardziej namacalnego? – odparł Kthantos tonem ostrzeżenia. – Zapewne jakiś posąg, który pasowałby do drobnych mózdzków i wyobraźni śmiertelników – kiedy półbóg wypowiadał te słowa, pod powierzchnią stawu zapanowało wyraźne poruszenie.

Delvyn poczuł się nieswojo.

– Ma to być symbol, którego kopie mogliby nosić na koszulach albo ustawiać w nędznych chramach przy drodze?! – zagrzemiał bóg. – Czy mógłby temu posłużyć taki kształt?

Przy wtórze sardonicznego śmiechu z brei wyłonił się kształt przypominający człowieka, był jednak chudy jak szkielet i połyskiwał ociekającą zeń czarna, oleista substancją wypełniającą basen. Wzniósł się tuż przed karłem, górując nad nim groźnie.

– Czy to wcielenie jest dla ciebie wystarczająco wyniosłe, mały człowieczku? – kiedy boski głos zadawał to pytanie, poruszyła się oblepiona smołą dolna szczeka.

Delvyn odsunął się na rozsądną odległość, a wtedy uniosły się wychudzone ramiona szkieletu. Rozłożyły się i wyciągnęły, a potem coraz dalej rozkładały się i wyciągały w niewiarygodny sposób, o wiele dalej niż kończyny jakiegokolwiek stworzenia. W miejscu znacznie bardziej odległym niż to, do którego Delvyn zdołał uciec, ręce zbliżyły się do siebie i złączyły, zamykając karłowi drogę.

Błazen przyjrzał się im lękliwie i dostrzegł, że każde ramię szkieletu składa się z co najmniej tuzina niedbale połączonych zwykłych, ludzkich kości ramieniowych. Każdy palec był podobną, ohydną składanką ludzkich szczątków. Członki, choć nieudolnie złożone, wyglądały na silne i zręczne mimo swej nienaturalnej struktury. Poruszały się tak, jakby pragnęły zacisnąć na miękkiej, śmiertelnej substancji.

– I co o tym myślisz? – spytał Kthantos, bulgocząc z rozbawienia. – Czy ten symbol pasuje do mej boskości?

– Robi duże wrażenie, o nieśmiertelny, zwłaszcza jako groźba dla niewiernych albo bicz boży dla grzeszników – odpowiedział ostrożnie Delvyn. – Byłoby jednak lepiej ukazywać tak przerażające oblicze niedowiarkom niż naszym wiernym wyznawcom.

– Nieważne, to tylko zabawka! Trzymam te szczątki śmiertelników i inne rupiecie dla rozrywki – dziwaczny szkielet bezgłośnie i szybko złożył się i pograżył pod powierzchnią. – Przez te nudne tysiąclecia, kiedy moja potęga była ograniczona do tego basenu, zajmowałem się też inną zabawą – powiedział Kthantos. Części szkieletu ponownie złożyły się na powierzchnię i zaczęły tańczyć, wykonując przypadkowo dobrane figury. Kościste ręce klaskały rytmicznie, a nogi płały do wtóru klekotu czarnych szczęk. Jednocześnie

kręgosłup i żebra pływały i nurkowały niczym stadko swawolnych delfinów.

– Doprawdy, to tylko igraszki – mówił dalej Kthantos. – Kiedy w swoim czasie wyruszę z tej kałuży, żeby rządzić światem, nikt nie zakwestionuje mojej boskości. A skoro już o tym mowa, mój akolito, jak idzie nasza kampania?

Delvyn, zadowolony z pytania, z satysfakcją pokiwał głową.

– Idzie dobrze, o nieśmiertelny. Król, którego wybrałem, jest szybkim i szalonym wojownikiem, zdolnym pokonać każdego innego wodza na ziemi. Jak dotąd podbił połowę jednego królestwa i rozpoczął wojnę z drugim, stwarzając poważne zagrożenie na skrzydle przeciwnika.

– O którym królu mówisz? O barbarzyńcy Conanie czy o przebiegłym Armiro? – spytał głos.

– O królu Conanie z Aquilonii, o nieśmiertelny! – odpowiedział zaskoczony błazen. – Choć jeśli on zostanie pokonany, to zwiążemy nasze nadzieje z Armiro. Myślę, że szybko zdobyłbym u niego posłuch, ale wątpię, czy okazałby się równie łatwy do kierowania jak ten północny monarcha. – Delvyn medytował przez chwilę. – O nieśmiertelny, skoro posiadasz tak rozległą wiedzę o sprawach, którymi dotąd nie chciałem cię kłopotać, to widocznie masz inne źródła informacji.

– Wystarczające, żeby wiedzieć, iż chwalebny podbój świata zapowiadany przez twego wojownika został powstrzymany dwa tygodnie temu, a twój król zniknął z oczu swym poddanym. Abdykował, dostał się do niewoli albo, jak głosi szybko rozchodząca plotka, został zabity. Jeśli tak, to nie wróży to najlepiej jego nadziejom na imperium.

– Nie, nieśmiertelny Kthantosie! – zaprotestował karzeł. – Król Conan nie jest martwy! Wiedziałbym, gdyby tak było! Pamiętaj, że to wielki wódz i człowiek o prawdziwie królewskich kapryсах. Kiedy, za moją namową, stanął na progu panowania nad światem, wszedł w okres gwałtownych namiętności – karzeł wzruszył ramionami, jakby chcąc zminimalizować wagę nieobecności króla. – Wyrusza, gdzie chce, bez uprzedzenia, powierzając wykonanie wielkich projektów swym sprawnym i niewątpliwie lojalnym podwładnym. Wszystko to zostało przewidziane i jest tylko częścią mojej wielkiej strategii. – Delvyn gestykulując teatralnie bronił się z całą swą elokwencją. – Do naszych planów pasuje to, że on stara się wykorzystać każdą szansę, tak jak ostatnio, gdy wielkie miasto wpadło mu w ręce niczym dojrzała śliwka.

– Mówisz bez zająknienia, śmiertelniku! – zauważył Kthantos. – Ale czy możesz uczciwie przyrzec, że jego długa nieobecność nie narazi na szwank naszych planów? – Z głębi sadzawki wypłynęło kilka starych zardzewiałych mieczy, które zaczęły szermować w udawanej walce. – Skoro on wyjechał, żeby szpiegować lub szukać przygód, dlaczego ty nie pojechałeś z nim? A co będzie, jeśli zostanie zabity lub pojmany? Jak możesz go zdradzić na czas, by związać się z jego zwycięzcą?

– Tak, wielki Kthantosie, muszę wyznać, że moja władza nad nim nie jest zupełna – karzeł załamał ręce, przyznając się do niepowodzenia. Zaprawdę, jest on niewolnikiem własnej pychy jak każdy król, ale wydaje się oczarowany celami, jakie przed nim postawiłem: Jego nagłe kaprysy służą tylko umocnieniu mej władzy. O ile mi wiadomo, przez całe swoje życie pozostawał pod dużym wpływem kobiet. Jego żona, królowa Zenobia, stanowi zagrożenie dla naszych planów, ale jej wpływ mam zamiar zmniejszyć przy pomocy rozpustnej Amlunii, której poczynania łatwo przewidzieć, bo gra podobnie jak my. Teraz jednak pojawiła się nowa kobieta, księżna z obozu przeciwników, ma na imię Yasmela. Nie potrafię powiedzieć, jak dużą rolę odgrywa, ale mi się to nie podoba. To właśnie jej na ratunek pojechał Conan.

– Czy ułatwi to twoje knowania, jeśli ci powiem, że kobieta imieniem Yasmela jest matką księcia Armira? – spytał Kthantos.

– Ach, to tak? Zatem jest o wiele gorzej, niż myślałem. – Delvyn przyklęknął na jedno kolano i gapił się przez dłuższą chwilę w płaską jak zwierciadło powierzchnię sadzawki. – Przebac mi, nieśmiertelny panie! Nie dosyć ufałem twej mądrości – karzeł skłonił się z czcią, a potem pokiwał głową. – Proszę cię, Kthantosie, skoro twe siły wzrosły tak bardzo, czy nie mógłbyś wpłynąć na bieg wypadków w świecie śmiertelników? Bo zakładając, że nasz wojownik jeszcze żyje...

– Conan żyje – wycedził głos boga bez cienia gniewu ani wymówki. – Bo Yasmela, choć kocha syna do szaleństwa, żywi jednocześnie całkiem nie macierzyńskie przywiązanie do zaprzysiężonego wroga swej latorośli. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak, mogę wpływać na ziemski świat. Mówiłem ci już, że mam moc zabijania.

– Błagam, użyj jej, panie! Ta kobieta, Yasmela, trudno sobie wyobrazić szkody, jakie może wyrządzić. Ona stanowi zagrożenie dla naszych planów i dla twojej odnowionej boskości...

– Dosyć! To się stanie, zgodnie z twoją prośbą! Jeszcze nie w tej chwili, bo trudno jest mi jeszcze sięgnąć tak daleko i przerwać jej życie. Ale jak widzisz, moja moc rośnie z dnia na dzień. Nie będziesz długo czekał.

– Kobieta imieniem Zenobia także powinna zginąć, panie Kthantosie. Nie miałem zamiaru o to prosić, ale pierwsza śmierć może zachwiać równowagę i wymusić następną...

– Zachłanny jesteś, mały człowieczku. Zachłanny na śmierć. Ale choć jestem szczodrym bogiem, nie powinieneś prosić o tyle łask naraz. Pierwsze dobrodziejstwo obiecuję ci. A co do drugiego, poczekamy, zobaczymy...

12. DROGI PODBOJU

W ciągu następnych dni i tygodni dwory Hyborii rozbrzmiewały echem upadku królów, a trony drżały w posadach od gwałtownych zmian sojuszy. Groźne słowo wędrowało od karczmy do chłopskiej zagrody i dalej do pańskiego dworu, rozchodziło się na północ i w głąb ładu szybciej niż lecące ptaki. Słowo to brzmiało: wojna.

Nic dziwnego, że krzyk ten rozchodził się tak szybko, skoro Aquilonia i Koth stały walcząc na sobie nad broczącym ciałem Ophiru niczym lew i hiena wydzierające sobie martwą antylopę. Potem, znienacka, aquiloński kot machnął swą zbrojną w pazury łapą i wyrwał krwawiący strzęp z boku pozbawionej króla Nemedii. Jednocześnie ruchy wojsk i potyczki w zachodnim Ophirze przesunęły się w stronę granicy Argos na tyle, aby wzbudzić szmer niepokoju w stolicy tego kraju, Messancji.

W Ophirze między wojskami przeciwników po krótkiej wymianie zajadłych ciosów zaistniała sytuacja patowa, zapewne dlatego, że obaj władcy przekazali dowództwo swym mniej agresywnym podwładnym. Po zmasowanym ataku oddziałów kapitana Egilrude na przyczółek i błyskotliwym manewrze hrabiego Trocero udało się im wyprzeć Kothyjczyków za Rzekę Czerwoną, ale Aquilończycy nie osiągnęli decydującego zwycięstwa. Siły Armira dzięki żelaznej dyscyplinie wycofały się w porządku i bez dużych strat.

Następnego dnia, jakby w odwecie, kothyjski atak wspierany przez wieże oblężnicze i tarany wdarł się do wschodniej części stolicy. Zagrzane sukcesem wojska Koth wyparły przeciwnika aż na linię rzeki. Dopiero po tygodniu walk Trocero i Lionnardowi udało się odzyskać całość murów miejskich. Zarzeczna część Ianthe legła w gruzach, a most Armira spłonął. Tylko część tej budowli stała jeszcze na wschodnim brzegu Rzeki Czerwonej niby zwęglony pomnik próżnych, zdobywczych ambicji.

Król Aquilonii powrócił do stolicy Ophiru obszarpany i zmęczony. Plotkarze przypisywali jego długą nieobecność różnym przyczynom: pogańskim praktykom religijnym, chorobie umysłowej czy sekretnym negocjacjom w sprawie cudzoziemskich sojuszy. Sam Conan zachował ponure milczenie na temat charakteru i powodzenia wyprawy. Kiedy Trocero spytał go prywatnie, czy udało mu się zrobić coś dla wysadzenia z siodła Armira, król zaklął szpetnie i odparł:

– Dowiedziałem się jedynie czegoś, co utrudni pokonanie go.

Pobyt Conana w Ianthe trwał krótko. Po jednym dniu i jednej nocy, jakie spędził na obfitym jedzeniu, a potem w sypialni z kurtyzaną Amlunią, król pozostawił dowodzenie w pewnych rękach Trocero i Ottobrandy, po czym z Amlunią, błaznem Delvynem i sporym oddziałem dowodzonym przez Egilrude ruszył na północ, by dołączyć do Prospera w Nemedii. Na pożegnanie rzekł do Trocero:

– Pamiętaj, stary przyjacielu, wiąż legiony Armira pod Ianthe. Ja złamię jego północne skrzydło, tak że Ophir padnie pod własnym ciężarem. Jeśli będzie trzeba, poprowadzimy podboje tak, że Koth i Khoraja staną się wyspami w aquilońskim morzu!

Droga do granic Nemedii była dłuższa niż dawniej, bo Aquilonia anektowała obszerne terytorium w żyznej dolinie zwanej Luka Tybor. Nie było widać zbyt wielu mieszkających tu rolników i pasterzy. Przemarsze wojsk znacznie uszczupliły ich liczbę i bogactwo. Gospodarstwa i pola wyglądały na opuszczone, ale nie zniszczone i dopiero dalej na północny wschód, przy drogach do Belverus, nemedijskiej stolicy, można było w pełni dostrzec ślady wojny: zburzone zamki, splądrowane miasteczka i popalone zagrody. W przydrożnych wioskach wdowy i matki

w żałobie klęczały i lamentowały nad świeżo wykopanymi grobami. W innych miejscowościach, w których nie pozostał nikt żywy, aby pogrzebać zabitych, ryczało porzucone bydło.

O dziwo, sceny zniszczenia i rozpacz bardziej wzruszały króla Conana niż jego nową konkubinę i komicznego karła. Zwyczajem wielu władców Cymmerianin nie przepuszczał żadnej nadarzającej się sposobności czynienia dobra. Pomagał królewskim słowem tam, gdzie mogło ono ulżyć w cierpieniu, monetą lub bochenkiem chleba tam, gdzie mogło to ocalić czyjeś życie. Jednak większość poszkodowanych, zamiast oczekiwać od Conana łask, uciekała albo chowała się na jego widok, dostrzegając w nim bezlitosnego zdobywcę. Sprowokowane tym złośliwe uwagi Delvyna i Amlunii król znosił ze stoickim spokojem jak gorzkie lekarstwo, które trzeba zażywać.

Potem w zasięgu wzroku pojawiła się stolica. Belverus był nietknięty wojną, a jego dachy i wieże ostro odcinały się na tle błękitnego nieba. Masywny zewnętrzny mur wznosił się władczo, choć w niektórych miejscach był okopcony dymem, a w innych wyszczerbiony pociskami z katapult. Walki, które doprowadziły do otwarcia bram, zaczęły się wewnątrz miasta za sprawą oddziałów wiernych aquilońskiemu wasalowi – baronowi Haikowi. Ten jawny sojusznik zachodnich zdobywców rządził teraz miastem w imieniu Conana z Aquilonii.

W mieście Cymmerianin zaczął od tego, że powstrzymał Amlunię, która zamierzała, kosztem życia i zdrowia niewinnych ludzi, przegalopować rydwanem na oślep po dzielnicy handlowej. Poza tym incydentem nic nie zakłóciło ich przemarszu do pałacu królewskiego, który po zdobyciu Belverus został tylko pobieżnie złupiony i nadal wyglądał paradnie.

Barona Halka nie było w mieście. Pojechał razem z Prospero na wschód, aby podporządkować sobie ostatnie prowincje i oblegać Numalię. Oddziały barona trzymały jednak stolicę twardą ręką. Conan zauważył, że mieszkańcy mocniej drżą na widok szarych płaszczy miejscowej gwardii niż najeźdźców aquilońskich.

Haik i jego zwolennicy pochodzili z północno-zachodnich prowincji Nemedii sąsiadujących z Aquilonią. Północni baronowie byli twardymi ludźmi, zahartowanymi w bojach z Cymmerianami i awanturczymi wodzami z Królestw Kresowych. Nigdy nie było dobrych stosunków między stronnictwem Halka a południowymi panami, którzy długo sprawowali władzę nad krajem z odległego i, zdaniem mieszkańców Północy, zniewieściałego Belverus.

Dlatego w czasie zamieszek, jakie nastąpiły po śmierci króla. Haik i jego sojusznicy przeszli na stronę Aquilończyków. Spodziewali się zaznać więcej swobody i władzy jako lennicy zdobywców niż pod rządami miejscowych monarchów.

Conan nie zabawił długo w Belverus. Wystarczyło mu jedno popołudnie odpoczynku dla wojska i jedna noc hulanki z miejscowymi notablami i oficerami, podczas której postawił sobie za punkt honoru, że przetrzyma w picu najmocniejszych, aż zwał się pod stół. Rano następnego dnia, kiedy tylko udało się wyciągnąć ostatniego żołnierza z lupanarów dzielnicy uciech, ruszono w dalszą drogę.

Tutaj powitały ich świeże sceny zniszczenia. Zdobyte zamki ciągle jeszcze dymiły na szczytach wzgórz, a nie pogrzebane ciała leżały spuchnięte wśród traw. Pojmani szpiedzy i zdrajcy zwijali się z bólu na krzyżach stojących przy rozstajnych drogach. Ukrzyżowano ich, zgodnie z uświęconym tradycją nemedyjskim zwyczajem, zapewne na rozkaz barona Halka.

Kiedy rydwan przetaczał się obok pierwszego z tych nieszczęśników, Amlunia usadowiona przy królu zaproponowała ćwiczenia w łucznictwie.

– Conanie! – zawołała radośnie. – Za każde trafienie w serce kufel piwa... a może wolisz oszczep? W gardło albo w oko byłoby trudniej..

– Milcz, dziewczko! – odburknął król ledwie powstrzymując wybuch gniewu. – Sam kiedyś zasmakowałem ukrzyżowania.

– Ale, panie... – Amlunia przyłgnęła do ramienia Cymmerianina zarazem przymilnie i natrętnie, jak to miała w zwyczaju. – Proszę, Conanie, taki nudny jest ten marsz! Oddamy tym łotrom miłosierną przysługę.

– Tak, doprawdy, panie Podrzynaczu Gardeł! Nie broń jej tego – odezwał się Delvyn z kozła rydwanu, gdzie stał w pełnej zbroi i trzymał lejce. – Wiedz, Amlunio, że Conan znany jest z tego, że miłosiernie dobija rannych. Kiedy ujrzałem go pierwszy raz, właśnie skracał męki konających wrogów. W swym królewskim zapale wyświadczyłby mi podobną przysługę, gdybym nie udowodnił, że nie jestem ranny.

– Dosyć! – Conan powiedział to powściągliwym tonem, ale w głosie jego brzmiał

gniew, jakiego dotąd nie okazał jeszcze swoim pochlebcom. – Egilrude, do mnie! – zawołał donośnie. Obrzucił ponurym spojrzeniem towarzyszy podróży i rozkazał żołnierzom wyjąć gwoździe podtrzymujące ukrzyżowanych. Tych, którzy przeżyli ciężką próbę, miano pozostawić na poboczu z zapasem chleba i wody. – Jeśli są prawdziwymi zdrajcami, rodacy zabiją ich po naszym odjeździe – oświadczył Conan.

Tak mijał wielodniowy marsz, dopóki oddział królewski nie napotkał wojsk Prospera i nemedyjskich oddziałów barona Halka. Siły te rozłożyły się obozem u bram Numalii, wielkiego miasta na wschodzie Nemedii.

Dym obozowych ognisk można było dostrzec już z daleka, ponieważ miasto stało na równinie. Krąg namiotów i polowych fortyfikacji ciągnął się w odległości nieco większej niż strzał z łuku od murów miasta. Kiedy podeszli bliżej, usłyszeli trzaski katapult zlewające się w monotony łoskot ostrzału. Widać było lecące łukiem pociski i chmury pyłu, jakie wzbijały ich uderzenia o zachodnią bramę miasta i flankujące ją masywne baszty. Poza jednak wzbijaniem pyłu bombardowanie nie czyniło żadnych widocznych szkód.

W końcu, przy zwiastującym przybycie króla grzmocie trąb, Czarne Smoki wjechały do głównego obozu. Na cześć władcy oddziały oblężnicze wzniosły okrzyk, który echem odbił się o kopułę niebios:

– Witaj, Conanie Wielki!

Cichnące odgłosy dobiegające z północy i południa świadczyły, że krzyk rozniósł się wzdłuż całej linii oblężenia. Król w otoczeniu gwardzistów skierował wierzchowca w stronę namiotu dowództwa ozdobionego wyszywanymi złotem proporcami. Stała tam grupa oficerów.

– Witaj, o królu! – zawołał Prospero, pochylił się w ukłonie, po czym ruszył w stronę królewskiego rumaka. – Szczęśliwi jesteśmy, że cię tu widzimy, panie. Przybyłeś w samą porę! – odwrócił się do klęczącego z tyłu szlachcica. – To jest baron Haik, nasz nemedyjski sojusznik, gwałtowny i twardy wojownik – oznajmił Prospero.

Baron, czerstwo wyglądający człowiek w średnim wieku, był jednak tęgi i nosił ciężką zbroję, co spowodowało, że miał trudności z podniesieniem się. Był lekko zarumieniony, nie przywykł widać do składania hołdów. Król pomyślał, że niezgrabne ruchy barona i zaczerwienienie jego twarzy można też przypisać skutkom przepicia. Haik wyciągnął rękę ku królowi i niezręcznie przywitał się z nim, mocno ściskając nadgarstek Conana. Pomogło to baronowi ostatecznie stanąć na nogi.

– Witaj, królu – wysapał. – Rzeczywiście jesteś Cymmerianinem, można to poznać po rysach twarzy. W moich żyłach też płynie cymmeriańska krew – puścił rękę Conana i oparł się na ramieniu jednego z towarzyszy. – Rad jestem, żeś posłał Prospera o srebrnym języku, by ze mną pił i targował się. Zawarliśmy korzystny sojusz – oddech barona mocno czuć było winem. – Tak powinno być, my, ludzie północnej krwi, narzucimy jarzmo zniewieściałym południowcom.

– Ani ja, ani mój miecz nie odróżniamy północnej i południowej krwi. Być może nawet mam więcej wrogów na północ od marchii gunderlandzkich niż na południe od nich. – Conan chłodno patrzył w oczy swego rozmówcy, wiedząc, że w przeciwnym – razie baron niewiele zapamięta z tego spotkania. – Jednak ufam Prospero, a on twierdzi, że będziesz moim lojalnym sojusznikiem i dobrym strażnikiem tej krainy, kiedy zostanie oddana w twoje ręce – odwrócił się do Poitańczyka. – Przyznaję, że do tej pory obaj działaliście doskonale. Prospero, rozejrzałem się po obozie i wydało mi się, że wasze wojska stoją beczynnym.

– Tak jest, wasza wysokość. Tak by się mogło wydawać – usta młodzieńca skrzywiły się w wymijającym grymasie.

– Przedstawiliście władcom miasta uczciwe warunki kapitulacji?

– Tak, panie. Nasz wysłannik został odprawiony. Skrępowano mu ręce i nogi, a włosy przyklejono smołą do końskiego ogona.

– Karygodna obraza. – Conan przeniósł mroczne spojrzenie na bramę. – Czy naprawdę sądzisz, że te katapulty zaszkożą brązowej bramie i granitowym basztom? Ich pociski dziobią je jak gołębie ścianę spichrza!

– Masz rację, panie. Wydaje się, że katapulty nie czynią żadnych szkód – zgodził się z królem Prospero.

– Dobrze, hrabio. – Conan zwrócił się twarzą ku podwładnemu. – Nigdy nie sądziłem, że będę musiał zachęcać cię ostrogą do zdobywania miasta. Czy nie wiesz, że długie oblężenia nie wpływa dobrze na ducha bojowego wojsk? Choroby i głód dadzą się nam we znaki nie mniej niż oblężonym, a to łamie wolę walki. Na dodatek ja nie mam czasu na czekanie. Trzy tak długie oblężenia, choćby

wszystkie były zwycięskie, doprowadzą nas do klęski w całej kampanii! – król przerwał nagle swą tyradę. Nie chciał krzywdzić starego przyjaciela i doradcy, zostawił mu więc ostatnie słowo. – Dobrze, Prospero, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Przez chwilę panowała cisza, przzerwana tylko dalekim łoskotem katapult i trzaskiem pocisków odbijających się od kamiennych ścian. Potem hrabia wzniosł ramiona gestem niewiniątka i wskazał coś królowi.

– Kiedy tamta świeca się dopali, bramy Numalii runą.

– Jak to? – Król spojrział, gdzie pokazywał Prospero. Na polowym stole w namiocie stał kryształowy świecznik, a w nim paliły się resztki łojowej świecy. Nie został już nawet ogarek, łój stopił się, płomyk pełgał już tylko po resztkce knota. Conan dostrzegł też pochyloną nad świecą postać kościstego, starszego mężczyzny o łysiejacej siwej głowie, ubranego w jedwabny kaftan i spodnie.

– Cóż to, Prospero, uciekłeś się do czarów? – spytał Conan gniewnie. – Znasz mój sąd o tych rzeczach. .

– Nie, mój królu, to nie są czary. – Poitańczyk skończył żarty i pośpieszył z wyjaśnieniami. – Czcigodny Minias jest saperem, dowódcą kompanii górników przyprowadzonych tu przez barona Halka. Ziemia na tych szanćach została wydobyta spod bramy północnej i wyniesiona tutaj tunelami wykopanymi przez ludzi Miniasa – wskazał linię polowych umocnień. Na kolejną wzmiankę swego imienia starszy kapitan skłonił się z szacunkiem Conanowi, by potem wrócić do swej świecy. Prospero mówił dalej: – To bębnienie katapult ma tylko zagłuszyć hałas pracy naszych saperów.

– Rozumiem – stwierdził Conan. – Przypomina mi to metody pewnych złodziei, których znałem w młodości, kiedy żyłem w Zamorze – spojrział z zaciekawieniem na stół. – Ale powiedz, w jaki sposób dopalenie się knota świecy spowoduje upadek bram? Czy to jakiś sygnał?

Teraz Minias odwrócił się, by odpowiedzieć królowi.

– Wasza wysokość – rzekł po nemedysku – posłałem taką samą świecę na dół do sztolni, żeby odmierzała czas pracy moich ludzi. Obie dopalała się równocześnie. W tej chwili drewniane podpory są już usunięte, a liny przyczepiono do ostatnich stempli. Za ich pomocą spowodujemy zawalenie się podziemnej jamy – inżynier powiódł czujnym wzrokiem po obozie. – Twoje wojska stoją w gotowości, o królu, na rozkaz pana Prospero. Zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby nadać obozowi spokojny wygląd i nie zaalarmować obserwatorów na murach. Ale wierz mi, wszystko jest w pogotowiu.

Na pytające spojrzenie Conana Prospero przytaknął skwapliwie.

– Wasza wysokość, konie osiodłano w namiotach, a w nocy rozłożono sprzęt szturmowy. Wszyscy czekają na sygnał – cienkie wasy hrabiego uniosły się. – W mieście większość wrogów zażywa właśnie popołudniowego odpoczynku. Tylko przybycie twojego orszaku mogło wzbudzić ich czujność.

Pomniejsi szlachcice wraz z Delvynem i Amlunią zsiadli z koni i podeszli, żeby przysłuchiwać się rozmowie Conana z Prospero, Odziany w zbroję karzeł ze zdziwieniem spoglądał na otaczających go oficerów. Podobnie zachowywała się ładacznica odziana w ciasną zbroję ze skóry i brązu. Stosując się do rady Prospera król rozkazał swej świecy rozproszyć się wśród pobliskich namiotów. Pozostałym Czarnym Smokom przekazał rozkaz, aby zsiadli z koni i odprowadzili je w niewidoczne miejsca.

Potem wraz z innymi czekał w udawanym rozleniwieniu. Knot świecy dopalał się powoli i wytrwale pochłaniając ostatnie krople łożu. Wreszcie rozbłysł po raz ostatni, wypuścił smużkę dymu i zgasł.

Zapadło ciężkie milczenie. Mur i brama stały nienaruszone w blasku zachodzącego słońca.

Nagle, w połowie odległości między obozem oblegających a miejskim murem, w ziemi pojawiła się wąska szczelina. Z jamy niczym diabły zaczęli wypełzać półnady, niscy i oblepieni ziemią mężczyźni. Ich pojawienie się sprawiło, że dowódca baterii katapult wstrzymał ostrzał. Te zmiany wywołały okrzyk jednego ze strażników na murze. Nad blankami można było dostrzec ożywienie wśród głów w hełmach.

Potem ziemia zadrżała. Skłębiona fontanna pyłu wydobyła się ze szczeliny na przedpolu i ogarnęła ostatniego z uciekających górników. Potężna kamienna bryła najbliższej czworokątnej baszty zaczęła chodzić w posadach, a potem przechyliła się gwałtownie. Drobne ludzkie figurki posypały się z jej szczytu.

Potem rozległ się przyprawiający o dreszcz grozy łoskot, trzask, cienkie

okrzyki ludzi. Hałas trwał dłuższą chwilę podobnie jak drżenie ziemi i nie ucichł, aż brama nie zamieniła się w stromy kopiec gruzów piętrzący się wśród chmury przesłaniającego słońce pyłu.

– Na Croma, brama ciągle stoi! – przekleństwo Conana rozbrzmiało wśród trwożnej ciszy.

– Tak jest, wasza wysokość! – krzyknął Prospero zwracając się do swego inżyniera. – Co ty na to, Miniasie?

– Niewątpliwie trzyma się na poprzecznej sztabie. – Saper zasłonił ręką oczy i próbował przeniknąć wzrokiem kłęby pyłu. Obita metalem krawędź bramy sterczała, pochylona niezgrabnie. Minias potarł pokrytą siwym zarostem szczękę, ale nie zdobył się na żadną radę.

– To nie ma znaczenia! – Conan rozejrzał się szukając konia. – Jeśli teraz uderzymy, zdobędziemy mur w mgnieniu oka! Drabiny i haki są pod ręką, czyż nie tak? Na koń!

– Tak jest! – Prospero zawahał się w momencie, kiedy wszyscy wokół zaczęli się krzątać. – Ale przecież nie ma wyłomu, przez który jazda mogłaby przejść. Konie nie pokonają tego rumowiska.

– Shalmaneser pokona! – krzyknął król wskakując na siodło. – Za mną!

Egilrude i baron Haik przekazali wydany przez Conana rozkaz ataku. Rozbrzmiały trąby robiąc hałas większy niż przy upadku baszty. Ten zaś wkrótce został zagłuszony bojowymi okrzykami armii, która ruszyła na spotkanie przeznaczeniu.

– Naprzód wilki, po imperium i łupy! – Conan, samotny konny wojownik na czele tłumu piechurów dźwigających włócznie i drabiny oblężnicze, poprowadził szarżę. Koń szybko wyprzedził biegnących. Na skraju kamiennego rumowiska, piętrzącego się na miejscu baszty, król ściągnął wodze rumaka, by poszukać najpewniejszej drogi. Wierzchowiec cofnął się na moment, potem przysiadł na zadzie i wznosił przednie kopyta w powietrze. Chwilę później rzucił się na dymiące granitowe osypisko.

– Na Bel i Croma! – Jazda była niebezpieczna. Conanem rzucało, jakby dosiadał dzikiego hyrkańskiego rumaka. Podłoże pod podkowami okazało się osuwiste i niepewne, tak że Conan, by utrzymać się w siodle, musiał chwycić obiema rękami grzywę Shalmanesera. Potężny ogier rzucał się do przodu i na boki, wspinał się na przeszkody, tratował na wpool pogrzebane ciała, susami przemierzał luki między głazami wielkości człowieka. Wdrapywał się i osuwał, spuszczał lawiny sypkiego gruzu, ale stopniowo zbliżał się do postrzępionej grani ruin.

– Na Croma! Pfuj! – Powietrze żółte było od skalnego pyłu, a jednak ten gryzący obłok nie zasłaniał jeźdźca przed wzrokiem strzelców stojących na murze. Strzały i kamienie uderzały o skały wokoło. Było to dzieło garstki obrońców, którzy ośmielili się wejść na poszarpaną krawędź parapetu tuż przy zburzonej wieży. Conan miał tylko miecz i topór. Gdyby nawet posiadał łuk, to i tak nie mógłby rozluźnić uścisku na szyi Shalmanesera. Katapulty oblężnicze mogłyby łatwo oczyścić zrujnowany szaniec z obrońców, ale nie wznowiły miotania głazów z powodu obecności króla na linii strzału.

– Dalej, wilki, do mnie! – w tej chwili pierwsi podążający za nim jeźdźcy, głównie oficerowie i Czarne Smoki, dotarli do rumowiska. Conan obejrzał się i stwierdził, że wspinają się niepewnie. Tylko kilku ostrogami zmusiło swe wierzchowce do wejścia na piarg, inni zsiadli, porzucili je i wspinali się pieszo. Pierwsza fala piechoty biegła tuż za nimi, jej pociski uderzały już o mur. Jednak w odpowiedzi spadł gęsty grad kamieni i strzał, a ocalały fragment muru zaroił się od okrytych hełmami głów. Wydawało się, że mimo zniszczenia wieży obrona miasta będzie zjadła.

– Na żarłoczne psy Croma! – Conan trzymał się kurczowo grzbietu swego rozpędzonego wierzchowca, i nagle zauważył poważniejszą przeszkodę. Kiedy dotarł do szczytu wyrwy, dostrzegł, że rumowisko nie ciągnie się łagodnym stokiem w stronę miasta. Wieża, podkopana od zewnątrz, zawałiła się poza mury, pozostawiając od strony miasta pionowe urwisko, które wznosiło się na wysokość czterech, pięciu ludzi. Nie została żadna pochylnia ani schody, nie było szans na bezpieczne zejście. Kiedy król patrzył znad przepaści na miasto, jego dumna sylwetka ściągnęła na siebie ostrzał łuczników z dołu. Strzały świstały mu koło uszu i brzęczały o pancerz, a ponadto cały czas ostrzeliwano go z góry.

Na szczęście człowiek i koń byli całkowicie opancerzeni, a ich gwałtowne ruchy utrudniały wrogom celowanie. Nie zatrzymywali się więcej. Conan szarpnął za wodze, by pokierować swym nieustraszonym rumakiem, ale ten wiedział już, co

ma robić. Z przeraźliwym rżeniem rzucił się na szeroką, pokruszoną grań miejskiego muru i skierował się po niej w górę, ku krawędzi najwyższego parapetu.

– Na Croma! Na upartego, krwawego Pana Góry! – wydał dziki okrzyk wojenny Conan, dobywając miecza.

Łucznicy mieli najlepszą sposobność do strzału, kiedy koń wspinał się mozolnie pod nimi, ale wtedy chybiali. Teraz strzelali w pośpiechu, pragnąc zawrócić wierzchowca o rozdętych nozdrzach wraz z jego wrzeszczącym jeźdźcem. Ich pociski nie znajdowały jednak szpar w pancerzu konia i wojownika i odbijały się na bok nie czyniąc im krzywdy. Wreszcie kilku porzuciło łuki i porwało za halabardy, ale było już za późno.

Czarny wierzchowiec rzucił się wraz z jeźdźcem na połamaną krawędź parapetu, przewrócił jednego z łuczników i stratował go podobnymi do młotów kopytami. Przez moment rumak desperacko walczył o zachowanie równowagi na pokruszonej kamiennej krawędzi, po czym tryumfalnie oparł na parapecie wszystkie cztery kopyta i ruszył naprzód jak pocisk z katapulty. Zrzucił przy tym jednego z obrońców. Następny zginął od miecza Conana tracąc najpierw halabardę, a potem okrytą hełmem głowę. Ostatni łucznik zdążył jeszcze przebiec pół tuzina kroków, nim szybkie, podkute stałą kopyta stratowały go na krwawą miazgę. Inni wrogowie mogli tylko wybierać między natychmiastową śmiercią a ucieczką wzdłuż muru.

Legendy mówią, że w ten sposób rozpętała się zemsta Conana nad miastem Numalią. Biegąca po murze droga była wystarczająco szeroka. Shalmaneser, potężny w swym czarnym pancerzu i rozgrzany bitwą, ruszył wzdłuż blanków. Jego płynny, równy chód uwolnił Cymmerianina od konieczności trzymania wodzy i pozwoilił mu walczyć jednocześnie mieczem i toporem. Król, znający tajniki turańskiego jeździectwa, jechał teraz, jakby stanowił z koniem jedno ciało.

Przechylał się lekko w lewo i prawo pozwalając swym ostrzom zbierać krwawe żniwo. Porabane ciała znaczyły kolejne ciosy, a tymczasem rumak – demon z furia w oczach bił podkowami i kasał czerwonymi od krwi zębami.

Numalianie na murze nie mieli szans uniknąć rzezi rozpętanej przez Conana. Zmuszeni stawić czoło wojskom nacierającym na mury, nie mieli czasu ani środków, żeby obronić się przed zbłąkanym jeźdźcem. A Conan galopował wzdłuż muru tratując ich, ścinając i strącając w przepaść. Ci nieliczni, którzy znaleźli schronienie na schodach, kulili się ze strachu, kiedy Cymmerianin ich mijał. Człowiek i koń pędzili tak szybko, że wydawało się, iż nawet strzała nie jest w stanie ich dogonić.

Szarża Conana nastąpiła w odpowiednim momencie. Po jego przejeździe nowi obrońcy przybywający na mury spotykali tam gromadki napastników wysypujące się z wierzchołków drabin, co stawiało Nemedianczyków od razu na straconych pozycjach.

Conan przez czerwoną mgłę w oczach patrzył, jak kolejni przeciwnicy wyłaniają się przed nim, otrzymują swój cios i przepadają w niebycie. Raz cięcie mieczem, raz cios toporem. Niektórzy ginęli stawiwszy mu czoło, inni skakali w przepaść, ogarnięci szaleństwem. Opancerzony król poruszał się zwinnie jak grzechotnik, prostował się, pochylał i uderzał. Szarża zmieniała rytm tylko wtedy, kiedy Shalmaneser stratował jakiegoś skulonego tchórza. Conan nie zastanawiał się, dokąd zmierza, gotów był objechać w ten sposób całe mury miejskie. Był teraz nawiedzonym wojownikiem Croma, pogrążonym w chwili terażniejszej, niejasno uświadamiał sobie odgłosy wiwatów słanych mu z jednej strony muru i przekleństw z drugiej.

Jakiś halabardnik podniósł swą broń, ale potem wystraszył się, rzucił do ucieczki i zginął od bezlitosnego ciosu toporem. Jakiś łucznik porzucił łuk i próbował zawisnąć na krawędzi muru, ale spadł z rozdzierającym krzykiem. Inny położył się płasko na parapecie, żywiąc nadzieję, że koń go ominie. Mylił się, czego dowiódł chrzęst pod kopytami Shalmanesera.

Przed Conanem pojawiła się grupa walczących. O blanki opierała się drabina, a Aquilończycy na jej szczycie wymieniali ciosy z obrońcami, którzy próbowali ich odepchnąć. Demoniczny Shalmaneser przyspieszył kroku, pragnąc zmiażdżyć stojących mu na drodze śmiertelników.

W tym momencie najbliższy z obrońców obrócił się, nie miał pancerza, tylko hełm. Żołnierz bez lęku pochylił stalowy grot włóczni w stronę szybko zbliżającego się jeźdźca. Nemedianczyk oparł tępy koniec broni o rysę w podłożu, a potem przykucnął, pewnie przytrzymując drzewce.

Nie było czasu, by zatrzymać rozszalałego konia, ani miejsca na ominięcie przeszkody. Rumak wpadł wprost na nieruchomego wojownika. Rozdzierający trzask

uświadomił Conanowi, że grot utkwiał we wnętrzościach Shalmanesera. Mimo to koń parł mocno naprzód i zdołał wyciągnąć masywną szyję w chwili, gdy włócznik zrywał się na nogi. Z przenikliwym rzeniem rumak zatopił zęby w gardle swego zabójcy.

Piekielny paroksyzm wściekłości i bólu sprawił, że jeździec, koń i jego ostatni przeciwnik zwalili się z parapetu na wewnętrzną stronę muru. Conan czując, że leci na dół, wyrwał stopę ze strzemienia i kurczowo ścisnął ciało wierzchowca. Potem uderzył twarzą w końską grzywę. Miał szczęście, bo upadł na swego rumaka, a nie pod niego.

Król szybko odzyskał dech w płucach. Zbroja i Shalmaneser uchronili go od poważnych obrażeń.

Conan zerwał się na równe nogi, oczekując, że za chwilę okrażą go żądni odwetu obrońcy. Odnalazł miecz, który upadł opodal. Jednak alejka, na której się znalazł, była pusta. Panowała tu cisza, tylko z muru dobiegała bitewna wrzawa. Ogromny rumak był martwy jak i jego dzielny zabójca, leżący w kałuży krwi kilka kroków dalej.

Conan schował miecz do pochwy, odwrócił się od zmasakrowanych ciał i ruszył w stronę bramy, o którą toczyły się walki. Wąska uliczka biegła u podnóża muru. Nieliczni obrońcy i mieszczanie, jakich Conan napotykał, nie zaczepiali go. Wyglądało na to, że większość Numalian opuściła już sąsiedztwo murów i pochowała się w domach.

Walczących obrońców Conan widział tylko na murze, co jakiś czas któryś z nich spadał na chodnik z trzaskiem łamanych kości.

Conan zbliżył się do schodów prowadzących na mur i dostrzegł na nich pośpiesznie wycofujących się ostatnich numalijskich żołnierzy. Uciekali pomiędzy domy i znikali tam, podczas gdy na murach kłębił się już tłum Aquilończyków i ich nemedyjskich sprzymierzeńców. Kiedy ci dostrzegli Conana, powitali go gromkimi wiewatami.

– Za mną, wilki, do bramy miasta! – zawołał król.

Część żołnierzy pobiegła za nim. Kiedy dotarli do wrót, okazało się jednak, że są już zdobyte. Nierówna powierzchnia osypiska gruzu usłana była najeżonymi strzałami zwłokami. Można się było domyślić, że atakujący przebyli rampę z ruin, zdobyli drugą basztę i otworzyli wrota od wewnątrz. Sterty ciał odzianych na szaro obrońców przemieszane z nielicznymi zwłokami w czarnych i brązowych strojach świadczyły o zaciętości walk. Teraz strumień jeźdźców w czarnych zbrojach przelewał się przez bramę ze stukotem kopyt.

Conan rozejrzał się po tłumie szukając konia. Pierwszy, jaki wpadł mu w oko, był za mały i zbyt lekki, chociaż niósł aż dwoje jeźdźców: Amlunię wymachującą butelką wina i siedzącego za nią karła Delvyna.

Conan spojrzał w inną stronę i zauważył, że wojska zaczynają zbijać się w bezładny tłum, nie wiedzący co robić. Rozkazał dowódcy tych żołnierzy poprowadzić ich na siedzibę władz miasta i wskazał mu właściwy kierunek. Potem podszedł i powitał swych towarzyszy.

– Witaj, Conanie Niewrażliwy na Ciosy! – wykrzyknął Delvyn. – Samotny zdobywco murów Numalii, czy możesz poleć z ręki śmiertelnika? – karzeł wzniósł swój Przebijacz Serc wywołując entuzjazm przechodzących obok żołnierzy.

– Jeśli jestem niewrażliwy na ciosy, to szkoda, że ostatni nieprzyjaciel nie skierował włóczni we mnie zamiast w mego konia! Nieprędko znajdzie się ogier podobny do dzielnego Shalmanesera.

– Chyba nie – zgodziła się Amlunia wychylając się z siodła, by podać Conanowi butelkę z winem. – Ale cóż znaczy koń, o panie świata? Możesz dosiąść każdego konia i każdej istoty, jakiej zapragniesz w każdej chwili! – roześmiała się zuchwale i wyprostowała w siodle. – Numalia jest twoja, panie! Mówiłeś, że kiedyś żyłeś na tych ulicach jako złodziej, teraz ukradłeś całe miasto!

– Tak – potwierdził Conan rozglądając się niecierpliwie. – Ale chętnie zamieniłbym całe to miasto na jednego konia. Muszę mieć jakiegoś, który poniesie mnie do walki o pałac.

– Nowa walka?! – krzyknęła Amlunia z rozdrażnieniem. – Czy nie dosyć ci walki na dzisiaj? Mur jest zburzony, miasto jest nasze! Teraz pora na rabunek i rzeź, na grabież i szaleństwo w prawdziwie barbarzyńskim duchu!

– Rzeczywiście, panie – dorzucił skwapliwie Delvyn zza pleców kurtyzany. – Wojska zaczęły grabić i do jutra to dumne miasto znajdzie się na kolanach.

– Robią duży błąd, jeśli z tego powodu zapominają o obowiązkach wobec mnie! – warknął Conan. – Ale kogóż ja widzę, baronie Haik, Egilrude, jakie macie wieści?

Dwaj jeźdźcy ściągnęli wodze wierzchowców.

– Witaj, o królu! Szczęśliwi jesteście oglądając cię w zdrowiu! Widziałem, że straciłeś konia. – Egilrude zsunął się z siodła, nim skończył mówić. – Proszę, panie, weź mego wierzchowca! Mur zachodni i północny zostały oczyszczone dzięki twej wspaniałej szarzy, a obsada południowego poddała się...

– Tak jest, wspaniała walka, królu Cymmerianinie! – przyklasnął baron. – Dałeś nam piękny pokaz jazdy konnej! Teraz cały ten złoty garnek jest nasz i znajdziemy w nim sute ochłapy. Ta i moi ludzie długo czekaliśmy na ten dzień.

– Powstrzymaj swoich żołnierzy, baronie, dopóki nie padnie dzielnica centralna i nie poddadzą się wszystkie garnizony – rzekł Conan. – Nie chcę, żeby cokolwiek odciągnęło wojsko od walki o pałac.

– Z tym nie będzie kłopotu, wasza wysokość – zauważył Egilrude. – Żołnierze obu armii ciągną w stronę pałacu, jest ich pewnie więcej, niż może wziąć udział w walce.

– Tak bo tam będzie najbogatszy łup! – zgodził się baron Haik – Ale, królu, nie myśl, że zdołamy powstrzymać wojsko od plądrowania miasta. Nie powstrzymamy ani moich, ani twoich. Jajko już pękło i nieprędko da się je pozbierać do kupy.

– Tak sądzisz, baronie? I ty, Egilrude? – Conan machnął ręką – Zatem dobrze! „Nigdy nie kochałem Numalii – wzruszył ramionami i uniósł butelkę do ust. – Skoro nasze zwycięstwo jest pełne, niech żołnierze robia, co chcą!

13. KOLEBKA IMPERIUM

Światła i cienie igrały na wysokich, ostrołukowych oknach królewskiego pałacu w Tarancji. Od jego wyniosłych sklepień pograżonych w mroku letniej nocy odbijały się echa muzyki i zabawy. Dworzanie i szlachta zebrali się, jak to często w ostatnich miesiącach bywało, by uczcić wymarsz nowych rekrutów na zagraniczną kampanię. O poranku ci młodzi oficerowie mieli wyruszyć w drogę zwabieni urokiem łupów i fascynujących przygód, ale ta noc przeznaczona była na hulankę, obfite jedzenie i picie oraz na czułe szeptu pożegnań z kochankami w pałacowych ogrodach.

Na szerokim tarasie, na wyściełanym poduszkami siedzeniu spoczywała królowa Zenobia, odziana w suknię zdobioną klejnotami i wytwornymi koronkami. Siedziała w przytłumionym blasku latarni osłoniętych papierowymi kloszami, z dala od świątecznej wrzawy. Przez kryształowe drzwi na tyłach tarasu widać było głowy oraz ramiona oficerów i dam poruszających się w takt spokojnej melodii. Przy drzwiach i w zewnętrznych rogach tarasu stali w milczeniu gwardziści z oddziału Czarnych Smoków. Na przysuniętym blisko królowej krześle siedział łysiejący Publiusz, kanclerz Aquilonii.

– Bal rozwija się dobrze, wasza wysokość – stwierdził. – Służba pałacowa, jak się zdaje, jest przyzwyczajona do podobnych przyjęć, nie nudzi się ani nie jest przeciążona.

– To dobrze – powiedziała królowa uśmiechając się blado. – To nam daje możliwość pokazania i wydania choć części tych bogactw, które mój mąż przysyła ze swoich podbojów. Chcę, żeby ci młodzi ludzie mogli miło wspominać ojczyznę, kiedy udadzą się tam, skąd być może nie powrócą – gdy to mówiła, uśmiech zniknął z jej ust.

– Twoje zabawy, moja pani, są z pewnością spokojniejszą, i bardziej cywilizowaną, niżby to się podobało naszemu królowi. Jak do tej pory nie było pojedynków, pijatyki, opowieści ani występów barbarzyńskich tancerzy. – Kiedy Zenobia podniosła wzrok, kanclerz uśmiechnął się niespokojnie. – Wyznaję, wasza wysokość, że uroczystości urządzone przez ciebie bardziej mi przypadają do gustu.

– Naprawdę, Publiuszu? – obruszyła się królowa. – Postanowiłam pielęgnować subtelniejsze sztuki i tradycje Aquilonii, żeby nie obwołano nas dzikim narodem pod berłem nieokrzesanego króla. Ale ty nie lekceważ zalet duszy ani mocy nieokiełznanego ducha – machnęła dłonią, jakby odgarniając pajęczynę, i odwróciła twarz od Publiusza. – Czasami źle akcentowany głos przebija się przez obłudne mamrotanie pobożnych dogmatów – mówiła dalej. – Czasami może nawet zwołać wokół siebie naród... – królowa Zenobia zamilkła i wpatrywała się w ciemną przestroność ogrodu oświetlonego konstelacjami lampionów kołyszących się na drzewach. Jakiś młody oficer i jego dziewczyna, objęci w pole, przesuwali się obok tryskającej fontanny w stronę ciemniejszych alejek dolnego ogrodu. Kiedy para zniknęła za wiażami, Zenobia westchnęła lekko i odwróciła się znowu do

Publiusza.

– To dzikość Conana, a nie jego królewskość sprawiła, że pokochałam go od pierwszego wejrzenia.

Wrażenie, jakie zrobiły na Publiuszu wymówki królowej, ustąpiło rychło na widok jej melancholii, tak że kanclerz otrząsnął się ze zmieszania i dalej jej schlebiał:

– To sprawiedliwy zwrot historii, pani: podbój Nemedii przez naszego króla daje waszej wysokości władzę nad Belverus, twoim ojczystym miastem.

– Tak, to rzeczywiście ironia losu. Ja, która kiedyś byłam tam niewolnicą! Zastanawiam się, Publiuszu... zastanawiam się, czy on któregoś dnia nie spróbuje podbić swego ojczystego kraju, Cymmerii? Wątpię, czy nawet on zdoła podporządkować sobie taką dziką krainę! – królowa w zadumie pokiwała głową. – Publiuszu, czy sądzisz, że on naprawdę zamierza podbić cały świat?

Kanclerz wzruszył ramionami.

– Kto to wie? W ostatnim liście ostrzegałam go, żeby otwarcie nie deklarował takiego celu, bo zwróciłby przeciw sobie wszystkich hyboryjskich władców. Ale wobec jego ostatnich podbojów niektórzy z nich i tak dojdą do tego wniosku.

Zaciekawiona Zenobia przysunęła się bliżej.

– Nie możesz mu tego wyperswadować?

Publiusz pokręcił głową.

– Jak wiesz, pani, król niełatwo porzuca swe plany. Powiedziano mi, że ta idea rozpałała jego serce. Nie wiem, co może go od tego powstrzymać poza... – dostrzegł niepokój w oczach królowej i złagodził słowo, które miał już na końcu języka – ...porażką. Jednak, o ile mi wiadomo, teraz król Conan gorąco pragnie zniszczyć intryganta Armira. Jeśli osiągnie ten cel z wystarczającym rozlewem krwi i swego własnego potu, może zaspokoi to jego żądze podbojów. Przynajmniej na jakiś czas, jak sądzę... – Publiusz urwał nagle zastanawiając się, czy nie na zbyt wiele sobie pozwala.

Jednak Zenobia natychmiast chwyciła go za słowo.

– Tak, rozumiem, może zadowolić się zwycięstwem nad Koth. W końcu jak dotąd zajął tylko ziemie królów, którzy rozpoczęli wojnę przeciw niemu. Armiro zaś sprzeciwił mu się w tym..

– A teraz, jeśli wyrwie terytorium swego nowego wroga, któż go za to będzie winił? – podsumował Publiusz odzyskując werwę, bo kiedy rozmowa zeszała na sprawy dyplomacji, poczuł się nagle w swoim żywiole. – Uderzenie naszych lenników na wschodnią Nemedię to rzecz jasna sprawa wewnętrzna. Aquilońska obecność tam oznacza zagrożenie dla północnej flanki Armira w Ophirze i Koth – kanclerz przybrał taki sam znudzony wyraz twarzy, jakby starał się wywieść w pole zagranicznego posła. – Jutro, zgodnie z królewskim rozkazem przyniesionym dzisiaj przez kuriera, rozpoczynam negocjacje z posłem Koryntii w sprawie przepuszczenia naszej armii przez ich terytorium w celu uderzenia na Koth. Takie porozumienie przyda się Conanowi niezależnie od tego, czy ma zamiar uszanować neutralność Koryntii, czy nie.

– Rozumiem – wobec perspektywy rozszerzenia się wojny królowa znowu posmutniała. – Przypuszczam, że Conan musi rozstrzygnąć swą zwadę z Armirem – westchnęła. – Dziwi mnie tylko, że ci dwaj tak długo unikają starcia.

– Obaj wodzowie są przebiegli – oznajmił Publiusz. – W całej Hyborii armia kothyjska jako jedyna jest w stanie zmierzyć się z aquilońską. Niemniej jednak, jeśli nasze dwa kraje rozpoczną otwartą wojnę i osłabiają się nawzajem, to kraje ościenne pośpieszą, by rozszarpać nas na kawałki, jak to zrobiono z Ophirem. Zarówno twój mąż, jak i jego przeciwnik pojmują to aż nazbyt dobrze. Dlatego uzbroili się w cierpliwość i obaj wyglądają szansy na zadanie zręcznego, decydującego ciosu, po którym zwycięzca pozostanie silny.

– Dobrze to rozumiem – powiedziała Zenobia. – Krażą wokół siebie niczym głodne lwy otoczone stadem szakali, którym ślina cieknie z pysków. Paskudne zajęcie ta wojna, naprawdę plugawe! – popatrzyła na salę balową, skąd właśnie rozbrzmiewały tony nowego tańca. – A jednak nam, w Tarancji, wojna przynosi tylko bogactwo i wesołość – dokończyła przerwana myśl. – Naszej gnuśnej młodzieży obiecuje sławę, łupy i karierę. Wojna nie zabija naszych synów, ona zamienia ich w nieśmiertelnych bohaterów. Na każdym kilku chłopów poległych w bitwie, jeden zostanie panem jakiejś posiadłości w Luce Tybor, a ich rodziny będą szczęśliwe. O moim mężu mówi się, że jest największym bohaterem w dziejach Aquilonii. Gdybym tylko wiedziała, że zawsze tak będzie! Nasz lud ponosi na razie niewielkie koszty. Ale obawiam się, że możemy jeszcze słono za to zapłacić

i gorzko pożałować.

– W innych krajach nasz król nie jest uważany za bohatera – odezwał się Publiusz. – Szpiedzy donoszą mi, że panowie w Brythunii i Koryntii ostrzegają przed nadejściem Conana Łupieżcy i Conana Szarańczy. Te narody nie będą tak podzielone i nie przygotowane jak Nemedianie. Ale oto nadchodzi inny potężny wódz! – Publiusz odwrócił się, by powitać małego Conna, który właśnie wszedł na taras. Chłopak wywijając drewnianym mieczem kroczył dumnie na czele armii składającej się z jednej młodej niańki.

– Wasza wysokość, próbowałam położyć księcia do łóżka, żeby mógł podbić świat – zwróciła się kobieta do Zenobii. – Ale on najpierw chce otrzymać pani błogosławieństwo.

– Och, moje słodkie kochanie! – Zenobia wyciągnęła ramiona i objęła młodego wojownika. – Masz moje błogosławieństwo, kochany, moją łaskę i rozgrzeszenie! Idź i podbij dla mnie wielkie sny!

– Wzruszające pożegnanie, wasza wysokość! – Mocny, niski głos rozbrzmiał, kiedy dziecko wysunęło się z ramion królowej.

– Teraz rozumiem, dlaczego ojciec tego chłopaka tak łatwo podbija obce kraje.

– O, Trocero! – krzyknął zaskoczony Publiusz.

– Dobry wieczór, hrabio! – Zenobia wyprostowała się i patrzyła, jak władca Poitanii schyla się, by pociągnąć Conna za ucho. – Nie oczekiwaliśmy, że przyjedziesz tak wcześnie! Jak upłynęła podróż? Rada bym usłyszeć z twoich ust o sprawach w Ophirze.

– Wszystko dobrze, wasza wysokość – hrabia schylił się i pocałował rękę królowej, wymienił uścisk dłoni z Publiuszem i usiadł na krześle obok kanclerza. – Teraz, kiedy Rzeki Czerwonej broni łańcuch fortów, niebezpieczeństwo kothyjskiego ataku jest niewielkie. Za zgodą króla Conana uznałem za konieczne wrócić do domu i zająć się sytuacją na południu.

– Na południu? – spytał zaskoczony Publiusz. – Masz na myśli Poitanie?

– Tak, kanclerzu – odparł Trocero, na jego opalonej twarzy pojawił się dostrzegalny rumieniec. – Nie byłem pewny, czy dostarczyli ci tę wiadomość, ale widocznie nie, a zatem wasza wysokość także nie słyszała...?

Zenobia niecierpliwym skinieniem kazała mu kontynuować.

– Książę Armiro obszedł nasz front na zachodzie Ophiru, atakując Argos. Pięć dni temu jego wojska zdobyły twierdze nad Khorotasem i przeszły stamtąd przez granicę. Argosańczycy nie zdołali jeszcze zebrać swych głównych sił, możemy jednak liczyć na to, że niebawem wyślą swą flotę w górę rzeki. Nasze południowe prowincje nie będą poważnie zagrożone, chyba że prawdą okażą się plotki o zawarciu tajnego sojuszu między Koth a Zingarą. W każdym razie lepiej będzie, jeśli szybko stawię się w Poitanii.

– Groźba dla południowej granicy! – Zenobia pokiwała głową. – Armiro gra z nami tak samo jak my z nim na północy! Naprawdę wypadki wyprzedzają moje obawy – spojrzała na Publiusza. – Ale Zingara zawsze była sojuszniczką Aquilonii, przynajmniej odkąd Conan zasiadł na tronie! Argos zaś jest śmiertelnym nieprzyjacielem Koth.

– Zapewne, wasza wysokość – przytaknął niepewnie Publiusz. – Ale mieszkańcy Argos to lud morski, nie są tak silni na lądzie. Dlatego często wchodzi w konflikt z Zingarą o porty i handel przybrzeżny – kanclerz masował palcami czoło okryte siwymi kosmykami. – Dwór Zingary może uznać, że dobrze byłoby zawrzeć przymierze przeciw południowemu sąsiadowi, nawet ryzykując przy tym wojnę z nami. Jednak bądź pewna, pani, że użyję wszystkich swych dyplomatycznych wpływów, aby odwrócić niebezpieczeństwo tego rodzaju.

Zapanowało złowieszcze milczenie, którego tłem była wesoła muzyka taneczna dobiegająca z zatłoczonej sali balowej. Wszyscy troje uświadomili sobie, że bawia się w jasnej przerwie między burzowymi chmurami, które ogarnęły już pół świata.

Wreszcie odezwała się Zenobia:

– Hrabio Trocero, jak miewa się mój mąż, kiedy tak szuka przygód za granicą? Wiem, że stawiał czoło niebezpieczeństwom, o których nie śmiem nawet myśleć, i że wyszedł z nich tryumfalnie, jak to leży w jego zwyczaju. Przynosi nam wszystkim chwałę. Ale ciekawa jestem, czy tęskni za domem i rodziną?

Trocero schylił się we wdzięcznym pólukłonie.

– Wasza wysokość, zapewniam cię, że król Conan każdym marszem i podbojem, każdym krokiem i każdym ciosem miecza składa hołd tobie i małemu Connowi.

– Rozumiem – królowa rozmyślała nad tym przez chwilę. – A co z tym małym

łapserdakiem, karłem Delvynem? Czy błazen towarzyszy mu w podróży?

– Tak, pani – odparł Trocero. – Ten dureń nosi zbroję, a nawet rusza do bitew. Przybiera rozmaite pozy i wymachuje swą śmieszna bronią, kiedy król mu na to pozwala.

– Nie wątpię, że również śpiewa i błaznuje w czasie tryumfalnych uct. Słyszałam o dzikich orgiach urządzanych przez naszego króla w zdobytych miastach, a ty o nich nie słyszałeś, hrabio?

– A tak, rzeczywiście – rzekł Trocero zakłopotany, że rozmowa zmierza w tym kierunku. Zaczął wiercić się na krześle i pleść coś o bitewnym szaleństwie i trosce o morale wojsk.

– Słyszałam też, że odbywa dalekie podróże, na przykład, aby odwiedzić swą byłą kochankę Yasmelę. – Zenobia spostrzegła zaskoczenie wojownika i naciskała bezlitośnie. – Nie zaprzeczaj! Dlaczegoż to nie miałabym się dowiedzieć, że odwiedza dawną miłość albo że ratuje uwięzioną królową? Wiem też o tej dziewczce Amlunii, mam szpiegów i astrologów, którzy informują mnie o tych sprawach.

– Wasza wysokość – przerwał wstrząśnięty Publiusz. – Wiesz przecież, że jeśli potrzebujesz jasnowidza lub horoskopu, to jestem gotów służyć waszej wysokości. Nie przystoi osobie tak wysoko postawionej zwracać na siebie uwagę plotkarzy i szarlatanów. Ostrzegałem już panią przed tym niebezpieczeństwem, a zwiększa się ono w tych niespokojnych czasach. Proszę, nie dawaj posłuchu ubliżającym plotkom.

– Milcz, Publiuszu! – syknęła Zenobia prostując się na sofie. – Przejrzałam już twoją grę! Boisz się, że jeśli dowiem się za dużo, zwrócę się przeciw Conanowi i zaskodzę imperium. Aleja jestem ponad to! Tak, wiem o jego dziwkach! Rozdarłabym im gardła, gdybym mogła! – w oczach królowej pojawiły się stalowe błyski. – Ale ja kocham Conana i pozostanę mu wierna. On jest nie tylko moim mężem... On jest moim królem!

– Vatesso, kochanie! Czy teraz czujesz się lepiej? Obniżę ci oparcie pod głową. – Yasmela, klęcząc przy pryczy służącej, odstawiła puchar z wodą na stolik. Jedną ręką uniosła delikatnie głowę chorej, a drugą wygładziła atlasowa poduszkę. Potem rzuciła okiem na poziom płynu w pucharze. Vatesa wypila kilka łyków, ale mimo to nie odpowiadała na pytania. Leżała ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w sufit, jej oczy miały matowo piwną barwę.

– Wygodnie ci, Vatesso? Teraz odpocznij, to wkrótce minie.

Yasmela wstała z kolan, odwróciła się i przesunęła świecę w najdalszy koniec stołu. Stamtąd mniej raził otwarte oczy kobiety i nie rzucał trupiego blasku na jej zniekształconą twarz. Chociaż rana zagoiła się już, Vatesa leżała w letargu, odkąd opuściły twierdzę nad jeziorem. Była jedyną pokojówką Yasmeli, a teraz pani i służąca zamieniły się rolami. Księżniczka wiedziała jednak, że choćby troszczyła się o Vatesę do końca swych dni, to i tak nie odpłaciłaby nawet w dziesiątej części za wierną służbę tej kobiety.

Księżniczka odwróciła się niespokojnie. Podeszła do ukrytego za kotarą wysokiego okna i wyjrzała przez jedną z romboidalnych szybek. Nie było księżyca, tylko garść gwiazd świeciła nad zarysem szczytów górskich, których poszarpanych kształtów Yasmela nie знаła jeszcze na pamięć.

Księżniczka wiedziała, że ta ustronna, bezimienna twierdza jest miejscem jej kary. Została pozbawiona miłości syna i odsunięta od jego łask, zresztą i przedtem niezbyt obfitych. Również stosunek Armira do Vetessy był przeraźliwie zimny. Zlekceważył jej wypadek, jakby była zwyczajną służącą, a przecież była dlań niczym druga matka, od dzieciństwa pomagała w jego wychowaniu. Czasami Yasmela zastanawiała się, co też wydała na świat, czyniąc swego syna tak wcześniej dojrzałym, szkoląc go w sposobach sprawowania władzy, a za to głupio odmawiając mu prawa posiadania ojca.

A jednak Armiro był jej jedynym synem! Jedyne co mogła zrobić, to kochać go i chronić. Zbyt niebezpiecznie byłoby ujawnić pewne tajemnice...

Jego nienawiść do kochanków matki była zrozumiała. Z kolei Conan, dowiedziawszy się o więzach łączących ją z Armirem, zostawi ją zapewne samą na pastwę trosk, jakie sama sobie zgotowała. Teraz ci dwaj byli nieprzejeđnanymi wrogami i będą nimi tak długo, aż jeden w końcu nie zabije lub nie uwięzi drugiego... A byli to jedyni mężczyźni na świecie, jacy ją obchodzili!

W jej wyschniętych oczach nie było już łez na oplakiwanie swego losu. Uwięziona w odległej części Khoraji, strzeżona przez nieczułych żołnierzy, lojalnych tylko wobec Armira, nie mogła ocalić ani króla, ani księcia; ani

narodu, ani świata. Życie obróciło wniwecz wszelkie dworskie knowania. Nie zostało jej nic innego, jak tylko opiekować się biedną służącą i dzięki temu, być może, zbawić swą duszę.

W zamyśleniu weszła do pokoju sypialnego i stojąc tam rozważała, czy zamknąć się i poszukać snu, czy też dalej snuć się niczym widmo. Wtem jej uwagę przyciągnął jakiś dźwięk dochodzący od strony krętych schodów prowadzących do holu i wartowni na dole.

Zapewne to strażnik wchodził na najwyższą wieżę zamku. Myślała tak, póki nie usłyszała gmerania przy drzwiach. Wiedziała, że były zamknięte na zamek, który uniemożliwiał naciśnięcie klamki od zewnątrz. A jednak ze zdumieniem, które wkrótce ustąpiło miejsca przerażeniu, dostrzegła, że sztaba podnosi się wolno ze swych podpórek, a drzwi uchylają do środka z przytłumionym skrzypem zawiasów.

Na zewnątrz stała ciemna postać. Wysoka, szczupła sylwetka odziana była w szary płaszcz z kapturem. Strój ten ciągnął się po ziemi, a jego obszerne rękawy zwisały z niewidocznych ramion. Widać było tylko płaszcz, Yasmela miała wrażenie, że jest on pusty i po prostu wisi w przedpokoju, lecz w tym momencie przybysz przestąpił próg trzema miarowymi krokami.

– Kto tam? – skierowała to pytanie w mrok pod kapturem intruza. – Idź sobie. Układam się do snu i nie chcę żadnych gości.

Nie mógł to być Conan, bo postać była upiornie chuda. Nie był to też Armiro, jej umiłowany syn, gdyż ten był niewiele wyższy od niej. Gość zaś był tak wysoki, że wsuwając się do pokoju musnął kapturem nadproże. Yasmeli zaświtała inna myśl.

– Czy jesteś posłańcem od Armira? – spytała. – Zwiastujesz mi jego ranę lub.. śmierć? – głos zamarł jej w gardle, nim wykrztusiła straszne słowo. – Przemów i rozprosz moje obawy, zanim wezwę straż! Jeśli to jakiś wybryk, zostaniesz surowo ukarany!

– Nie... nie śmierć – głos przybysza był męski i tubalny niczym zgrzyt zawiasów, ale była w nim jakaś płynność, której brakło zardzewiałemu metalowi. – Przynoszę ci wieść nie o śmierci, lecz o radosnych narodzinach.

– Co masz na myśli? – Yasmela zwróciła się w stronę toaletki, na której wśród lusterek, grzebieni i naczyń z pachnidłami leżał długi sztylet. – Nie jesteś z załogi i nie jesteś posłańcem! – rzuciła obcemu. – Jeśli zaraz nie wyjdiesz, ostrzegam cię, będę krzyczeć!

– A więc krzycz. Jakiż dźwięk lepiej niż krzyk kobiety pasuje do wielkich i chwalebnych narodzin? – w dziwnym głosie brzmiało uniesienie. – Mówię o twoich, szlachetna damo, narodzinach do życia w łasce i pod pieczę wszechwiedzącego boga, który postanowił odnowić swą władzę tu na ziemi...

Yasmela zaczerpnęła w płuca tyle tchu, aby starczyło go na długi, przeraźliwy wrzask, którego jednak nie wydała, bo gardło ścisnął jej strach na widok tego, co stało się przed jej oczami. Widmowy gość bez wysiłku sięgnął po nią przez całą szerokość komnaty. W długich, luźnych rękawach poruszało się coś bezkształtnego, a wystawały z nich czarne połyskujące szpony o szybko rosnącej długości.

To nie była ludzka ani w ogóle ziemską istotą. Yasmela mniej bała się dotknięcia szkieletu niż mrocznego niebezpieczeństwa grożącego jej duszy. Błyskawicznie odskoczyła i udało się jej uniknąć śmiertelnego uścisku. Cofnęła się do okna, wyczuła plecami kotarę, a potem utorowała sobie drogę przez szyby. Zabrzęczało szkło, potem słychać było już tylko wycie wichru. Ciemna postać chybiła, jej pazury ścisnęły nocne powietrze. W końcu Yasmeli udało się krzyknąć i poczuła, że jej dusza unosi się swobodnie. Ciało księżniczki upadło na twarde, górskie kamienie i spoczęło na nich potrzaskane i nieruchome.

14. WITAJ, O POTEŹNY

– Delvyn, zaśpiewaj coś! – ryknął ze swego tronu król Conan. – Zbliży się noc, a nasz gość jest zmęczony podróżą. Dzisiaj wcześniej kończymy hulanekę!

Krzeseł, na którym się rozpierał, nie było prawdziwym tronem, było jednak wysokie i okazałe. Conan siedział na nim bokiem, jedną nogę przerzucił przez złoconą poręcz. W diademie zarządcy Numalii przekrzywionym na czoło wyglądał na barbarzyńskiego zdobywcę i awanturnika, którym był.

W rozciągającej się przed nim sali obrad panował nieopisany bałagan. Długie stoły i ławki poprzewracano. Popioły wygasłego ogniska czerniały na środku pysznej, mozaikowej posadzki. Wokół rozrzucone były skorupy, kości, odłamki

dzbanów po winie i inne pozostałości po dwóch nocach ucztování i grabieży. Najbardziej rzucały się w oczy masywne brązowe drzwi, które wyrwane z zawiasów leżały teraz na podłodze. Część wysokiego kamiennego portalu odkruszyła się do środka i walała w postaci porozrzucanego gruzu. Za szerokim otworem o postrzępionych krawędziach widać było dziedziniec i potrzaskany brzeg zewnętrznego muru.

Dalej słońce barwiło na czerwono zachodni nieboskłon. Na tle świecącej purpury widniały pióropusze dymu z pożarów i wirujące chmary padlinożernego ptactwa.

Karzeł Delvyn, skrzyżowawszy nogi, siedział na szerokim obrzeżu przepastnego, wygasłego kominka. Zgodnie z królewskim rozkazem rozpoczął swoje pobrzękiwanie. W sali siedziało około dwudziestu aquilońskich i nemedyjskich oficerów, a gość, o którym wspomniał Conan, obrzuciwszy niechętnym spojrzeniem zdemolowany pałac, wystąpił naprzód. Był to Publiusz, świeżo przybyły z Tarancji.

– Mój panie – sprzeciwił się drżącym głosem. – Wydaje mi się, że chwila jest bardziej stosowna na przedstawienie spraw państwa niż hulanki...

– Drogi Publiusz – przerwał mu Conan machając władczo pucharem. – Mnie się wydaje, że muszę podbijać świat szybciej, by wyprzedzić twoje pomocne rady! – Przez śmiech wywołany tym żartem król dorzucił: – Ale teraz chcę pieśni. Błaźnie!

Pobrzękiwania Delvyna, które przycichły na czas tej wymiany zdań, znowu rozbrzmiały głośnie. Towarzystwo widocznie nie znało tej nowej melodii, bo ucichło i słuchało z uwagą.

Krew bohaterów i żyzna ziemia Północy,
Czerwono-czarny jest znak Aquilonii.
Natchnioną wizję, mieczy uderzenia
przekują rychło w ziemi twardej kształt.

Po pierwszej strofie spod wprawnych palców Delvyna popłynęło interludium. W tym momencie wojownicza Amlunia poczuła nagłe natchnienie, gibko skoczyła ze swego miejsca u stóp Conana i zapląsała w spontanicznym tańcu.

Wyciągnawszy miecz i sztylet, odegrała zręczną, pełną wdzięku parodię walki. W trakcie zrzuciła z siebie obszuty futrem płaszcz, zostawiając jedynie obcisły strój z czarnej skóry kontrastujący z jej kremowo białą skórą. Oficerowie zamilkli, patrząc na nią i słuchając dalszego ciągu pieśni Delvyna:

Hartowna stal i barbarzyńska dusza
Jednoczą się na chwałę naszych dni,
Ja zaś rydwanem wrogie znaki kruszę.
Dla wrogów ostrza błysk i więcej nic.

Hyborio! Wola twa stanowi prawa,
Hyborio! Twój Bóg daje moc.
Dla ciebie to podbojów naszych sława,
Dla ciebie gromki mojej lutni głos.

Pieśń Delvyna przebrzmiała, a namiętne okrzyki i wzniesione puchary świadczyły o uznaniu, na jakie zasłużyła. Sam król zawołał:

– Wspaniała pieśń, mały bardzie! I wspaniały taniec, mieczowa dziewczyno!

Tymczasem brzęk lutni błazna nie ucichł, a rytm melodii stopniowo stawał się szybszy. Uwaga towarzystwa skupiła się na Amlunii, która wciąż tańczyła na środku sali.

Dziewczyna na zmianę wykonywała ruchy szybkie i gwałtowne, to znów powolne i posuwiste. Muskała nogami ostygłe popioły ogniska, wirując przed zasiadającym dostojnie na skraju ławy Publiuszem. Obojętność kanclerza i wysiłki nierządnic, która strasząc starca bronią usiłowała zmusić go, by się uchylił, wywołały gwizdy widowni.

Nagle jakiś barczysty Nemediańczyk podniósł się z miejsca i wyszedł zza stołu. Dobywszy miecza ustawił go sobie w nieprzyzwoitej pozycji między nogami i ruszył w stronę Amlunii, wykonując przy tym sugestywne ruchy. Śmiech, jaki rozległ się na ten widok, zagłuszył muzykę, a wzmógł się jeszcze, kiedy dziewczyna rzuciła się na żartownisia. Jej broń błysnęła w płynnym, szybkim cięciu, które sprawiło, że żołnierz zatoczył się i krzyknął z bólu. Kiedy

Amlunia wirując tryumfalnie powróciła na środek, wojownik kulił się za stołem i klnąc tamował krew spływającą z ramienia. Wiwaty widzów sprawiły, że sklepienie saliomal się nie zawaliło. Conan, którego ryk rozbrzmiał najgłośniej, ponad wrzawą zawołał:

— Dosyć muzyki! Skończcie tańce, dopóki zostało mi jeszcze kilku oficerów! Amlunio, chodź tu, mała dziewczko, i dziel ze mną tron! Hej, służba, podajcie wieczerzę i zapalcie więcej pochodni, bo zmierzcha! Nie skapcie ich, mamy jeszcze całe miasto do spalenia!

Kiedy służba pośpieszyła wykonać polecenia, Publiusz zaczął uparcie nalegać na rozmowę z królem. „Zanim wasza wysokość zajrzy głębiej do puchara” — jak to taktownie ujął.

— Są pewne sprawy, które najpilniej domagają się twej uwagi, mój panie — zaczął Publiusz. — Mianowicie: niszczenie świeżo zdobytych terenów i nieszczęsny los mieszkańców — kanclerz nastroszył się. — Kiedy tu przyjechałem, panie, byłem przerażony widokiem wojsk plądrujących miasto, pijących, gwałcących kobiety i obdzierających to miasto z wszelkich dóbr, a wszystko to za przyzwoleniem waszej wysokości. Podkreślam, mój panie, że to twoja świeżo zdobyta własność jest grabiona, a twoi nowi poddani dręczeni.

— Na Croma! — zawołał Conan. — A cóż to, Publiusz, spodziewałeś się ujrzeć w zdobytym mieście? Nie ujrysz tu sznurów skutych niewolników na ulicach ani stosów obciętych głów na targowisku! Kto śmie oskarżać mnie o złe rządy? Może ty, Amlunio? — odwrócił kształtny podbródek dziewczyny. — Chyba tak, dziewczko, bo jesteś bardziej krwiożercza i masz cięższą rękę niż ja! Nie musisz odpowiadać. Ale ty, Delwynie, powiedz, co sądzisz o tych sprawach?

Ze swego miejsca przy kominku karzeł odparł bez zająknienia:

— Mnie, dworskemu żartownisiowi, o Królu Zgniataczu Nosów, podobają się złe rządy! Dzięki nim łatwiej zarabiam na życie swymi żartami.

— Słowa stosowne dla skończonego błazna! — Publiusz obruszył się ignorując wybuch śmiechu. — Ale ja, jako lojalny doradca króla, muszę mówić poważnie — omiół zimnym spojrzeniem Delvyna i Amlunię. — Mój panie, wydaje mi się, że chaos w tym mieście odzwierciedla tylko nieporządek panujący w twoich królewskich sprawach. Wasza wysokość powinien przynajmniej zachowywać pozory. Twój dwór w Tarancji jest wzorem do naśladowania. Ale tu w Numalii...

— Dosyć! — warknął Conan. — W pewnych sprawach, Publiusz, nie zastosuję się do twoich rad. Nie jestem siwobrodym mędrce, żeby uważać na każdym kroku, i nie jestem skapcem, żeby odmawiać wojsku nagrody za zwycięstwo. Powiedziałem swoim ludziom, żeby traktowali pokonany lud Numalii tak uczciwie jak ja sam. Jeśli zdarzały się akty okrucieństwa, wiń za nie wojowników barona Halka i ich dawne urazy do miejscowych.

— Tak, mój panie, zapewne — replikował cierpliwie Publiusz. — A jednak to my musimy wziąć ich w karby, jeśli nie chcemy, aby całe miasto legło w gruzach. Obawiam się, że nasze podboje przysparzają nam tylko samolubnych sprzymierzeńców, podczas gdy prawdziwi sojusznicy tracą do nas zaufanie.

— Sojusznicy? — zdumiał się Conan ścigając brwi. — Jakich my mamy sojuszników poza marionetkami w rodzaju Halka i Lionnarda? — powiedział to swobodnym tonem, nie troszcząc się, że może być usłyszany. — Czy jakikolwiek hybورياński król zaproponował mi pomoc przeciw Armirowi z Koth? Argos nie, dopóki ten szelma ich nie zaatakował! A Zingara właśnie szykuje się do zmiany frontu. Wysoko urodzona szlachta Koryntii nie połączy się ze mną przeciw temu łotrowi, ani nawet nie zapewni mej armii bezpiecznego przejścia przez jej terytorium, żebyśmy mogli go dostać! Grożą, że jeśli tego spróbuję, to zwiążą się przymierzem z sąsiadami przeciwko mnie.

Król niecierpliwie odepchnął od ust kielich podawany mu przez Amlunię. Wylał przy tym część napoju na jej dekolt i musiał na chwilę oderwać się od rozmowy, żeby uporać się z jej piskami i wierceniem się.

— Władcy Hyborii to szelmy i zdrajcy, ale pewnego dnia padną na kolana przede mną! — zakończył.

— Niewątpliwie, jeśli wasza wysokość tego zechce. — Publiusz przestępował z nogi na nogę i dalej upierał się przy swoim. — A jednak, zanim to nastąpi, czy nie lepiej byłoby, o panie, utrzymać z nimi przyjazne stosunki? Wybacz mi, panie, ale kiedy tak ich straszysz, przybierasz groźne pozy i pozwalasz swym bardom śpiewać o podboju świata, nie przysparzasz to Aquilonii przyjaciół — dodał patrząc na czujnego Delvyna.

— Bzdura! — obruszył się król. — Nie jestem mioudoustym dyplomata, żebym

ukrywał swe prawdziwe zamiary! – przyciągnął silniej Amlunię na kolana, gdzie ułożyła się jak stygijski kot. – Wiedz, Publiusz, że kiedy dążę do swego celu, nie oprze mi się żaden człowiek ani naród.

– Zamierzasz zatem otwarcie uderzyć na wszystkich sąsiadów jednocześnie, nie poróżniwszy ich przedtem między sobą? – Publiusz oburzony tym pomysłem pominął wszelkie formy szacunku. Monarcha nawet tego nie zauważył.

– Kiedy będę gotów zdobyć obce królestwa, wpadną mi pod miecz niczym kiście winogron! – oczy Conana zapłonęły gniewem, który jednak zaraz ustąpił mrocznej zadumie. – Pomyśl o tym, Publiuszu, od dawna krąży mi to po głowie. Jak mógłbym dotrzeć aż dotąd, pokonać tyle niebezpieczeństw, znieść tyle ciosów, gdyby bogowie nie przeznaczili mnie do osiągnięcia jakiegoś szczególnego celu? Wystawiam się na ostrza wrogów, tańczę po ich blankach i wychodzę z tego wszystkiego z jednym draśnięciem i guzem! Czuję, że Crom i Mitra obdarzyli mnie łaską, to oni z pewnością są źródłem tego powodzenia i szczęścia! Albo, być może, jak chce Delvyn, we mnie samym jest boska moc. Zabiłem w życiu dość demonów, by wchłonąć odrobinę boskości – znowu przerwał, a zaduma ustąpiła marsowej minie. – Skoro nikt nie może odmówić mi wielkiej mocy, a także chwały i sławy, byłbym głupcem, gdybym tego nie wykorzystał i nie uczynił siebie prawdziwie i wiecznie wielkim. W końcu, czy zawsze człowiek musi umrzeć, żeby osiągnąć boskość?

– Pamiętaj, siwowłosa starcze, masz do czynienia z wielkim królem! – zawołał nagle Delvyn ze swego kominka. – Czyż rada potulnej, starej myszy może obchodzić lwa? Ludzie tacy jak Conan Wykręcacz Szyj nie krępują się prawami zwykłego zjadacza chleba! Wielcy ludzie popełniają wielkie zbrodnie! Przysparza im honoru to, że łamią prawa śmiertelników!

Błazen mówił z niezwykłą dlań gwałtownością, a jego tyrada zdobyła posłuch u wszystkich obecnych.

– Jedynym obowiązkiem króla jest sprawowanie władzy, a kiedy tej władzy nie używa i nie rozszerza, wtedy zmienia się ona w zakurzony i wyblakły pergamin! Prawdziwym zadaniem króla jest wymyślać nowe dzieła i czynić je rzeczywistymi. Szczególnie dotyczy to spraw, które rządzą życiem i śmiercią poddanych. Rzecz można, że wykonywanie władzy jest celem samym w sobie, jedynym prawdziwym celem istnienia. Jeśli zdobyta władza jest wystarczająco wielka, wtedy sprawujący ją staje się bogiem!

– Słuchaj, słuchaj! – na zakończenie mowy zagrzmiał głos Conana. – Słuchaj, dobry Publiuszu, bo ten błazen przemawia głosem prawdziwej mądrości.

Wydało się, że Publiusz nie ma na podorędziu odpowiedzi na to wszystko. Czy zamilkł pod wpływem wagi argumentów, czy też z rozpaczy spowodowanej zachowaniem króla, tego nie zdradziła jego pomarszczona twarz.

Tymczasem przygotowano ucztę, tak że uwaga zebranych zwróciła się w innym kierunku. Główny stół ustawiono przy tronie Conana, a obok stanął specjalny, wysoki stołek dla Delvyna. Najładniejsze i najbardziej uległe zamkowe służące Numalii roznosiły mięsa i napoje. Publiusz wycofał się za stół i zasiadł po prawicy barona Halka, po czym pograżył się w zadumie. Wieczery towarzyszyły zwykle toasty i pieśni, przechwałki i żarty, wiele z nich kosztem kanclerza. Wreszcie niebo na zewnątrz pociemniało i wyjrzały migotliwe gwiazdy.

Podano już chyba z pół tuzina dań, gdy jakiś posłaniec wszedł w asyście dwóch Czarnych Smoków. Pokryty był błotem i pyłem, lekko utykał na skutek długiego siedzenia w siodle. Jednak ruszył szybko naprzód i zwrócił się wprost do króla.

– Panie, przynoszę wieści z Khoraji otrzymane przez Ophir i Belverus, przekazuję je tobie na rozkaz hrabiego Prospera.

– Wspaniale – ucieszył się Conan i skinął na służącą. – Nalej temu człowiekowi kufel piwa, żeby uraczył nas mniej zachrypłym głosem. Jakie wieści?

Mężczyzna wziął kufel i znad pieniającej się zawartości popatrzył na Conana, ociągając się z picciem.

– Nie miałeś dotąd żadnych wiadomości z Khoraji, panie?

– Skądże mam wiedzieć, jeśli ty nic nie mówisz? – zniecierpliwiony król pochylił się nad Amlunią. – No, wypluj to z siebie!

– Mój władco... wieść głosi, że Yasmela, była regentka Khoraji, nie żyje.

Po tym oświadczeniu zapadło nagłe milczenie. Obecni zdali sobie sprawę, że w piersi Conana ścierają się potężne emocje. Jednak wyniosła królewska godność nie pozwoliła mu okazać żalu, o ile czuł żal po kobiecie, której nikt z obecnych nie znał. Posłaniec złej wieści stał sztywno wyprostowany, niepewny, czy ma się lękać o własną głowę. Nawet zwinięta na kolanach monarchy Amlunia obserwowała

Conana czujnym, podejrzliwym okiem jakby próbując ocenić, ile władzy może mieć inna kobieta nad tym mężczyzną.

Publiusz pragnąc ukryć zmieszanie swego króla podszedł do posłańca i zaczął go wypytywać.

– Księżna Yasmela nie żyje? Powiedz, czy ustalono przyczynę jej śmierci?

Posłaniec odwrócił się i przytaknął:

– Mówią, że zginęła na skutek upadku, panie kanclerzu. Nie w Tarnhold, gdzie przebywała, ale w jakimś nieznanym miejscu.

– Czy krążą jakieś plotki o zbrodni? – posłaniec milczał zmieszany, a Publiusz wypytywał dalej: – Jak zgon Yasmeli wpłynął na władzę Armira w Khoraji i Koth?

– Uważa się, że władza księcia Armira w Khoraji umocniła się, a wraz z nią jego panowanie w Koth – odparł kurier.

– Upadek – mruknął nachmurzony król. – A jednak wydaje się, że po tym nastąpi jeszcze większy upadek...

– Wasza wysokość sądzi, że... to może fatalnie wpłynąć...? – Publiusz uważnie przyjrzał się królowi.

– Fatalnie, tak... dla wyrodnego łotra Armira, kiedy Crom wybierze stosowną chwilę! – król siedział nieruchomo, zaciskając dłonie na poręczach tronu. – Nie ma wątpliwości, że to on kazał ją zabić... Yasmelę, własną matkę! Sam słyszałem, jak groził jej w mojej obecności – głos Conana rozbrzmiewał coraz głośniejsze, huczał niczym młyński kamień, który miele ziarno bólu na mąkę wściekłości. – Czy macie jeszcze jakieś wątpliwości, że – mamy do czynienia z plugawą żmiją?...

Odpowiedziało mu milczenie

– Oto klnę się, że zduszę go tą właśnie ręką! – Conan zerwał się na równe nogi, bezceremonialnie zrzucając Amlunię. Wzniósł rękę nad głowę, zacisnął pięść, bil nią powietrze i wobec wszystkich zabranych powtarzał: – Na Cromie i Mitrze, Manannana i Kubala, Machę i Seta i na wszystkich innych okrutnych bogów, którzy zechcą przyjąć mą klątwę, przysięgam!

Ta noc i kolejne dni przyniosły więcej dyskusji o wojnie, więcej przygotowań do wojny i więcej wojny niż w ostatnim czasie. Niedobitki nemedyjskich buntowników wycofały się na wschodnie pogranicze kraju, gdzie, jak niosły słuchy, mieli połączyć się z brythuńskimi najemnikami, których wysłano, aby podbój Nemedii przez Conana nie był zbyt łatwy i szybki. Numalia znalazła się pod rządami namiestnika wyznaczonego przez barona Halka, a zasoby miasta zostały skonfiskowane dla zaopatrzenia armii.

Tymczasem w sąsiednich prowincjach rozchodziła się wieść o podboju Nemedii. Opowiadano sobie półgłosem o błyskawicznych zwycięstwach Conana Wielkiego. Częściej jednak pośród mieszkańców obszarów zagrożonych inwazją szeptano o Conanie Niszczycielu, Conanie Łupieżcy i Conanie Groźnym. Chłopi przygotowywali w lasach schronienia, gromadzili pośpiesznie zapasy ziarna i paszy na zimę, ukrywali bydło i kobiety.

Tymczasem we wschodniej Nemedii przygotowano pułapkę. Buntownicy dali się wywabić z lasów i ruszyli w pościg za niewielkim oddziałem rycerzy barona Halka. Wkrótce zorientowali się, że odwrót odciął im cały aquiloński legion, który przemaszerował tu poprzedniej nocy i potajemnie rozwinął szyki. Starcie było krótkie i brutalne. Wojska barona wygrały, pieczętując tym samym podbój Nemedii.

Była to niewielka bitwa, jednak pamięć o niej nie zaginęła z powodu pewnej opowieści, którą ze zdumieniem i grozą powtarzali zarówno przyjaciele, jak i wrogowie króla Conana. Prawdziwa czy nie, opowieść ta wplotła się w barwną tkaninę legend związanych z imieniem Cymmerianina.

Legenda ta odnosiła się do najzaciętszej fazy bitwy. Ci, co przeżyli, opowiadali, jak rydwan władcy krążył po polu bitwy zaprzężony w konie o czerwonych oczach i spienionych bokach, prowadzony przez jakiegoś karła, który jechał wierzchem na jednym z rumaków. Człowieczek ów, z nogami mocno zapartymi o boki konia, brzdąkał na lutni pozwalając lejcom ciągnąć się po błocie, krwi i ciałach poległych. Opowieść mówiła dalej, że na platformie rydwanu, niebacznici na jego zawrotny bieg i wznoszące się zewsząd miecze i włócznie, Conan i jego wojownicza kochanka Amlunia połączyli się w dzikim uścisku. Pozbyli się zbroi i ubrań, które zdarli z siebie, w szaleńczej pasji niczym para nieśmiertelnych gardząca ziemskimi grotami. Całowali się namiętnie, podczas gdy pojazd nurzał się w tłumie piechurów. Szeptano później, że szaleńcze porywy ich żądzy były ostatnim widokiem, jaki został w oczach wielu konających, i marą nawiedzającą

tych, co przeżyli, do końca ich dni.

15. MROczne PRZYMIERZE

Armiro, Najwyższy Tyran Khoraji i Wysoki Książę Następca Koth, obudził się z niespokojnego snu.

A przynajmniej śniło mu się, że się obudził. Odruchowo zerwał się na równe nogi. Ubrany był w czarną jedwabną koszulę i czarne spodnie. Sypiał zawsze w takim stroju z obawy przed nocnymi zabójcami. Poczował, że na nogach ma te same miękkie buty, jakie wieczorem zostawił koło swej pryczy, nie było natomiast śladu po sztylcie, który schował pod poduszkę.

Otoczenie nie było zupełnie mroczne. Armiro wyteżył wzrok i dostrzegł sierp księżycy wystający zza chmury bladych oparów. On sam stał na jakimś dziedzińcu pośród monumentalnych budowli z kamienia. Mury, kolumny i belkowania – wszystko to sądząc po stylu pochodziło z zamierzchłej przeszłości. Jednakże masywne budowle wznosiły się na tle bladego firmamentu nie tknięte zębem czasu.

W tych gwiazdach było coś, co zaniepokoiło Armira. Nagle zapaliło się przed nim światło. Pęki niskich czerwonych płomieni rozkwitły na rzeźbionych lichtarzach i koszach na żar rozmieszczonych wokół dziedzińca.

O ile mógł dostrzec, nie zapalała ich żadna ręka. Książę był ciągle sam.

Dostrzegł, że blask płomieni odbija się w falach na ciemnej i oleistej powierzchni basenu znajdującego się na środku dziedzińca. Powierzchnia ta poruszała się albo z powodu lekko mroźnego wiatru, który szarpał kraj szaty księcia, lub też basen krył w sobie jakąś niespokojną, żywą istotę.

Może dlatego zaspany książę nie zdziwił się zbyt, kiedy niski, płynny głos wybełkotał ze środka basenu sensowne, zrozumiałe wyrazy.

– Witaj, Armiro, władco Koth i Khoraji, budowniczy jeszcze większego imperium. Czuję się zaszczycony, że twoja szlachetna stopa kroczy po starożytnych kamieniach mej świątyni.

– Kim ty jesteś, że śmiałeś unieść mnie tu o tej przeklętej godzinie i zakłócasz mój odpoczynek? – rzucił Armiro wyzywającym tonem.

– Mój drogi książę – wybełkotał głos z rozbawieniem. – Utrzymujesz, że zakłócono odpoczynek? Ja wiem lepiej, jak było. Nie można oczekiwać, że osoba na tak niebezpiecznym stanowisku jak twoje, i zarazem człowiek tak stanowczo obchodzący się z bliźnimi, cieszyć się będzie błogosławieństwem spokojnego snu?

Armiro parsknął cynicznym śmiechem.

– Dobrze mnie znasz, upiorze! To prawda, że śnię o mocnych ciosach, o prostackim, okrutnym śmiechu czarownicy i o mordercach skradających się ku mnie w ciemności. To zwykła treść moich snów, ale dotąd nie było w nich zjaw i bezcielesnych głosów!

– To dobrze. Ledwie kilka dni temu nie miałem możliwości sięgnąć do twych snów ani tym bardziej sprowadzić do siebie niewierzącego jak ty.

– Kim jesteś, pytam po raz drugi, i co to za niesamowite miejsce? – Armiro o kilka kroków od niskiej obudowy basenu wyprostował się i rozejrzał pewnym, władczym spojrzeniem. – Czy to jest nasz świat? Jeśli tak, to masz władzę poruszania gwiazd na sferach niebios, bo jak mi się zdaje, gwiazdozbiory są tutaj dziwnie zniekształcone. Ale co to? Tam wisi drugi księżyc! – jego arogancka poza zniknęła, kiedy podnosił ramię, by wskazać na niebo.

– Spokojnie, mój książę – zbeształ go bełkotliwy głos. – Nie wnioskuj stąd, że to nie jest twój świat. Wiedz, że gwiazdy kręcą się po niebie niczym drobiny pyłu w podmuchach wiatru. Jeśli te niebiosy wyglądają dziwnie, to chyba dlatego, że lubię przywoływać czasy, gdy Ziemia miała dwa księżyce!

A jeśli o mnie chodzi, jestem Kthantosem, bogiem – zakipiał płynny głos. – Byłem w dawno minionych czasach największym i jedynym bogiem. Moja potęga podupadła, po części za sprawą głupoty mych kapłanów. Byli oni straszliwie zniechęceni, co zresztą było do przewidzenia. Okazali się jednak głupcami, bo pozwolili się zgładzić – bulgot zwolnił na chwilę, potem chlupnął ciężko wydając z siebie coś, co przypominało ziewnięcie. – Moja władza także podupadła. Muszę przyznać, że stało się tak, bo zmalało moje zainteresowanie mymi wyznawcami i ich małostkowymi sprawami.

– Twoi czciciele byli ludźmi? – zapytał ostrożnie Armiro.

– Ludźmi? Tak, oczywiście, lub prawie ludźmi, to bez znaczenia. Przez stulecia twoja rasa zmieniła się mniej niż oblicze niebios – fala nieartykułowanych bulgotów wskazywała na to, że pod powierzchnią coś się

niespokojnie porusza. – Teraz postanowiłem odzyskać tron boskiego świata, pod mną zaś zostanie wolne miejsce dla śmiertelnego władcy o nieograniczonej potędze. W związku z tym uznałem za stosowne zbierać wyznawców i rzucać swój cień na bieg historii za pomocą snów oraz powołań, a nawet odbywać małe wycieczki na świat. Chociaż czas mniej ima się boga niż śmiertelnika, to spędziłem w tym stawie wystarczająco dużo eonów, aby znudzić się jego wilgotną pustką.

– Zawsze tu pozostajesz? – spytał Armiro niby od niechcienia.

– Tak, chyba że postanowię wyjść stąd, ale robię to rzadko. To był kiedyś mój basen ofiarny i czule wspominam czasy, kiedy stanowił on krwawe serce imperium, którym był cały świat. Najbardziej brakuje mi teraz jakiejś ciepłej duszy, która dotrzymałaby mi towarzystwa. Mam, oczywiście, tych kilka pozostałości – na powierzchni stawu pojawiły się nagle szkielety, skorodowane miecze i zardzewiałe zbroje, zawirowały bez celu, po czym zniknęły pod powierzchnią równie szybko, jak się pojawiły – ale to tylko resztki. Ich ciała, które za życia tak przyjemnie wiercą się i łaskoczą, dawno zostały strawione i rozproszone. Spotkałem ostatnio ciepłą, wibrującą i czułą duszę. Dotknąłem jej i prawie złapałem, ale niestety wymknęła mi się w objęcia jakiegoś potulniejszego boga. Wielka szkoda!

– Ostrzegam cię, Kthantosie, że mojej duszy nie uznasz za ciepłą i miłą. Nie próbuj jej ze mnie wycisnąć – głos Armira odbijał się echem od kolumn świątyni.

– Nie, książę! Dla ciebie mam inną propozycję. Wiem o twoich zuchwałych ambicjach, wiem też, że jesteś utalentowany i wolny od skrupułów krępujących tak wielu zdolnych władców. Nie troszczysz się zbyt o bliźnich, jak miemam.

– Troszczyć się? Dlaczego miałbym się o nich troszczyć? – i spytał Armiro. – O mnie nikt się nie troszczył, to znaczy nikt, kto miał władzę dać mi to, czego chciałem.

– Ach, książę, teraz jaśniej widzę twardego kształt twojej duszy. Prawdę mówiąc, nie należy ona do tych, które wybrałbym dla swej przyjemności. A jednak twoja niezależność i pomysłowość to wielkie zalety.

– To nic dziwnego – mruknął cierpko Armiro. – Zawsze musiałem sam się o siebie troszczyć.

– Ostatnio wykazujesz coraz mniej skrupułów, twoje wojska wkroczyły do neutralnego Argos, którego ziemie zostały kompletnie spustoszone. Czy nie czujesz się coraz bardziej wolny od małostkowych ograniczeń miłosierdzia?

– Tak... ostatnio doznałem pewnej straty – odparł książę. – Nie to, żeby ta strata wytrąciła mnie z równowagi, czy osłabiła albo też usprawiedliwiła niegodny księcia pokaz smutku. A jednak potwierdziła ona moje z dawna żywione przekonanie o ludzkiej słabości i zachłanności oraz o nieskończonej błahości ludzkiego życia, a przez to otrzeźwiła mnie. – Armiro stał wyprostowany i ze spokojnym wyrazem twarzy patrzył na sadzawkę i stojące za nią kolumny. – Otrzeźwiła mnie i utwierdziła w moich zamiarach – zakończył.

– To ci się przyda, jeśli wziąć pod uwagę siłę i okrucieństwo tego, który ci się przeciwstawia.

– Siła? Okrucieństwo? – zaśmiał się pogardliwie Armiro. – Raczej szczęście i pyszałkowatość! – Nagle spojrział gdzieś w bok. – Mój główny przeciwnik jest tępakiem, prymitywnym, nieokrzyszonym gburem i nie czuję doń żadnego szacunku! Właściwie nie uważam go nawet za człowieka, ale za przybierający groźne pozory relikwiny mitycznej przeszłości. Śmiesznie mało wie o dyplomacji, jeszcze mniej o nowoczesnej sztuce wojennej, a do zwycięstw niosą go na swych barkach generałowie i doradcy. On służy im jedynie jako coś w rodzaju archaicznego totemu z całą tą jego gadaniną o szlachetnym barbarzyństwie i nieposkromionej woli! Wyciosany idol z pozłacaną głową i nogami w łąjnie!

A jednak wyrządził mi niewybaczalne szkody – kontynuował książę. – Nie tylko ostatnio, w związku z moją kłopotliwą stratą. Sądzę, że dawno temu popełnił ten błąd, że odegrał wątpliwą rolę w mojej godnej pogardy przeszłości. – Armiro zmarszczył brew. – Dlatego jest moim obowiązkiem ukrócić jego nieszczęsne awantury i uczynię to z przyjemnością. Gdy przyjdzie czas, wymierzę mu zasłużoną karę.

– To naprawdę zajmująca walka, nawet dla kogoś takiego jak ja. Walka między dwoma śmiertelnymi królami, którzy, cokolwiek by o nich mówić, są groźni. Uderza mnie to, że w rozwijającej się wojnie twoje manewry są ostrożne i przemyślane.

– Dlaczegoż miałbym się śpieszyć, skoro moim celem jest wciągnięcie go w nieuniknioną wojnę z innymi nieprzyjaciółmi, którym z kolei pochlebiam. Ale

dosyć! – opanował się Armiro. – Nigdy nie odkrywałem swych planów i nie mam zamiaru robić tego teraz. Nawet we śnie, w mrocznych otchłaniach mojej własnej czaszki.

– Jeśli sądzisz, że ta świątynia leży wewnątrz twojej czaszki, to masz smutne wyobrażenie o własnym duchu, mój książę – bąble w oświetlonej płomieniami sadzawce przez chwilę pryskały i bulgotały upiornie, a potem opadły. – W każdym razie moja propozycja brzmi tak: każdy ziemski zdobywca potrzebuje jakiegoś boga, w którego imieniu mógłby dokonywać podbojów. Jeśli złożysz mi hołd, ja doprowadzę cię do otwartego i nieuchronnego starcia z twoim głównym wrogiem. Jeśli okażesz się lepszy, zatroszczę się, by twój tryumf był zupełny.

– Hm, zapewne byłbyś do tego zdolny – powiedział Armiro z nieruchomą, pozbawioną wyrazu twarzą, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Widać było, że intensywnie myśli. – Ale twoje gwarancje są nic warte. Na pewno szachrujesz też z tym zbójcem Conanem. Aczkolwiek wydaje mi się, że mój pogląd na świat jest bardziej zbliżony do twojego.

Głębiny głos wypłynął nową falą bąbelków.

– Pytanie brzmi tak: czy uznasz mnie, Kthantosa, za Jedynego Prawdziwego Boga? I czy uznasz mego najwyższego kapłana, choćby stanął przed tobą w bardzo dziwnej postaci? – ciemna powierzchnia cieczy uspokoiła się na moment. – Pomyśl o tym, książę Armiro. Nie musisz udzielać odpowiedzi teraz.

Nagle płomienie w lichtarzach zaczęły maleć i przygasać. Nieziemski widok stopniowo krył się w mroku, nawet gwiazdy i księżycy zniknęły. Zapadła ciemność mętna i niespokojna, przerwana nagłym oślepiającym światłem, kiedy Armiro otworzył oczy.

– Straże! – osłaniając ręką oczy, książę siadł na polowej pryczy.

Blask dnia nasilił się znacznie, kiedy jakiś żołnierz wszedł do namiotu. Masywna sylwetka wojownika miłosiernie rzuciła cień na twarz Armira.

– Słucham rozkazów, książę!

– Strażniku, dlaczego pozwolono mi spać tak długo? Słońce już wzeszło.

– Panie, twój sługa nie mógł cię obudzić. Mówiłeś przez sen, zatem wszyscy wyszliśmy, by nie usłyszeć niechcący ważnych tajemnic państwowych.

– Rozumiem. Wszyscy wyszliście? To było rozsądne. – Armiro bez niczyjej pomocy naciągnął buty, wstał i włożył wyszywaną złotem tunikę. – Wezwij mych oficerów.

Kilka chwil później dowództwo armii khotyjskiej stało przed namiotem. Książę sam podniósł draperię osłaniającą wejście. Kiedy wyszedł, ciepłe poranne słońce skąpało blaskiem jego kanciastą młodzieńczą twarz i postać odzianą w złoty strój.

– Wasale, słuchajcie mnie uważnie, miałem świętą wizję – zwrócił się Armiro do zebranych.

Królowa Zenobia, żona najpotężniejszego hyboryjskiego zdobywcy świata, siedziała sama w komnacie i przeżuwała cierpki smak smutku. Ona, która miała więcej bogactw niż jakakolwiek kobieta na ziemi, ona, której imperium powiększało się co dnia, spełniała czarę goryczy wśród słonych łez. Piękna Zenobia, matka następcy tronu, władczyni kraju dostatniego i nie tkniętego ostatnio wojnami, siedziała w samotności, pogrążona w ponurych i gniewnych myślach.

Blask świec kontrastował zmrokiem, panującym w jej duszy. Obszerną komnatę zdobiły bogate meble, tkaniny i ozdoby, kupione lub zdobyte ostrzem miecza w najdalszych zakątkach świata. Pomieszczenie było rzęsiście oświetlone. Piękność Zenobii, nawet pogrążonej w smutku, nie bała się światła. Łzy płynące z jej oczu skrzyły się w blasku świec niczym drogocenne klejnoty.

Żal i gniew nie były skierowane przeciwko Conanowi. Nie żywiła nadziei, że kiedykolwiek go zrozumie i okiełzna. Mężczyźni byli w jej oczach zagadkowym żywiołem podobnym do wody albo roztopionej do czerwoności lawy. Czasem byli śmiesznie prości, a ich zachowanie łatwe do przewidzenia. Ich chłopięca niedojrzałość łączyła się jednak w jakiś sposób z chłopięcą niedojrzałością innych mężczyzn i powodowała wstrząsy zmieniające oblicze świata.

Conan był jednocześnie zbyt dojrzały i zbyt dziecinny, by winić go za jego działania. Nigdy, ani przez chwilę nie zaważałby się rzucić na szalę swego życia i panowania, gdyby chodziło o obronę tego dziwnego kodeksu, który dla niego naczył tyle co męstwo. Choć był królem, powodowały nim wewnętrzne burzliwe siły, których sam nie rozumiał. Zenobia winiła innych spragnionych władzy

doradców, którzy usiłowali pokierować niezmożoną energią Conana, by jak ona sama mieć udział w zyskach. Tych innych, a były to głównie kobiety, mogła uznać za zagrożenie i mogła ich nienawidzić.

Taka Amlunia, na przykład, zakłamana dziewczka, gotowa frymarczyć swym ciałem i duszą, byle tylko zdobyć kilka okruchów władzy. Ponure plotki i raporty szpiegów nie mogły ukryć przed Zenobią prawdziwej natury Amlunii. Ta mała flądra doskonale wiedziała, co robi! Jej haniebne okrucieństwo i lubieżność domagały się szczególnie okrutnej kary. Może stosowny byłby sproszkowany jad w jej czernidle i różu?...

W istocie, gdyby Zenobia naprawdę tego chciała, mogłaby wyjechać i stawić czoło tej suce, gołymi rękami wyrwać jej włosy i wydrapać oczy. A jednak królowa nie myślała poważnie o wyjeździe ze stolicy, by ratować męża przed skutkami jego nieostrożności. Nigdy nie odważyłaby się na taką ostateczność.

Co do innych sideł czyhających na nią i na Conana, to kobieta imieniem Yasmela stanowiła dla niej większą zagadkę, choć Conan opowiadał o niej z typową dla niego szczerością i brakiem taktu. Jaka rolę odgrywała Yasmela w tej wojnie i jaki był jej wpływ na króla Aquilonii?

Wpływ khorajskiej regentki był, mimo wszystko, mniej irytujący niż wpływ najbliższego towarzysza Conana, tego podstępного karła Delvyna. Chociaż nie był kobietą, odznaczał się typowo kobiecą skłonnością do intryg, a także właściwą eunuchom umiejętnością sprawowania władzy przy zachowaniu pozorów słabości.

Zenobia czuła, że z tej strony groziło Conanowi największe niebezpieczeństwo. Na szczęście Delvyn był przynajmniej z pozoru mężczyzną. Towarzysze Conana mogli zatem przedsięwziąć przeciw niemu jakies kroki, a nie okazywać ślepa lojalność, jak zawsze gdy szło o miłosną przygodę.

Ale czyż Zenobia miała odsłaniać ową ranę, bolesną rysę na sercu, która mogła stawać się coraz głębsza i szersza, aby w końcu rozedrzeć całe imperium? Jak do tej pory, prawie zawsze udawało jej się to ukryć, dla dobra syna i jego przyszłości, dla dobra królestwa i Conana. Straszne niebezpieczeństwa, jakim stawiał czoło w codziennych walkach, były w końcu największym powodem jej lęku. Choć zraniona i upokorzona, nie zechciała zagrozić mu małżeńską kłótnią czy dworską intrygą. W każdym razie jeszcze nie teraz. Więc znosiła wszystko: lęki, plotki, łzy oraz zagadkowe, mroczne sny. Na oznaki słabości pozwalała sobie tylko w samotności swej alkowy. Modliła się do Mitry i innych bogów, jak dotąd na próżno. Wiedziałyby lepiej, co robić, gdyby tylko mogła podzielić się z kimś swą troską. Najciężej jest dźwigać brzemie, gdy braknie czyjejs rady lub choćby jednego słowa pociechy.

Doświadczenie podpowiadało jej, że wszystko to może skończyć się w każdej chwili. Conan może bez zapowiedzi powrócić, aby zaszczyścić ją swą łaską, natychmiast kładąc kres jej wszelkim lękom. Wszak myślał o niej od czasu do czasu, czego dowodem były łupy i dary, jakie przysyłał z niepohamowaną szczerością. Jednym z nich było bogate, puchowe łóżo, którego potężna sylwetka zasłaniała znaczną część szerokiej ściany komnaty. Aksamitne poduszki i kołdry wyglądały w blasku świec zbyt wspaniale, aby zachęcać do snu. Hebanowa rama i słupki baldachimu, ozdobione rzeźbionymi postaciami ludzkimi w erotycznych pozach, były dla samotnej królowej jak bolesna wymówka. Nie zdecydowałyby się spać w tym łóżu samotnie.

Podniosła się i kolejny raz tego wieczoru wytarła oczy wilgotną koronkową chusteczką, po czym wzięła długie złote szczypcy do przycinania knotów świec i zaczęła obchodzić alkowę. Wolała nie wzywać służącej. Zatrzymywała się przy każdym kandelabrze i przycinała tylko najwyższą, środkową świecę. Stopniowo komnatę zalało przymgłone, rozproszone światło.

Zaczynała się właśnie rozbierać i odwinęła długi biały szal, kiedy rozległo się pukanie. Nie do głównych drzwi komnaty, ale do tylnych, łączących się z bocznym wyjściem. Gość o tej porze nie był kimś niezwykłym, zapewne to szpieg przysłany przez kapitana gwardii zgodnie z rozkazem królowej. Zenobia powiesiła szal na krześle, podeszła do drzwi i otworzyła je.

Majaczyła za nimi ponura, chuda postać. Od stóp do głów pokrywały ją fałdy długiego czarnego płaszcza, który zwieszał się z rąk i ciągnął po ziemi. W wąskiej, ciemnej szparze kaptura nie widać było żadnej twarzy. Mimo to gość wydał się Zenobii dziwnie znajomy, zapewne ze snów. Przymrużyła oczy i wspomniała swe modły do bogów Hyborii.

– Przybywasz więc, by przynieść mi mądrość i pocieszenie wśród zamieszania, które trapi świat? – spytała. Cofnęła się i szerzej uchyliła drzwi. – Dobrze,

wejdz.

16. BOHATER KRÓLESTWA

Generał Egilrude jechał konno wzdłuż porośniętego lasem górskiego grzbietu. Wznosząca się wyżej grań była skalista i bezdrzewna, w dole trwał nieruchomy ocean zieleni. Niebawem Egilrude dotarł do miejsca, skąd rozciągał się widok na kolejne zalesione grzbiety. Jeden za drugim ciągnęły się one aż po horyzont, na którym piętrzyła się poszarpana ściana gór Karpash.

Spod kopyt wierzchowców potoczyły się luźne kamienie i po chwili obok Egilrude osadzili konie dwaj jego adiutanci. Żaden z nich nie odezwał się, ale jeden wskazał na coś ręką. Generał spojrział w tamtym kierunku. Na jednej z bliższych grani piętrzyła się sylwetka kamiennej twierdzy. Kwadratowe blanki wyglądały na podniszczone i wyszczerbione, czy to od walk, czy od uderzeń piorunów. Jednak na szczycie widać było ruch wartowników i odbijające się od stali błyski słońca.

– Niezbyt silna twierdza. Ciekawe, po co wzniesiono ją w tak dzikiej okolicy?
– skomentował Egilrude. Odwrócił się i popatrzył na ocienioną przyłbicą twarz jednego z podwładnych. – Czy w pobliżu jest jakieś miasto?

– Jeszcze nie wiemy, panie. Wysłano zwiadowców, ale wątpię, czy już wrócili.

– Musimy zatem ruszyć całością sił i sprawdzić, jakie to niespodzianki nas czekają – rzekł generał. – Skoro zapuściliśmy się tak daleko na terytorium Koryntii, nie powinniśmy wracać z niczym. – Egilrude zawrócił konia i zaczął zjeżdżać na trakt w dolinie.

Nawet gdyby nie było tu żadnych twierdz, to i tak same góry czyniły najazd na ten kraj wielce ryzykownym. Jednak Egilrude liczył, że rozproszona ludność tej krainy nie zdoła przeciwstawić się znacznym siłom, jakie prowadził.

Przysiągł sobie, że wyróżni się jako dowódca podczas swej pierwszej samodzielnej kampanii. Król, powierzając mu dowództwo całego korpusu, obdarzył go specjalną łaską i wystawił na próbę. Egilrude nie mógł zmarnować tak niezwyklej szansy. Przez całe życie uważał Conana za bohatera, zwłaszcza od czasu kiedy ujrzał go wchodzącego samotnie do sali biesiadnej rojącej się od wrogów, a potem wychodzącego stamtąd bez jednej rany i jako władca nowego królestwa. Młody Bossończyk żywił wobec dzielnego Cymmerianina lęk graniczący z czcią boską. Nie sposób było wyobrazić sobie, jaką władzą i honorami może obdarzyć go ten boski wojownik.

Takie myśli wydawały się niezbyt mądre, zwłaszcza w zestawieniu z żołnierską codziennością, która wypełniała pyłem nozdrza i zalewała potem twarz. Jednakże los Egilrude został określony wiele lat temu, kiedy to stanął wobec wyboru, czy pomaszerować z legionami, czy też zostać i mozolić się na polach Bossonii pod twardą ręką ojca. Postanowił wytrwać w postanowieniu, a aquiloński oficer nie mógł porzucić raz obranego celu.

Egilrude dołączył do swego korpusu, który zgodnie z rozkazem kontynuował marsz na południowy wschód. Trakt był wąski, ale dno doliny na tyle płaskie, że galopując brzegiem strumienia szybko wyprzedził kolumnę.

Poranek mijał, a zwiadowcy ani nie wracali, ani nie przesyłali sygnałów świetlnych. Zarządzono południowy postój. Egilrude wjechał na pobliskie wzgórze, by wypatrzeć zarysy twierdzy, która powinna już znaleźć się w polu widzenia.

Nie spodziewał się tego, co w końcu napotkał jego wzrok. Była to długa linia wojsk pod sztandarami Koryntii i Brythunii, schodząca na górskie skrzyżowanie traktów, by przeciąć trasę marszu jego wojsk.

Aquiloński generał stwierdził, że oddział ten nie zdążył jeszcze rozwinąć szyków ani przygotować zasadki. Obce oddziały były jednak gotowe do walki. Przodem jechali lekkobrojni zwiadowcy.

Egilrude zawrócił i rozkazał konnym łucznikom, by obsadzili bród nad strumieniem tuż pod skrzyżowaniem traktów. Piechocie polecił rozstawić się na całą szerokość doliny o płaskim dnie i urwistych ścianach.

Niebawem czołowy oddział koryntiańskiej jazdy stanął naprzeciw pocztu Egilrude po przeciwnej stronie strumienia. Na znak gotowości do pertraktacji dowódcy wbili w ziemię lance, wysunęli się przed szyk i zjechali nad wodę. Egilrude rozkazał dwóm oficerom, by ruszyli naprzód. Zatrzymali się na brzegu i czekali.

Koryntiański dowódca jako język pertraktacji wybrał mowę dumnej niegdyś Nemedii.

– Intruzi, nie uznajemy waszej obecności na koryntiańskiej ziemi! Rozkazujemy wam natychmiast opuścić nasze terytorium. Przywiozłem dekret naszej rady książąt – jeździec z czerwonym pióropuszem machnął zwojem pergaminu ozdobionym czerwonymi sznurami. – Stanowi on, że wszystkie wojska aquilońskie i posiłkowe mają wycofać się w ciągu dwóch dni za zachodnią granicę, pod groźbą bitwy.

– To ty tak mówisz – niewzruszony Egilrude posłużył się tym samym burkliwym dialektem nemedyjskim. Mówił głośno, żeby dosłyszano go przez szmer potoku. – Nikt z moich ludzi nie czyta w waszym języku, a zatem tekst twojego zwoju musi pozostać w sferze domysłów – bez sarkazmu ani zbędnych emocji rzucił tę oczywistą obrazę. – Ale przypominam ci, że Aquilończycy wkroczyli do twojego kraju po raz pierwszy w pościgu za buntownikami i zbójcami, żeby ich pokonać dla dobra zarówno Nemedii, jak i Koryntii. Nasz król pragnie teraz uzyskać pozwolenie na przejście przez ten kraj w drodze do Ophiru i nie ma zamiaru prowadzić wojny z twoimi panami.

– Ostatnio przechodziliście przez Nemedię, a teraz ten kraj leży w gruzach. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy tolerowali tak źle wychowanych gości – oficer z czerwonym pióropuszem zaśmiał się cierpko i cichym głosem powiedział coś do swych towarzyszy. – Gdybyśmy naprawdę pragnęli waszej zagłady, pozwolilibyśmy wam iść dalej na południe, na spotkanie burz i wampirów z gór Karpash – oznajmił. – Ale nasze rozkazy nie pozwalają na to. Dlatego musicie zawracać.

Egilrude siedział w siodle bez ruchu.

– Wasze rozkazy, jakiegokolwiek by one były, nie obowiązują nas. Dlatego proponuję, żebyście wycofali się z trasy naszego marszu.

Koryntiański oficer poczerwieniał.

– Ostrzegam cię, panie, ryzykujesz otwartą wojnę między naszymi krajami! – Ponownie uniósł zwój nad głowę. – Ten dekret został także przypieczętowany przez specjalnego wysłannika króla Brythunii, której wojska zostały wysłane na pomoc Koryntii w celu ochrony naszej zachodniej granicy – wskazał jednego ze swych towarzyszy ubranego w futrzany brythuński płaszcz i szpiczasty hełm.

Cudzoziemiec przytaknął z powagą.

– Odmowa wykonania polecenia odwrotu zostanie potraktowana jako akt wrogi w stosunku do obu naszych krajów.

– Bzdura, nie mamy zatargu z Brythunią! – Egilrude pogardliwie potrząsał głową. Potem posłał dowódcy przeciwników szczere spojrzenie. – Ostrzegam cię, bo twój oddział nie wygląda na duży, że moje legiony rozwinęły się w tych dolinach i posuwają się równoległymi marszrutami. Jeśli mi się przeciwstawisz, uważaj na skrzydła.

Koryntianczyk spojrział niepewnie na swego zastępcę i zaczął mruczeć coś pośpiesznie. Egilrude tymczasem pstryknął palcem w przyłbicę hełmu, a ta opadła z ostrym trzaskiem. Był to znak dla jego żołnierzy. Jeźdźcy jak jeden mąż uderzyli konie ostrogami i wpadli do strumienia wyciągając miecze.

Aquilończycy przewalili się przez bród i ze szczękiem żelaza wmieszali się między przeciwników. Brythuńczyk w szpiczastym hełmie wpadł do strumienia, którego wodę zabarwił plamą czerwieni wypływającej z dziury w futrzanej odzieży. Egilrude zadał oszałamiający cios koryntiańskiemu dowódcy i zobaczył, jak zwój pergaminu tonie w strumieniu.

Równocześnie na zmieszane szyki wrogów spadł grad pocisków aquilońskich konnych łuczników. Chwilę później gunderlandcy piechurzy przebyli płytki strumień na całej szerokości frontu i uderzyli niczym młot.

W ciągu godziny oddział Egilrude wywalczył sobie zwycięstwo. Oddział koryntiański nie miał dość czasu, by w pełni rozwinąć szyk. Aquiloński atak odrzucił jego czołowe zgrupowanie i odciął je od traktu, którym nadchodziła reszta sił. Podzieliwszy przeciwnika, Egilrude miażdżył go bez litości. Nie kłamał, kiedy mówił, że jego wojska znajdują się w trzech równoległych dolinach. Teraz dopilnował, aby koryntiańczycy i ich sprzymierzeńcy zostali otoczeni z dwóch stron jednocześnie.

Środkowa aquilońska kolumna posuwała się niestrudzenie, metodycznie łamiąc opór przeciwnika i odrzucając go za pobliską przełęcz, a potem znajdującą się za nią dolinę. Wielu ludzi Egilrude zginęło w walce, jednak w miarę jak posuwali się naprzód, okazywało się, że więcej Koryntiańczyków niż Aquilończyków jęczy i krzawi wśród kęp górskiej trawy i spletanych korzeni kosodrzewiny.

Wzorem swego sławnego króla, Egilrude osobiście prowadził kolejne szarże jazdy. Pierwsze ćwierć mili drogi od strumienia musieli wyrębać sobie w tłumie wrogów. Potem nieprzyjaciel zaczął się cofać w coraz większym pośpiechu.

Aquilończycy niemal na karkach wrogów wjechali na kolejną przełęcz. Stąd do oglądanej wcześniej twierdzy było już tylko kilkaset kroków.

Egilrude ścigał uparcie wrogów, chociaż dokuczała mu świadomość, że jego jazda wysunęła się daleko przed piechotę. Jednak głównym celem była twierdza, więc troskę o bezpieczeństwo i całość ciągnącej z tyłu kolumny musiał powierzyć swym oficerom. Na domiar złego było już późne popołudnie i zanościło się na burzę. Skłębione chmury otuliły postrzępione wierzchołki gór Karpash stalowoszarą całunem.

Trwała właśnie kolejna potyczka nad przejściem przez jakiś potok, kiedy w pobliski stok uderzyła błyskawica i zaczęły spadać pierwsze, ciepłe jak krew krople deszczu.

Żaden z jeźdźców nie przejął się tym, choć łoskot gromu przeraził wierzchowce, które zaczęły wierzgać. Nacierali dalej, a każdy kolejny błysk pioruna oświetlał wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy i wyszczerzone zęby koni. Wśród przeciwników wybuchła panika, niektórzy zostali zrzućeni z siodeł, inni zgładzeni przez rozszalałą aquilońską stal. Walka zmieniła się w dziki pościg, zakończyła się rozpaczliwą walką u bram twierdzy.

Obrońcy nierozsądnie opuścili most zwodzony, by wpuścić uciekających rodaków. Aquilończycy następujący na pięty uchodzącym nie dali załódze czasu na ponowne podniesienie kładki. Egilrude i jego towarzysze rzucili się na strażników przy furcie i nie pozwolili zamknąć okutych żelazem drzwi ani spuścić kraty. Chwilę później kolejni pancerni najeźdźcy wyłonili się zza kurtyny ulewy, a generał zsiadł z konia i poprowadził polowanie na obrońców w ciemnych, wąskich korytarzach twierdzy.

Wreszcie Koryntiańczycy zostali wybici. Około tuzina poranionych, posępnych jeńców zgromadzono na dziedzińcu pod strażą czterdziestu ocalałych Aquilończyków. Parujących w strugach deszczu koni było więcej niż ludzi z obydwu oddziałów.

Egilrude spróbował otrząsnąć z siebie zmęczenie i przybrać groźny wygląd.

— Teraz! — warknął. — Potrzebuję jeńca, który mówi po aquilońsku lub nemedysku! Kto jest gotów ze mną rozmawiać?

Większość jeńców, weteranów wielu kampanii, zachowała kamienny wyraz twarzy i opuściła wzrok, kiedy ich zwycięzca kroczył wzdłuż szeregu. Tylko jeden z nich, starszy cywil wyglądający na rolnika czy pasterza, rzucił na generała zalęknione spojrzenie. Egilrude zatrzymał się przy nim i chwyciwszy go za ramię, wyrwał z szeregu. Pasterz padł na czworakach na mokre kamienie.

— Ilu koryntiańskich wojowników jest na tych wzgórzach? — ryknął generał. — Jakie mają rozkazy? — Kopnął go w bok, aż tamten wyciągnął się w błocie. — I po co jest ta twierdza na tym pustkowiu?

— Proszę, panie — pasterz, z trudem łapiąc dech, przemówił włamanym nemedyskim. — Jestem tylko biednym pasterzem, przyszedłem tu, by sprzedać swoje owce garnizonowi — powiódł błagalnym spojrzeniem po jeńcach i zdobywcy. — Nie wiem nic o wojnach wielkich królów. Proszę, panie, pozwól mi iść do domu.

Egilrude spojrzał nań gniewnie. Wspomniał swoich krewnych, ludzi prostych jak ten. Potem pomyślał o swojej misji i o obowiązku wobec korony.

— Zatem nie chcesz mówić! — wrzasnął. — Ci ludzie są żołnierzami, przysięga wzbrania im rozmawiać ze mną. Ale ty jesteś zwykłym chłopem! Na Erlika, odpowiadaj! Bo wyrwę z ciebie życie! — Ponieważ udręczony pasterz milczał, Egilrude odwrócił się i pstryknięciem przywołał swych ludzi. — Wy dwaj, weźcie go do środka! Pozostałych umieścić w lochu pod wieżą. Zabezpieczyć bramę i most, wystawić wartowników na baszcie i wysłać jeźdźców, żeby przyprowadzili legion.

O zmierzchu ciągle jeszcze padało i biły pioruny. Ciało pasterza, który oddał życie na torturach, zrzucano z murów do fosy. Egilrude stał na szczycie baszty z jedynym ocalałym adiutantem.

— Zatem istnieje zachodnia przełęcz na głównej grani Karpash — generał wlepił wzrok w zamazany krajobraz. Czarne granie były prawie niewidoczne. Ich istnienia pozwalały się domyślić tylko szare spazmy deszczu i mgły. — Zapomniana przełęcz, a tę twierdzę zbudowano, aby powstrzymywała najazdy z południa.

— Tak, panie. Lecz ten pasterz naprawdę bał się tego miejsca — adiutant osłonił się od deszczu zdobyczym futrzanym płaszczem. — Nawet w mękach konania ostrzegał nas przed duchami i klątwami ciężącymi nad przełęczą.

— To przesady! — Egilrude zaśmiał się cierpko. — Łatwo o nie, jeśli jakieś miejsce nawiedzane jest przez taką pogodę! — odwrócił się i zrobił kilka szybkich kroków. — A jednak to ważne odkrycie. Król będzie zadowolony, a nas

spotkają wielkie zaszczyty. – Na próżno szukał wzrokiem jaśniejszego miejsca wśród chmur. Nie sposób było ustalić, w jakiej części nieba znajduje się słońce, a tym bardziej dostrzec światło czy ruch w dolinie. – Co mówił pasterz o ruchach wojsk w tych stronach?

– Przysięgał, że spotkaliśmy pełny legion koryntiański w sile dwóch tysięcy ludzi z brythuńskimi posiłkami. Posłano go tutaj, by uderzył na skrzydło wojsk aquilońskich, które posuwałyby się na wschód po równinie.

– Zatem zaskoczyliśmy ich... a oni nas. – Egilrude ściągnął brwi i zadumał się głęboko. – Mimo to mamy przewagę liczebną, a oni są rozbici i pozbawieni dowódcy. Jeśli zdołamy zebrać nasze siły, niewiele przeciw nam zdziałają.

– To nie powinno być trudne – zauważył adiutant. – Nie zostawiliśmy głównej kolumny daleko z tyłu.

– Tak, ale w nocy, z nieprzyjacielem na wzgórzach i w tym piekielnym deszczu! ... – Egilrude poprawił płaszcz i jego sylwetka zarysowała się przez chwilę na tle światła błyskawicy. – Pamiętaj, że strumyki, przez które galopowaliśmy, są teraz wezbranymi potokami. I już parę godzin temu te przeklęte chmury uniemożliwiły nam przesłanie sygnałów świetlnych. Jeśli się nie przejaśni, mogą upłynąć dni, zanim zdołamy się przegrupować.

– To prawda, panie... – adiutant nie potrafił wymyślić nic, co zanegowałoby tę ponurą wizję.

– Dobrze – odezwał się Egilrude. – Mimo wszystko każ zbudować ognisko sygnałowe i utrzymywać je przez całą noc. Ustaw za nim moją tarczę, niech służy jako znak dla zwiadowców na wzgórzach. Wyznacz jakiegoś oficera, żeby cię zmienił o północy, i każ mu obudzić mnie rano. – Odwrócił się i zszedł po schodach.

Deszcz padał przez cały następny dzień, ale kolejnej nocy pogoda się poprawiła. Światło poranka przebiło się przez poszarpane krawędzie odpływających obłoków i rozbłysło na świeżym śniegu pokrywającym grań Karpash. Kiedy słońce ogrzało wilgotne, zalesione stoki, znad ziemi uniosły się skłębione kotary mgły, które załamując się i rozpraszając słoneczny blask, stworzyły nieziemsko piękny widok.

Jednak wartownicy na wieży niedługo mogli się cieszyć pięknem krajobrazu. Ten sam blask poranka odsłonił nieprzyjacielskie oddziały opasujące twierdzę i przygotowujące się właśnie do ataku. Obrońcy posłali sygnały świetlne z rozkazem przysłania posiłków, ale na próżno.

Las był wilgotny, zatem atakujący nie mogli posłużyć się ogniem. Do połowy poranka udało im się jednak opróżnić fosę za pomocą rowu wykopanego w stoku wzgórza. Wkrótce potem okryte deskami tarany zaczęły bić o wrota. Z dobrym skutkiem. W południe brama została wygięta i wkrótce padła. Koryntiańczycy wdarli się do środka.

Król Conan i hrabia Prospero zatrzymali się na jakiś czas, aby przygotować plany i uzupełnić zapasy, a następnie ruszyli z głównymi siłami do Koryntii, przełamując silny opór na przedgórzu Karpash. Po drodze zbierali resztki żołnierzy zwiadu poprowadzonego kilka dni wcześniej przez generała Egilrude. Ekspedycja ta napotkała w górach złą pogodę i rozproszyła się, mimo to walcząc z przeważającymi siłami przeciwnika związała obrońców na kilka dni, przyczyniając się tym samym do oczyszczenia drogi na południe.

Największą wagę miało przybycie jednego z kurierów Egilrude. Żołnierz ów przywiózł ze sobą szczegółową mapę z oznaczoną najlepszą trasą przemarszu przez góry Karpash. Twierdził, że nieznaną przełęcz jest niska, płaska i prawie niebroniona. Cieszyła się złą opinią i unikano jej ze względu na miejscowe wierzenia dotyczące sił nadprzyrodzonych. Te jednak nie mogły stanowić zagrożenia dla wielkiej aquilońskiej armii. Tak więc wojska króla Conana parły w stronę gór najszybciej jak się dało.

Głęboko w górach napotkano, zgodnie z zapowiedzią kuriera, twierdzę zbudowaną na podejściu do przełęczy. Wiadomo było, że jest to najdalszy punkt osiągnięty przez Egilrude i jeśli generał istotnie nie posunął się dalej, to niewielka była szansa znalezienia go przy życiu. Twierdza była opuszczona i splamiona krwią. Wieśniacy i nieprzyjacielscy żołnierze uciekli na wieść o zbliżaniu się Conana.

Cymmerianin i Prospero weszli do środka z kompanią wojska. Panujący tu trupi odór powiedziała im, że ciała nie zostały pochowane. Nie naprawiono wyważonej furty, a suchą fosę wypełniały kamienie. Dziedziniec zasłany był trupami ludzi i koni. Ciała aquilońskich i koryntiańskich wojowników znaczyły drogę na wieżę, po spiralnych schodach czarnych od zaschłej krwi.

Na samym szczycie, na parapecie baszty, pod blankami leżało sztywne ciało generała. Miał odciętą głowę, która leżała na środku podestu. Conan i Prospero omietli szczątki krótkim spojrzeniem. Potem odwrócili się i wdychając świeży górski powiew, patrzyli na wężową kolumnę ich armii maszerującej przez lesista dolinę.

– Marna to śmierć dla dzielnego żołnierza – zauważył Conan tocząc wzrokiem po górskich grzbietach.

– Tak, Egilrude był dzielny – zgodził się Prospero. – Dzielny i porywczy. Jego gorliwość w trakcie tej misji mogła nas wciągnąć w wojnę z Koryntią i Brythunią.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Conan. – Nie jestem jeszcze gotów do walki z nimi. Ale wysłałem Publiusza, żeby spotkał się z ich posłańcami. Ufam, że załagodzi tę sprawę.

– W takim razie będzie to jego największy dyplomatyczny wyczyn – zauważył Prospero odkorkowując bukłak z winem. – A tymczasem, z wojną, czy bez niej, uderzamy na południe – podniósł bukłak do ust. – Precz z Koth!

– I śmierć Armiro! – przytaknął Conan i wziął bukłak od Prospera. – I jeszcze raz dzięki Egilrude za znalezienie nam drogi przez góry – spełnił libację, wylewając odrobinę wina.

– Znalazł drogę, ale przy tym narobił nam w okolicy wielu wrogów – zauważył Prospero, spoglądając na skrwawioną głowę. – Egilrude nie był szczególnie litościwym człowiekiem – . wziął bukłak od króla i też ułał trochę wina.

– Być może, ale był żołnierzem w każdym calu. – Conan odwrócił się i ruszył w stronę schodów. – Sprawię, by ogłoszono go bohaterem królestwa.

17. STAROŻYTNA ŚWIĄTYNIA

Conan uznał marsz przez góry Karpash za mile widziany odpoczynek od trudów rządów, podbojów i dyplomacji. Potyczki z koryntiańskimi wojskami ustały, co zrozumiałe, bo obrońcy postąpiliby nierozsądnie zaczepiając potężną armię zajętą właśnie opuszczaniem ich terytorium. Baron Haik twardo bronił swej nemedyskiej satrapii, a reszta posiadłości Conana znajdowała się we właściwych rękach. Pozostało teraz zadać decydujący cios w serce imperium Armira, w Koth.

Cymmerianin codziennie zajmował się czymś na czele kolumny, osobiście doglądał wszystkiego i pracował przy torowaniu szlaku. Przez niezliczone stulecia, na nie używanym trakcie nagromadziły się przeszkody w postaci chaszczy, wiatrołomów i osuwisk. Przemarsz całej armii wymagał teraz budowy nowej drogi. Przy tej robocie umiejętności Conana nie ustępowały kunsztowi najwytrawniej szych saperów. Jego tryb życia prawie nie różnił się od tego, jaki był udziałem zwykłych żołnierzy.

Mimo to Conan nie zdołał unikać myśli o sprawach, które od dawna zaniebyszał. Myślał o Zenobii, swej wiernej królowej i o synu Connie, czynił sobie wyrzuty, że nie cieszy go ich miłe towarzystwo. Wiedział, że pada ofiarą jakiegoś pierwotnego niepokoju, który kazał mu raz po raz wyruszać w dal, w poszukiwaniu niebezpiecznych przygód. Czy jego wieczny lęk przed spoczynkiem i sytością był tylko kwestią nudy?

Nie, zawsze pogardzał dostatnim, łatwym życiem! Co gorsza, bał się myśleć, że się zestarzeje, stanie słaby, zadowolony z siebie i pozwoli, aby tron wymknął mu się lub został wydarty, jak wielu innym, samozwańczym królom. Pamiętał stale o podłej, zdradzieckiej paplaninie na temat jego władzy, złośliwym kwestionowaniu jego siły i o wilczętach w rodzaju Armira, które bez przerwy węszyły i ostrzyły sobie pazury, by wygryźć królewskiego lwa, takiego jak on, Conan.

Crom świadkiem, że trudno było zdobyć koronę, a jeszcze trudniej ją utrzymać! Wymagało to użycia całego sprytu i siły własnej oraz przyjaciół, a także całej ich lojalności. Teraz długa praca, krótki sen i znój górskiej wyprawy kazały Conanowi zadać sobie pytanie: dlaczego to mu nie wystarcza? Dlaczego nie poprzestanie na królowaniu i nie kończącej się pracy nad umacnianiem Aquilonii, czynieniem jej miejscem rozkwitu sztuki i wiedzy, królestwem sławionym w legendach, najpiękniejszym, najszcześniejszym państwem, jakie kiedykolwiek znano? To było marzenie Zenobii. Dlaczego ono i proste radości życia rodzinnego nie zawładnęły nim, tak jak zawładnęły królową?

Był świadom swej nienasyconej, nie znoszącej ograniczeń natury. Tak, chciał wszystkiego i jeszcze więcej. Posmakował już nagród, podbojów, śmiertelnych niebezpieczeństw i ekstaz... ale czyż pewnym duszom nie było pisane sięgać jeszcze

dalej i wznosić się wyżej? Czyż od najmłodszych lat nie czuł delikatnej woni przeznaczenia w każdym wietrze, który nim targał, choćby najbardziej okrutnym? Dla niego wszystko było niełatwe, ale możliwe.

Czy on sam, tak długo skąpany w blasku łaski bogów, nie dojrzał wreszcie do tego, aby samemu stać się bogiem? Miał już wszak niemal boską władzę nad ludźmi, boską siłę i jasność woli, boską gwarancję powodzenia we wszystkim, do czego przyłożył ręki. Czasami czuł, że wystarczyłoby teraz ogłosić się bogiem, by rzeczywiście stać się nim. Czasami czuł, że ta moc rośnie w najgłębszym zakamarku jego duszy. Nie zawsze była to moc jasna i łagodna, częściej ciemna i niszczycielska, niczym te mroczne sny, które nękały go ostatnio. Ale z pewnością była to moc – wrzące źródło pierwotnej potęgi.

– Ostatecznie, Królu Obcinaczu Głów, ludzie już nieraz stawali się bogami, ale jak dotąd żaden śmiertelny król nie panował nad całą ziemią – powiedział niedawno Delvyn. – Czy to drugie nie pociągnie za sobą pierwszego?

– Wydaje mi się, że tak. – Conan popatrzył uważnie na karła. – Mądrze mówisz, Delvynie. Czyż nie tak, Amlunio? – obejrzał się na konkubinę, która prowadziła wierzchowca tuż za nim. – Jak sądzisz dziewczyno, czy mam zadatki na boga? I czy muszę wymłócić cały ten przeklęty świat, by tego dowieść?

– Na boga, panie? Z pewnością! Jak sądzisz, dlaczego wykrzykuję imiona tuzina bogów, kiedy kładziemy się razem? Ale doprawdy, królu, czy rzeczywiście chcesz zostać nudnym, starym bogiem? – paplała nadal. – Mnie bardziej przypadłby do gustu jakiś ognisty demon!

– To prawda, bogów dzieli od demonów tylko cienka granica. – Conan w zamyśleniu zmarszczył brwi.

– Spodziewam się, o Królu Zgniataczu Czaszek, że odkryjesz, iż bogowie, tak jak królowie, mieszkają tylko w małej wiosce. Jeden mógłby zapragnąć stać się najlepszym i najpotężniejszym z nich – błazen mówił powoli i z rozmysłem. – Żeby to osiągnąć, powinien starannie dobrać przyjaciół i zawrzeć sojusz z największym z królujących bóstw.

Tak przebiegały ich rozmowy. Raz były bluźniercze, kiedy indziej bardzo poważne. Karzeł miał umysł bystry i przenikliwy. Conan zastanawiał się nieraz, jak samemu udało mu się zejść tak daleko bez porad tego błazna. To był istotnie dowód, że boska opatrność prowadziła go przez wszystkie lata. Co do Amlunii, to wydawało się, że mimo jej krwiożerczych obyczajów i lubieżności jest mu naprawdę oddana. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek miał tak ochoczych towarzyszy marszu.

Z Prosperem król mniej chętnie dzielił się treścią swych najgłębszych przemyśleń. Ten szlachcic, przy całym jego wyrafinowaniu, bardziej związany był z dawnym życiem Conana i bardziej przytłoczony przyziemnymi troskami. Jego wyraźna niechęć do nowych przyjaciół Cymmerianina sprawiła, że Conan zaczął wątpić w jego szczerść. Królowi bardziej odpowiadałoby, gdyby Prospero gwałtownie napadł na Delvyna i Amlunię i postawił sprawę otwarcie. Zgadywał jednak, że Poitańczyk nie chce stać się ofiarą ostrego języka Delvyna i niewyszukanego sarkazmu Amlunii.

Ta waśń jednak nie utrudniała podróży. Droga stawała się coraz trudniejsza, ich oczom ukazywały się nowe szczyty i przepaści, a każda następna była bardziej stroma od poprzedniej. Do trudu wspinaczki doszły niedogodności marszu wśród splecionych korzeni i śliskich skał. Najdziksze, najwęższe odcinki szlaku sprawiały, że linia maszerujących wyciągała się, a końcowe oddziały skazane były na nużące oczekiwanie wśród nie dających cienia głązów. Kiedy indziej trzeba było spędzić cały, męczący dzień na wciąganiu na linach koni i wozów na jeden skalisty próg. Potem teren wyrównał się i przeszedł w płaskowyż pokryty zaroślami i kamienistymi łąkami. Poszarpane szczyty Karpash wyglądały jak pniaki na tle błękitu nieba. O dziwo, pomimo wysokości pogoda była tu łagodniejsza, porywy wiatru mniej lodowate, a słońce jaśniejsze i mniej palące. Nawet burze z błyskawicami stały się oczekiwanymi chwilami ulgi. Wieczór przynosił teraz bezruch, który ogarniał stopniowo całą okolicę barwiąc zachodnie ściany turni na kolor krwawego złota.

W jedno z takich popołudni, kiedy długo przed zachodem słońca rozbito obóz w miejscu jakby stworzonym przez naturę do obrony, Conan udał się na samotny spacer. Bywał niekiedy zmęczony nachalną wesołością Delvyna, sprośnymi zalotami Amlunii i nienaganną grzecznością Prospera. Król wymknął się gwardzistom, przekradł między namiotami i wdrapał na jedną z otaczających obóz skalistych skarp. Ruszył stąd wąskim wąwozem prowadzącym w nieznaną dzicz.

U jego stóp rozpościerał się widok na granitowy szkielet gór. Gładki, zwietrzały kamień gdzieniegdzie poznaczony kępami trawy i karłowatych drzew. Conan zdawał sobie sprawę, że gdyby nie udało mu się wrócić, nikt nie odszuka jego śladów na nagiej skale. Zastanowił się, czy kiedykolwiek od początku świata kroczył tędy jakiś człowiek.

Potem, kiedy minął skalisty pagórek, znalazł odpowiedź na to pytanie. Przed nim, pomiędzy skalną ścianą a kępą nędznych drzew, stała mała, przysadzista budowla z kamienia. Ciężkie granitowe bloki ociosano niedbale, umieszczono jeden na drugim, a potem ozdobiono runami i wizerunkami ludzkich postaci. Conan uznał, że miejsce to jest od dawna opuszczone, więc podszedł swobodnie. Rzucił okiem na rzeźby, które przedstawiały przeważnie majestatycznych patriarchów o prostokątnych brodach. Domyślił się, że miejsce to jest starożytną, zapomnianą świątynią boga Mitry.

Albo była to tylko przydrożna kaplica dla pobożnych pielgrzymów na starym, niegdyś uczęszczanym szlaku. Conan, który w miarę możliwości unikał starodawnych świątyń i grobowców zainteresował się tym budynkiem świadczącym o szczęśliwej przeszłości tego miejsca. Zbliżył się do wejścia, zachowując ostrożność na wypadek, gdyby świątynia okazała się kryjówką dzikich zwierząt. Kamienne słupy i nadproże były rzeczywiście stare i pokryte porostami. Nie mógł przeniknąć wzrokiem ciemności panującej wewnątrz.

– Szukasz skarbów? Ciągle mogą być w środku.

Głos dobiegł zza pleców Conana, który natychmiast rzucił się w bok i potoczył po kamieniach, po czym poderwał ze sztyletem w dłoni.

Ale postać, która wyłoniła się zza krzaka, nie wyglądała groźnie. Był to starszy, przygarbiony siwobrody mężczyzna. Na jego pomarszczonej, ogorzalej twarzy malował się zagadkowy uśmiech. Mężczyzna postąpił kilka kroków i zatrzymał się z szacunkiem w pewnej odległości od króla.

Conan schował sztylet gestem wskazującym raczej na lekceważenie niż zaufanie i bacznie przyjrzał się obcemu. Odziany był on w brudną, podobną do sukni szatę wystającą spod obszytej futrem kamizelki. Nie miał żadnej broni poza nożem i cienką żerdzią opatrzoną na jednym końcu rzemienną pętlą. Na pasie przerzuconym przez ramię wisiała walcowata klatka z brązu, w której coś się poruszało.

– Jeśli nawet tak, to co z tego, starcze, dlaczego mnie zaczepiasz? – zapytał Conan. – Czy jesteś pustelnikiem, czy kapłanem w tej zrujnowanej świątyni?

– Ja kapłanem Mitry? – Stary uśmiechnął się krzywo, ukazując przerzedzone żółte zęby. – Nie, cudzoziemcze. Nigdy nie byłem wyznawcą bogów Południa! Jestem wędrowcem jak ty, myśliwym przemierzającym te góry w poszukiwaniu pożywienia.

Conan przyjrzał się klatce starego i wydało mu się, że dostrzega w niej błysk paciorkowatych czerwonych oczu oraz wystające spomiędzy krat pyszczki.

– Wyglądasz mi na szczurołapa, stary. Czy to najszlachetniejsza zwierzyna, jaką można upolować wśród tych urwisk?

– Z pewnością nie najszlachetniejsza – myśliwy wzruszył ramionami. – Ale za to najliczniejsza i najłatwiejsza do złapania. Te małe diabły są piekielnie płodne i ktoś musi na nie polować, bo inaczej opanują świat i pożrą wszystko, co się na nim znajduje.

– Rozumiem – król wolno pokiwał głową i zamyślił się. Czuł, że przypadkowe spotkanie na tym pustkowiu raczej nie wchodzi w grę. – Żywisz się więc szczurami?

– Tak, szczurami i innymi szkodnikami – przytaknął rezolutnie stary myśliwy.

– Wszystkim, co tu jest. Nauczyłem się także łapać węże.

– Hm... – Conan zwlekał z odpowiedzią, bo zastanawiał się, jaki kierunek nadać tej dziwnej rozmowie. Obcy nie zapytał go, kim jest, co uraziło nieco królewską dumę Conana. Postanowił jednak nie udzielać mu żadnych informacji w tym względzie. – O jakim to skarbie wspominałeś? – zapytał w końcu Cymmerianin. – Czy poszukujesz go tutaj?

– Skarb? Cóż ja bym zrobił ze skarbem? – staruszek ściągnął brwi w zdumieniu, które wyglądało na szczere. – Co ja bym z niego miał, poza udręką niesienia, do czasu aż wyrwałby mi go ktoś młody, taki jak ty? Jeszcze taki zbój pewnie zabiłby mnie przy tym albo okaleczył. Nie, nie potrzebuję skarbu! Moje potrzeby są zaspokojone.

– Rozumiem. – Conan postanowił nie dyskutować na ten temat. – Ale jeśli dobrze słyszałem, sądzisz, że mogą tu być skarby i spodziewasz się, że przyszedłem ich szukać – wskazał na otwarty portal świątyni.

– Skarby, tak, muszą tam być! Bez wątplenia! Ale będziesz musiał zejść

głęboko. Największe skarby zawsze leżą najgłębiej.

– W tej kamiennej szopie – zdumiał się Conan. – Jak głęboko można tam zejść? Staruch sięgnął do sakwy u pasa.

– Pomogę ci, jeśli chcesz. O, proszę – pokazał krzesiwo, hubkę i oliwną lampkę.

Chwilę później klęknął, skrzesał iskrę i za moment powstał trzymając w dłoni płonący kaganek

– Weź lampę i chodź! – powiedział do króla. – Ja pójdę pierwszy.

Starzec zebrał swoje rzeczy i wkroczył w ciemność. Conan nie widział przyczyn, dla których miałby nie iść za nim. Wszedł, trzymając lampę z boku, z dala od oczu. Świątynia wyglądała na wąską i nisko sklepioną, jak oczekiwał, ale jej podłoga opadała pod kątem ostrym w dół.

Przewodnik wykonał nagły ruch. Conan sprężył się, dostrzegł parę czerwonych oczu za załomem jakiejś rzeźby. Pętla syknęła na końcu żerdzi, rozległ się pisk, po czym stary zręcznie wrzucił do klatki kolejnego szczura.

– Świetnie, staruszkule! Ty już znalazłeś swój skarb! – stwierdził Conan.

– Świątynie, grobowce i zamki zawsze pełne są szczurów. Ale trzeba wiedzieć, gdzie patrzeć. – Pętla ponownie śmignęła porywając zdobycz z majestatycznej stopy topornie rzeźbionego posągu. – Jeśli chce się być szczurołapem, trzeba być przebiegłym. – Klatka znowu zamknęła się z trzaskiem. – Przebiegłym i lekkostopym.

Zeszli poniżej poziomu ziemi i okazało się, że są w jaskini. Wszędzie wyrastały zęby stalaktytów i stalagmitów. Jedyna droga przed nimi została wyrabana ludzką ręką. Światło lampy igrało na wapiennych soplach, barwiąc ich połyskliwe powierzchnie trupimi kolorami. Cienie uciekały wraz nadejściem niosącego lampę Conana i oddalał się również zgięty cień staruszka. Nie było widać szczurów. Powietrze stało się chłodniejsze, a woń górskich ziół ustąpiła wilgotnemu zapachowi wnętrza ziemi.

– Zawsze tak było – zauważył stary szczurołap. – Każda świątynia wznosi się nad jeszcze starszym sanktuarium, nawet chramy wielkiego i wzniosłego Mitry.

– Skąd masz pewność, że to świątynia Mitry? – prychnął Conan.

– Jeśli nie Mitry, to czyja? – stary zerknął na króla. Światło lampy położyło się ostrymi cieniami na zasuszonej twarzy szczurołapa, podkreślając jej dziwaczny grymas.

– Cóż, staruszkule, równie dobrze mogłaby to być świątynia poświęcona mnie – z pewnością głos Cymmerianina nie drżał jak głosik przechwalającego się dziecka, a tylko podziemne echa nadały mu takie brzmienie.

– Uważasz się za jednego z nieśmiertelnych bogów? – szczurołap ruszył szybko w głąb jaskini. Conan musiał pośpieszyć, żeby nie utracić go z zasięgu światła lampy. – Czy masz do tego wystarczającą cierpliwość? Można by pomyśleć, że bogowie, zmuszeni przez stulecia nawiedzać zatęchłe przybytki takie jak ten, muszą być tym nieśmiertelnie zmęczeni.

– Nigdy nie grzeszyłem cierpliwością – odburknął Conan. – Jeśli zostanę bogiem, to właśnie brak cierpliwości.

– Hm... Do tego trzeba nie tyle cierpliwości, co niezachwianego poczucia własnej wartości – wymamrotał stary. – Walczysz z wymyślonymi widmami po to, by rozwiązać utajone zwątpienie w samego siebie? Czy też potrafisz dojrzeć godny cel i trzymać się go?

– W tej chwili, staruszkule, nie widzę żadnego celu ani w ogóle nic godnego uwagi nie wyłączając ciebie. Dosyć tego. Daleko jeszcze musimy zapuścić się w tę szczurzą norę?

– Istotnie daleko – starzec spojrział na Conana marszcząc brwi na znak upomnienia. – Powiedziałem ci, że największe skarby leżą głęboko – zwolnił nagle. – Ale tutaj, przed nami może kryć się wyzwanie, które oszołomi twój płochy umysł. Idź naprzód, ale ostrożnie.

Conan zrównał się ze starcem i dostrzegł, że ten stoi na krawędzi ciemnego lochu. Światło lampy ledwie sięgało przeciwległej ściany przepaści, nie dochodziło jednak do dna. Król zatopił wzrok w otchłani, ale nie dostrzegł nic poza niewyraźnymi konturami kamiennych ścian. Jedynie przytłumione odgłosy chlupotania jakiegoś płynu świadczyły o tym, że w ogóle jest jakieś dno.

Cymmerianin wzniosł lampę wyżej i zobaczył, że jedyna droga na drugi brzeg przepaści wiedzie przez starożytny, łukowy most zbudowany z niedbale przyciętych kamieni.

Most nie miał balustrady i wyglądał niepewnie. Zewnętrzne krawędzie

odkruszyły się tak, że pozostała jedynie wąska ścieżka na szerokość jednego kamienia. Jeśli w złączach między głazami była kiedykolwiek jakaś zaprawa, to już dawno wykruszyła się w otchłań. Wszystko, co pozostało, było nieprawdopodobną stertą kanciastych kamieni opierających się niepewnie jeden o drugi.

– Prawdziwe wyzwanie – stwierdził stary szczurołap, wyjął z kieszeni brudną szmatę i przytknął ją do płomienia, a następnie cisnął ogarniętą ogniem w przepaść. Szmata długo, długo opadała w pustkę.

Obaj mężczyźni patrzyli przechyliwszy się nad przepaścią. Szmata leciała jeszcze przez kilka uderzeń serca, zanim jej światło odbiło się w hebanowoczarnej sadzawce.

Ciecz w dole była zbyt ciemna jak na wodę, a w środku coś bulgotało, powodując rozchodzenie się kolistych fal na powierzchni. Kiedy szmata upadła na powierzchnię, nastąpił widmowy błysk i odgłos wybuchu, który sprawił, że król i szczurołap cofnęli się znad krawędzi i osłonili twarze.

W tej samej chwili dosięgła ich fala rozgrzanego powietrza i wstrząs. Tapnięcie sprawiło, że z nędznego mostka posypał się gruz, a szczury w klatce zaczęły miotać się i pisać z podniecenia. Conan podrapał się w głowę, widok czarnego stawu przywiódł mu na myśl pewne sny, które ostatnio go nawiedzały.

– Zatem naprzód! – oznajmił starzec. – Przebadzmy tę przeszkodę i kontynuujmy poszukiwania.

– Jestem awanturnikiem, ale nie głupcem, starcze! – zaprotestował Conan. – Nigdy bym nie powierzył swego życia tej zrujnowanej stercie gruzu! Uważasz mnie chyba za durnia, jeśli sądzisz, że tak łatwo pozbawisz mnie życia?

– Boisz się iść – szczurołap zacisnął usta w grymasie, który chyba nie wyrażał szyderstwa. – Więc dobrze, ja pójdę pierwszy. Jeśli mi się uda, musisz pójść za mną.

– Hej, stary, nie wystawiaj tego mostu na próbę! Ja nie robiłbym tego, nawet gdyby zostało mi tylko parę nędznych lat życia jak tobie – widząc, że starzec nie zwraca na niego uwagi, dorzucił: – Dobrze! Ale jak spadniesz, nie ja będę odpowiadał za twoją śmierć.

Conan patrzył, jak szczurołap podchodzi do mostu, stawia na nim jedną nogę, potem przenosi cały ciężar ciała. Posuwał się naprzód ostrożnymi, odmierzonymi krokami, które były dziwnie zręczne jak na kogoś tak sędziwego. Na środku mostu przystanął i spojrzał na Conana, potem ruszył dalej zatrzymując się dopiero na skraju przepaści.

– I co? – spytał szczurołap, spoglądając nad otchłania. – Idziesz?

Conanowi ulżyło, kiedy zobaczył, że jego towarzysz przeszedł, a jednocześnie ogarnął go wstyd, że nie poszedł jako pierwszy.

– Co, stary szczurojadzie, nazywasz mnie tchórzem?! – zawołał. – Czy przysięgasz na boga, którego czcisz, że nie szturchniesz tych kamieni swoją szczyrzą żerdzią, żeby mnie zabić? Jeśli spróbujesz i ci się nie uda, żaden bóg ani demon nie ocali cię przed moim gniewem!

– Na mój honor... – Conanowi wydawało się, że tak brzmiała odpowiedź starego. Nie miało to znaczenia, bo już był na moście. Dla utrzymania równowagi balansował lampą i stąpał ostrożnie tam, gdzie stawał kroki jego poprzednik. Most trzymał się, choć Conan czuł, jak kamienie wysuwają się spod jego stóp. Doszedł do środka, uważnie obserwując cienie pod nogami.

Sadzawka w dole paliła się nadal. Na jej powierzchni wirowały i migotały błękitne, widmowe płomienie. Bulgotanie jakby się wzmogło. Bełkotliwe echa brzmiały jak dalekie, wściekłe wrzaski. Conan mimowolnie spojrzał w dół i zawrót głowy sprawił, że zbyt gwałtownie postawił stopę. Poczł, że kamienie zgrzytają i przesuwają się niebezpiecznie.

– Stary, co...? – uświadomił sobie, że waży o wiele więcej niż szczurołap, zbyt wiele, by ryzykować przeprawę. Nie próbował skakać, bo wiedział, że kamienie nie wytrzymają odbicia. Człł, że i bez tego zaczynają się pod nim rozstępować. Spostrzegł, że starzec obserwuje go obojętnym, badawczym wzrokiem. – Co ja mam zrobić?

– Musisz sam postanowić! – głos ten brzmiał wokół niego w chwili, gdy most się rozlatywał i zrzucał króla do otchłani. Spadając prosto w płomienie, spojrzał na skrzywioną sylwetkę starego człowieka i wydał z siebie ostatni, rozpaczliwy okrzyk.

– Cromie!

Obudził się. Wąska polowa prycza przewróciła się przygniatając go do ziemi.

Jednak rzeczywiście wydał z siebie przeraźliwy krzyk, bo do namiotu wpadło kilku strażników. Otoczyli króla, podnieśli latarnie i szukając intruzów rozglądali się po kątach.

– Odejdźcie! – rozkazał Conan siadając na podłodze. – To nic ważnego.

Wejście podniosło się znowu i weszli Delvyn, Amlunia oraz powiew wieczornego chłodu.

– Złe sny doskwierają nam ostatnio bardziej niż kleszcze – stwierdził karzeł.

Amlunia rzuciła się królowi na pomoc. Jednak on odepchnął ją od siebie, sam powstał i postawił pryczę. Kiedy do namiotu wpadł Prospero, Conan zareagował niecierpliwym warknięciem.

– Dosyć, powiedziałem! To był tylko zły sen. Nawet nie tyle zły, co niepokojący... Nie potrzebuję niczyjej pomocy.

– Nic nie wiem o twoich snach, panie – oświadczył Prospero. – Prawdę mówiąc, szkoda że to, o czym powiedziano mi przed chwilą, nie jest tylko snem. Jeden z naszych zwiadowców powrócił właśnie do obozu – hrabia powiódł poważnym spojrzeniem po zebranych. – Przed nami do przełęczy zbliża się kothyjska armia.

18. ZŁOWROGA PRZEŁĘCZ

Księżyc wschodził wśród najgłębszej nocy. Do tego czasu z aquilońskiego obozu zdążono już wysłać ku przełęczy pierwsze oddziały. Rozkazano im posuwać się możliwie najbardziej skrycie, by mogły przygotować lub wykryć zasadzkę przygotowaną przez przeciwnika. Król Conan postanowił jechać z nimi, by obejrzyć teren, na którym miała rozegrać się bitwa.

Jak dotąd góry Karpash nie potwierdziły swej złej reputacji. Na Aquilończyków nie rzuciły się żadne wampiry ani żadne widmowe mgły nie opadły ze skalistych stoków. Jednak siodło przełęczy wyglądałoby niesamowicie nawet w świetle dnia. Blask wschodzącego księżyca odbijał się od granitowych czerepów zbielejących jak potrzaskane kości, roślinność ograniczała się do drzewek nie wyższych od człowieka, postrzępionych janowców i rzadkiej trawy.

Pewną osłonę zapewniały żołnierzom paprocie porastające sterty otoczek. W nocy trudno było rozstrzygnąć, czy te kamienie leżały tu, odkąd bogowie wyrzeźbili góry, czy też były ruinami jakiejś przedludzkiej budowli. Na skrajach przełęczy sterty kamieni ustępowały miejsca piargom, które przechodziły w doliny strumieni. Wydawało się, że osypiska głazów od wielkości pięści do rozmiarów wołu są całkiem nieprzejezdne dla koni i zdradliwe dla piechoty.

Dziwnie ciepły klimat nie pasował do tego katastroficznego krajobrazu. Nie wiał tu porywisty wiatr, a z wąwozów dolatywały jedynie leciutkie, aromatyczne powiewy. Conan wypatrzył miejsce, gdzie teren znowu opadał na południe. Nie było wątpliwości, że jest to samo siodło przełęczy i miejsce spotkania obu armii, miejsce zwycięgości tryumfu i kresu nadziei.

Z godziny na godzinę zwiadowcy przynosili coraz więcej wiadomości o sile i rozmieszczeniu nieprzyjaciela. Zaprowadzono Conana na skaliste urwisko, skąd rozpościerał się onieśmielający widok na nieprzyjacielskie namioty i ogniska wypełniające całą dolinę. Według wszelkich szacunków była to siła co najmniej dorównująca jego własnej, ponad dziesięć tysięcy pieszych i konnych.

Piękna zdobycz, osądził Conan w drodze powrotnej, gdyby tylko udało się ich zaskoczyć na tym nierównym terenie, ale nadzieja na zastawienie podobnej pułapki była nikła. Zwiadowcy dostrzegli już ubezpieczenia przeciwnika. Nie było wątpliwości, że ktoś właśnie teraz liczy Aquilończyków.

Cymmerianin poderwał się w siodle ostrzeżony nagłym lamentem nocnego ptaka wśród krzewów parowu. Jeden z Czarnych Smoków szarpnął za wodze i pocwałował, aby to zbadać.

Nie, Conan powrócił do rozmyślań, główne zadanie polegać będzie na unikaniu sideł, jakie przeciwnik może zastawić na moje wojska. Kothyjscy dowódcy byli sprytnymi taktykami, a jeśli sam przebiegły Armiro jest tutaj... wtedy bardzo trudno będzie odnieść zwycięstwo.

W każdym razie plan miażdżącego uderzenia w serce imperium przeciwnika wziął w łeb. Obrócono wniwecz projekt wyrwania berła i kraju z rąk młodego tyrana. Nie będzie żadnych błyskawicznych manewrów. Nie ma szans na zaskoczenie podzielonych sił kothyjskich i pobicie ich kolejno w serii starć toczonych przy przygniatającej własnej przewadze. Wszystko rozstrzygnie się w starciu mniej więcej równych sił na placu boju trudnym dla obu stron.

Decydujące będą wytrwałość i zajadłość. Straty muszą być duże, a pokonany

zmuszony będzie do koszmarnego odwrotu. Zwycięzca, jeśli zechce, zdoła go zaszczyć na śmierć. Klęska mogła być tylko druzgocąca, a zwycięstwo warte i kosztowne.

Tu zatem miało dopełnić się przeznaczenie. To właśnie będzie decydująca bitwa, do której sny i legendy przygotowywały Conana przez wszystkie dni jego życia. Został wybrany do tego, by poprowadzić wojska największego imperium Hyborii na spotkanie armii imperium drugiego co do wielkości i rozstrzygnąć losy świata. Sława otoczy jego imię, niezależnie od tego, czy zwycięży czy przegra, przeżyje czy zginie. To był wspaniały los dla wojownika, cel jego najgłębszych, najbardziej upartych tęsknot. Dlaczego miałyby unikać takiej przyszłości? Myśl o tym sprawiała, że Cymmerianin zmarszczył brwi i gniewnie rozdał nozdrza.

Pojawiało się jednak trudne pytanie: co wojska Armira robią w tym miejscu? Jeśli młody książę zamierzał uderzyć w czułe miejsce Conana, to dlaczego maszerował na wschodni kraniec imperium? Czy zamierzał połączyć się z Koryntią i Brythunią? Conan nie wyobrażał sobie, żeby Koryntiańczycy przejawiali większą chęć wpuszczenia na swe terytorium wojsk kothyjskich niż aquilońskich. Uderzenie w miękkie podbrzusze Aquilonii poprzez Argos było bardziej zgodne z podstępny charakterem książątka, ale tutaj...? To nie miało sensu, chyba że krył się za tym jakiś przebiegły zamiar, a to dawało stronie Armira jakąś tajemniczą przewagę.

Po drugie, co stanie się z Aquilonią po bitwie? Imperium pokonanego zostałyby stracone, ale padłoby raczej łupem żarłocznych sąsiadów i wewnętrznych buntów niż zwycięzcy. Ten dysponujący osłabioną i rozproszoną w górach Karpash armią mógłby łatwo podzielić los pokonanego. Conan pomyślał o Zenobii i Connie i stawka tej bitwy wydała mu się niepokojąco wysoka.

W tę myśl wplotło się wspomnienie snu, który obudził go tego wieczoru. Wiedział, że w snach jest wiele prawdy, niezależnie od tego, czy są one przesłaniem bogów, czy też ich źródłem jest najgłębsza mądrość samego człowieka. W rezultacie Cymmerianin był mniej butny niż dzień wcześniej i bardziej skłonny do ostrożnego postępowania.

Konny gwardzista wrócił z wozu. Za nim jechał klusem bossoński zwiadowca na lżejszym koniu.

– Panie, ten człowiek wraca z potyczki z nieprzyjacielskimi zwiadowcami – zawołał Czarny Smok. – Mówi, że jego towarzysza zabito, a Kothyjczycy uciekli – zwiadowca na znak potwierdzenia podjechał bliżej i pokazał ranę na skroni.

– Na Croma – zaklął się Conan. – Niech wraca do obozu razem ze mną! Jest wiele do zrobienia. Trzeba rozwinąć wojska przed wschodem słońca.

Kiedy światło brzasku padło na obóz aquiloński, nie płonęło już w nim żadne ognisko. Nikt nie spał, panowała znojna krzątanina. Rozbrzmiewał szcęk broni, podkowy biły o kamienie, słychać było ostre głosy oficerów. Wobec nadchodzącej bitwy porzucono wszelką myśl o odpoczynku. Dowódcy przechadzali się i dyskutowali w namiocie Conana. Na chwilę przerwali rozmowę, żeby wysłuchać raportu i wydać nowe rozkazy, a potem wrócili do dyskusji:

– Nieprzyjaciel ustawia się podobnie jak my – mówił Prospero. – Możemy w każdej chwili spodziewać się ataku, ale bardziej prawdopodobne, że spotkamy się z nieruchomą obroną – stał z rękami zatkniętymi za pas, a jego twarz ginęła w mroku. – Na tym nierównym terenie atak jazdy byłby samobójstwem.

– Ale pamiętaj, że to oni bronią drogi do Ophiru i Koth – zagrzemiał w odpowiedzi Conan. – My jesteśmy najeźdźcami! Jeśli nie dojdzie do walki, to oni wygraą – król, choć wyraźnie był w nie najlepszym nastroju, starał się panować nad głosem i zachować spokój. – Moim zdaniem, jeśli uderzymy o świcie, zanim ich wojska ostatecznie zajmą pozycje, możemy zmusić ich do odwrotu, który zamieni się w ucieczkę.

– Ależ panie, ich armia nie jest bardziej rozproszona niż nasza – upierał się Prospero. – Poza tym nie trzeba całej armii, by bronić tej przełęczy! Wystarczy im garstka żołnierzy, a my w tak wąskim i nierównym terenie nie zdołamy wprowadzić do walki całości naszych sił. – Poitańczyk pokręcił głową z rozdrażnieniem. – Nie mamy przewagi szybkości ani liczebnej, nie ma też skrzydła ani słabego miejsca, które moglibyśmy wykorzystać. Ci, którzy zaatakują, okażą się głupcami i lepiej, żeby to byli Kothyjczycy.

Conan zwlekał z repliką, a dźwięk lutni z kąta poprzedził wypowiedź błazna Delvyna.

– Pozwolę sobie zauważyć, o Królu Zdobywcu Zamków, że spory nie leżą w twoim zwyczaju – rozbrzmiał jego aksamitny głos. – To, że zechciałeś się spierać, mówi

mi, że ty również nie uważasz ataku za mądre posunięcie.

– Prawda, prawda – zamruczał powoli król. Rad, że może przerwać tę rozmowę, obrócił się, by wysłuchać raportu świeżo przybyłego kapitana jazdy.

– Panie, pewien zwiadowca donosi, że w obozie kothyjskim jest królewski pawilon i oddziały książęcej gwardii przybocznej – meldował kapitan. – Zwiadowca uważa, że świadczy to o obecności samego Armira.

– Doskonale! – ucieszył się Conan. – A co wiesz o ruchach przeciwnika?

– Panie, ich pierwsza linia wchodzi na przełęcz, w niektórych miejscach znajduje się o sto kroków od naszej. Starają się zająć miejsca osłonięte i wzniesienia tam, gdzie to możliwe, ale nie wchodzi na otwarty szlak ani nie zajęli tej świątyni w centrum.

– Świątynia? – zainteresował się Conan. – Jaka świątynia?

– Myślałem, że powiedziano ci o tym, wasza wysokość. W tym zagłębieniu terenu na środku przełęczy są pozostałości jakiejś starożytnej budowli. Nasi ludzie dostrzegli je o brzasku. To tylko zwalone kolumny i płyty, panie, nic, co nadawałoby się do obrony. Kothyjczycy, podobnie jak my, uznali to miejsce za zbyt wysunięte.

– Dobrze – powiedział król. – Wyślij tam kilku zwiadowców, poza tym trzymaj nasze wojska z dala od tego miejsca. – Poklepał oficera po białym naramienniku. – I czekaj w gotowości na rozkazy, Eurakusie! Możesz odejść.

Kiedy kapitan wyszedł, Conan odwrócił się w stronę swych rozmówców.

– O Cromie – zaklął – czy musieli postawić pogańską świątynię w samym środku pola bitwy? Śniła mi się wczoraj świątynia! Takie rzeczy niepokoją wojsko, a i dowódcę przyprawiają o dreszcz!

Delvyn powiódł palcami po strunach lutni, dobywając z nich kilka nut.

– Zapewne to z powodu nękających nas ostatnio snów – zauważył.

– Raczej z powodu moich licznych i okropnych doświadczeń z nawiedzonymi świątyniami – odparł Conan. – Mniejsza o to, masz rację, Prospero – skinał głową przyjacielowi. – Nie uderzymy o ściany, tylko poczekamy i zobaczymy, czy zrobi to Armiro. Przez ten czas reszta naszych wojsk zajmie pozycje.

– Doskonale, wasza wysokość – przytaknął Poitańczyk. – Cierpliwość może zatryumfować tam, gdzie porywczność na nic się nie zda.

– W istocie – powiedział król. – Może potem uda mi się sprowokować tego młodzieniaszka Armira do czegoś nierozważnego. Ale teraz musimy tylko czekać i spokojnie zjeść śniadanie. Gdzie jest Amlunia?

Prospero lekceważąco wzruszył ramionami.

– Może zdrzemnęła się w swoim namiocie, panie?

– Nie. – Conan wyrzwał z namiotu i zamienił kilka słów z jednym ze strażników.

– Nie ma jej tutaj.

Karzeł poruszył się na ławie, na której siedział ze skrzyżowanymi nogami.

– Czy nie znalazła cię dotąd, Królu Przebijaczu? – zapiszczał. – Pojechała dołączyć do ciebie w czasie zwiadu. Myślałem, że zostawiłeś ją gdzieś, żeby odpoczęła.

– Na Cromie! – zawołał Conan. – Powiadasz zatem, że nie widziano jej od wschodu księżyca?

– Mógłbyś, panie, posłać jakiegoś giermka, by ją odnalazł – zauważył Prospero.

– Nie – warknął zirytowany Conan. – Chodź, Delvynie, ty będziesz moim giermkiem i sami jej poszukamy. Śniadanie może poczekać.

Błazen poderwał się i ruszył do swego kuca, który osiodłany stał przy koniu Conana.

– Mądry pomysł, mój królu! Tylko czy uda się zachować pozory, gdybyśmy znaleźli ją w chwili, gdy będzie gwałcić jakiegoś bezbronno piechura...

– Wasza wysokość nie odchodzi chyba na długo? – spytał Prospero. – Na wypadek ataku...

– W razie ataku, przyjacielu, wiesz, co masz robić i wie to każdy aquiloński miecz – rzekł Conan z końskiego grzbietu. – Jeśli będziecie mnie potrzebowali, szukajcie mnie tam, gdzie trup będzie słać się najgęściej.

19. SĄD

O świcie, bladym za sprawą mgieł podnoszących się między szczytami, król i jego karzeł okrążyli niespokojny, na wpół opuszczony obóz i ruszyli w stronę

linii wojsk. Po drodze mijali ostatnich żołnierzy, którzy zdołali na pole bitwy, w marszu pożywiać się sucharami i suszonym mięsem.

Odpowiedzi na pytania, które raz po raz zadawali, wskazały im kierunek. Amlunia, prowokująca królewska faworyta, gdziekolwiek się ruszyła, była obiektem pilnej obserwacji. Jakiś młodszy oficer oznajmił, że widział ją w centrum szyku. Gdy tam dotarli, bossoński kapral zaprowadził ich za stertę głazów, gdzie siedziała jego kompania zajęta ostrzeniem swych toporów o szerokie ostrzach. Tu przykucnięta kobieta, z wyglądu półkrwi Piktyjka, bez słowa wskazała w stronę ziemi niczyjej.

Tam król i karzeł dostrzegli pięknego rumaka, którego Conan podarował Amlunii. Pasł się spokojnie wśród ruin świątyni.

Wołanie mogło tylko sprowokować reakcję przeciwnika, który według meldunków znajdował się kilkadziesiąt kroków dalej. Gdyby sprowadzili oddział jazdy, mogłaby wywiązać się mała wojna o Amlunię. Conan nie chciał w ten sposób prowokować wroga, przynajmniej jeszcze nie teraz. Tak więc wraz z Delvynem spięli wierzchowce ostrogami i bez eskorty ruszyli na ziemię niczyją.

Kiedy tak zjeżdżali po osnutej mgiełką łące, otoczyły ich z wolna zarośnięte wilgotną trawą stoki zasłaniające sylwetki zimnych, nagich szczytów gór Karpash. Przed nimi wznosiły się coraz wyższe i bardziej majestatyczne kamienne kolumny, starożytne, ale nie nadgryzione zębem czasu. Podkowy koni zastukały o płyty starodawnego dziedzińca. Poranne mgły skupiły się w obłoczki i wzniosły odsłaniając linię wojsk za nimi.

Wreszcie miejsce to przybrało niepokojąco znajomy wygląd przywodzący na myśl senne widzenia. Oto stał przed Cymmerianinem tak często oglądany we śnie rząd kolumn i belkowań otaczających szerokim kręgiem obmurowaną sadzawkę pełną lśniącej czerni, której fale rozchodziły się miarowo. Conan nie stapał nigdy po tym starożytnym dziedzińcu, ale śnił o nim. Kiedy dostrzegł nienaturalne poruszenie czarnej cieczy, ogarnęły go lęk i zdumienie.

Amlunia stała niedaleko swego wierzchowca. Opierała się plecami o jedną z niskich kolumn, broń miała w pochwach, a nagie ramiona skrzyżowane na piersi. Kiedy Conan i Delvyn zsiadli z koni, przerwała kontemplację fal w sadzawce i odwróciła się, żeby ich powitać.

– Nareszcie przybyłeś! Nie wiem, co mnie tu przywiodło, ale czułam, że pojedziesz za mną. W tym miejscu jest coś... przejmującego, nie dostrzegasz tego, Conanie? – podeszła kocim krokiem do króla, położyła mu na ramieniu rękę okrytą czarną rękawiczką i popatrzyła uwodzicielsko.

Jej umizgi zakłócił łoskot kopyt dobiegający z przeciwnej strony dziedzińca. Spomiędzy kolumn wyłonił się samotny wojownik w błyszczącym napierśniku. Dosiadał konia – wspaniałego rumaka, starannie wypielęgnowanego i z królewskim rzędem. Conan natychmiast rozpoznał tego człowieka.

– Armiro! – miecz sam znalazł się w ręku króla, kiedy tylko powiedział te słowa. – Przywołaj swoich ludzi, książatko! Jestem gotów! – omiótł spojrzeniem dziedziniec w poszukiwaniu śladów pułapki. – Czy czarowanie to jedna z twoich sztuczek?

Otoczające ich kolumny nie mogły jednak kryć za sobą żadnych ludzi. Na wyzwanie króla odpowiedziała głucha cisza.

Armiro zeskoczył z konia i oparł dłoń na rękojeści miecza, ale go nie wyciągnął.

– Ach, to Conan, mój porywczy wróg! – książę zrobił parę kroków naprzód i zatrzymał się po drugiej stronie basenu. – Jeśli, jak twierdzi twoja ładacznica, istotnie nie wiesz, dlaczego się tu znalazłeś, to masz w sobie więcej zuchwalstwa i tępoty, niż ci dotąd przypisywałem.

– A cóż to powinienem wiedzieć, szczeniaku? Dlaczego się tu znalazłem? – Conan ruszył naprzód z wzniesioną głownią, ciągnąc za sobą Delvyna, który namawiał Cymmerianina do zachowania spokoju. Tymczasem, jakby w odpowiedzi na pytanie króla, mroczna sadzawka zafalowała i zabulgotała żywiej. Bulgoty złożyły się nagle w płaszczący głos. To niezwykle zjawisko powstrzymało ruch władcy Aquilonii.

– Witajcie, śmiertelni! Ja, Kthantos, udzielam boskiego pozdrowienia dwóm najlepszym wojownikom ludzkiej rasy! – kiedy głos przemówił, w misach i brązowych koszach wokół dziedzińca zabłysły płomienie. Nie rozpalała ich żadna widzialna ręka. Tłuste, żółte płomienie przyćmiły światło dnia. Conan zdziwił się widząc, że poranna bladeść nieba ustępuje miejsca głębokiemu granatowi nocy. – Moją boską władzą przyprowadziłem tutaj was obu, by wybrać jednego z was,

który jako jedyny pan będzie rządził moją ziemską dziedziną.

– A cóż to za diabelstwo?! – krzyknął Conan spoglądając na swych przyjaciół, aby się upewnić, czy słyszeli to samo co on. – Armiro, wiedziałem, że jesteś plugawym mordercą i łotrem! Ale teraz odkrywam, że jesteś również tchórzliwym czarodziejem, który wzywa na pomoc bulgoczącego demona – ruszył śmiało naprzód ignorując zawartość basenu. – To nie po męsku, ale tego się po tobie spodziewałem...

– Dostyc gadania, barbarzyńco! – Armiro mimo woli odskoczył do tyłu. – Sam mam niskie mniemanie o demonach i czarnoksiężnikach, ale to nie jest jakiś nędzny chochlik. Kthantos jest bogiem...

– Dokładnie tak. Bogiem! – rozbrzmiał głos Kthantosa i z basenu wyłoniła się czarna ręka szkieletu dzierżąca wygięty oszczep. Zamachnęła się i cisnęła broń w górę.

W połowie lotu oszczep zmienił się w postrzępioną błyskawicę, która z przenikliwym trzaskiem uderzyła w najbliższą kolumnę. Kamień rozszczępił się z łoskotem wzdłuż, a niebieskie płomyczki opłotły go niczym świetliste gałązki winorośli. Po chwili zgasły. Powietrze wypełnił zapach przypalonego granitu.

– To mały pokaz mojej siły, która zwielokrotnia się z godziny na godzinę – głos Kthantosa przycichł nieco, a sztorm na sadzawce zmienił się w równomierne falowanie. – Pozostawię tę rozszczępioną kolumnę jako napomnienie dla was, abyście mogli dostrzec zalety wiary we mnie i karę, jaka grozi za jej brak.

Conan otrząsnął z siebie lęk i znów uniósł miecz. Tym razem skierował go w stronę basenu.

– Zabijałem już bogów – rzucił wyzwanie. – Dlaczegoż miałbym sprzymierzać się z takim, którego łajdak Armiro uważa za swego sojusznika?

– Nie za sojusznika, tylko za najwyższego arbitra – odparł głos Kthantosa z środka sadzawki. – Tylko jeden z was opuści to miejsce. Ten jeden, który będzie więcej wart, zostanie obdarzony przywilejem odnowienia kultu oddawanego mi przez śmiertelnych jako jedynemu bogu na ziemi.

– Jeden z nas wybrany w pojedynku, jak rozumiem. – Conan pokiwał głową. – Dobrze, chętnie skrzyżuję broń ze swym przeciwnikiem! Jednak ja spotkałem się już z tym łotrem w walce na miecze – oznajmił twardo. – Pokonałem go jak mężczyzna mężczyznę, i on o tym wie. Jestem lepszym wojownikiem, czy więc stawiliby mi czoło tak śmiało, gdyby nie miał jakiejś nieuczciwej przewagi, takiej jak wcześniejsze porozumienie z sędzią, czyli z tobą? – Conan zmarszczył brew. – Armiro wyraźnie więcej ode mnie wie o rozmaitych nikczemnych sztuczkach.

– Conanie, Królu Łamaczu Szczęk, boski Kthantos z nikim nie dobija targu – zabrzmiał z tyłu piskliwy głos Delvyna. – Szuka tylko najlepszego władcy, który odnowiłby jego kult – karzeł Delvyn stanął u boku króla i spojrzał nań uroczyście. – Aleja będę ci sekundować w każdej próbie, ramion czy armii. O królu, jesteś największym wojownikiem i monarchą, jakiego zna ludzkość.

– Delvynie, więc ty także bierziesz udział w tym wszystkim! – Conan spojrzał na błazna z błyskiem nagłego zrozumienia. – Podobnie jak Amlunia, bo ona mnie tu zwabiła – zerknął przez ramię na nierządnicę, która odwzajemniła mu się zagadkowym uśmiechem. – Powinienem był pojąć, że niczym para wołów ciągniecie nędzny wózek mych ambicji.

– Nie, panie, jestem tylko błaznem, jedynie tłem twej wielkości, niczym więcej – karzeł spojrzał na Conana przekonująco i szczerze. – Ale wiedz, Królu Niszczycielu, że poniósłbyś wielką stratę, gdybyś teraz zabił Armira z Koth, a potem twe legiony musiałyby tracić siły na walkę z jego wojskami – z zapałem wskazał na księcia, który słuchał cierpliwie. – Tu, w tej starożytnej świątyni, spotkali się dwaj królowie i dwie wielkie armie, których połączone siły zdolne są urzeczywistnić najśmielsze marzenia o podbojach każdego z obu władców. To, czego nam trzeba, to umowa między wami, dwoma monarchami – kontynuował karzeł. – Porozumienie głoszące, że ktokolwiek wygra w tym pojedynku, a będziesz to ty, Conanie, nikt w to nie wątpi – dodał ściszym głosem. – Ktokolwiek wygra, obie armie połączą się pod dowództwem zwycięzcy. Co więcej, oba imperia, kothyjskie i aquilońskie, muszą ugiąć się przed wolą zwycięzcy. – Delvyn powiódł poważnym spojrzeniem od jednego króla do drugiego. – W waszej mocy leży wydać takie postanowienie i zdobyć dla niego posłuch. Pamiętajcie, że pozwoli to temu, co przeżyje, zjednoczyć wszystkich ludzi i położyć kres drobnym wojenkom. Cel każdego wielkiego zdobywcy, przynieść światu pokój, leży dziś tu, w zasięgu ręki! Ale żeby go osiągnąć, musicie zaryzykować wszystko!

– Zaryzykować, tak – odparł Conan, namyślając się. – Nieobce mi są zakłady.

Ale najpierw trzeba wezwać niższych rangą dowódców z obydwu stron, żeby wysłuchali warunków i byli świadkami walki. A czy oni potem dotrzymają umowy, cóż, jeśli ten bożek pokaże swą siłę, to mogą dotrzymać. – Z powątpiewaniem pokręcił głową. Opuścił czubek miecza na błyszcząca płytę dziedzińca i spojrzał na Armira. – Nawet jeśli tak, to nie mogę powiedzieć, że podoba mi się stawka. Ten pojedynek albo odda świat we władanie smarkatego księżątka, albo mnie odda pod władzę mieszkającego w kałuży bulgoczącego niby-bożka! A jeśli chcecie znać moje zdanie, to niewielki jest wybór między matkobójcą a demonem.

– Matkobójca! – na to słowo Armiro wybuchnął gniewem. – Pięknie, że oszczerstwo dobywa się z twoich ust, zabójco mojej matki! Cofnij to kłamstwo... – miecz księcia wyskoczył z drogocennej pochwy. – Wytnę dziurę w twym czarnym sercu, żeby pochować w niej na wieki wszystkie armie i przeklęte imperia!

– Dlaczego miałbym okłamywać syna kłamstwa? – odburknął Conan. – Pozuj jak chcesz, wściekaj się jak umiesz, ale i tak wszyscy wiedzą, że to ty zrzuciłeś szlachetną Yasmelę z wieży jej więzienia! – wzniósłszy miecz, zrobił groźny krok w stronę przeciwnika. – Jej miłość do ciebie była wielka, ale nawet wzgląd na jej pamięć nie powstrzyma mnie przed zgotowaniem ci losu należącego wyrodnemu synowi!

– Kłamca! Łotr! – Armiro również ruszył naprzód, ale zatrzymał się gwałtownie i cofnął na miejsce. – Spokojnie, królu barbarzyńco, nie sprowokujesz mnie, dopóki stawka nie będzie znana! Będę miał twoją twardą, włochatą skórę, a wraz z nią wszelkie twoje posiadłości! Co powiesz na propozycję karła?

– Prawda – odburknął Conan. – Nie będę walczył, dopóki los mego imperium nie będzie zabezpieczony tak, by nie wykradziono go zdradą! – Ponownie opuścił miecz i spojrzał na Delvy – na oraz na chlupoczącą sadzawkę. – Jak na razie nie podobają mi się warunki walki ani osoba naszego samozwańczego arbitra.

Kiedy to mówił zmieniając ton z wściekłego na zgryźliwy, jego spojrzenie powędrowało ku niebu. Wydawało się, że odkąd tu przybyli, niebiosy robiły się coraz ciemniejsze. Za mgłą snującą się nad kolumnami uniosła się teraz jakaś kula zbyt blada, by wziąć ją za słońce. Nieco z boku połyskiwało drugie, jeszcze bledsze ciało niebieskie, zbyt małe jak na księżyc. Cymmerianin spojrzał w dół i stwierdził, że żadne z tych ciał nie odbija się na powierzchni czarnej sadzawki. Conan zadrżał z lęku i ponownie zwrócił się ku ciemnej wodzie.

– Nie wiem co to za miejsce, Kthantosie, ale sądzę, że bliższe jest piekła niż nieba. Nie wiem nic o tobie ani o twojej wierze. Widziałem twą moc niszczenia, przynajmniej częściowo, i zrzeczność z jaką posługujesz się przynętami i groźbami, ale pytam, jaka jest twoja moc czynienia dobra? – Rozejrzał się podejrzliwie po innych obecnych tu istotach ludzkich. – I proszę, powiedz, jaki jest twój prawdziwy wygląd? Jaki kształt przybierasz, kiedy wyłaniasz się z tego czarnego bagna?

– Prawdziwi bogowie, w odróżnieniu od nędznych demonów, niechętnie ukazują się śmiertelnikom – zabulgotał w odpowiedzi Kthantos. – Ty, o królu, jako wyznawca skromnych północnych bóstw, powinieneś to wiedzieć. Najlepiej by było, gdyby ta kwestia pozostała sprawą doskonałej wiary – chlupotanie bąbli stało się spokojne i równe. – Dlatego uważam za stosowne pozostać w moim stawie. Bardzo rzadko go opuszczam. Ale moje moce, jak się przekonasz, są prawie nieograniczone, zarówno dla dobra, jak i dla zła, tyle mogę powiedzieć, jeśli upierasz się przy mniemaniu, że postęпки boga można ocenić za pomocą tych osobliwych pojęć – powierzchnia sadzawki zatrzęsała się na kształt śmiechu. – Mogę kierować istotami śmiertelnymi poprzez sny, jak sam się przekonałeś. Moja władza nad umysłami ludzi stanie się z czasem zupełna. Za pomocą subtelnych środków już teraz mogę zmieniać bieg historii, świadczy o tym ten epokowy bóg, na który zwołałem was tutaj... – bulgotanie zakipiało na chwilę na znak samozadowolenia, potem mówiło dalej: – Muszę dodać, że energia i zdolności moich uczniów są nieograniczone... jakkolwiek karłowate są ich doczesne kształty. – W tym momencie karzeł Delvyn znieruchomiał i nie zdradził się słowem ani spojrzeniem, choć Amlunia wybuchła hałaśliwym śmiechem. – Poza tym mam swoich wysłańców, przedłużenie moich rąk, i mogę ich wysyłać na wędrowki po całej ziemi. Jak widzisz, śmiertelniku, bóg nie jest elfem ani goblinem mającym do dyspozycji jedną sztuczkę. Bogu nie sposób się przeciwstawić.

– To, co powiada potężny Kthantos, jest prawdą, zwłaszcza to, co odnosi się do jego uczniów – ze skraju dziedzińca zabrzmiał nagle głos Amlunii. Ladacznica ruszyła śmiało naprzód, minęła Delvyna i znalazła się między Conanem i Armiro. – Długo siedziałam tu dziś rano obcując z istotą boską. Potem, kiedy usłyszałam,

jak święty przemawia, jego słowa trafiły do najgłębszego rdzenia mego jestestwa. Ujrzałam prawdę i oto ogłaszam się uczennicą Kthantosa! Wierną na wieki! – w jej słowach zabrzmiało pełne przekonanie. – By wesprzeć jego zamysły, zamierzam ofiarować się jako nagroda dla zwycięzcy tej walki – kontynuowała Amlunia. – Wiedz, książę Armiro, że mam liczne talenty – zwróciła się ku Khorajczykowi, oswobadzając się ze swego skórzanego stroju, by ukazać wszystkie kobiece wdzięki. – Jestem groźną wojowniczką i wyrafinowaną kurtyzaną. Na wypadek gdybyś zatryumfował, obiecuję, że moje zdolności nie zawiodą cię... w jakikolwiek sposób zechcesz je wykorzystać!

Armiro parsknął śmiechem.

– A co z twoim oddaniem dla srogiego Conana? Czy Kthantosowi i mnie będziesz bardziej wierna niż jemu?

Amlunia westchnęła i przesunęła dłońmi po biodrach.

– Prawdę mówiąc, znudziłam się Conanem. Zmęczona jestem jego bliznami i opowieściami o bitwach. W tobie, o książę, dostrzegam lepszego kochanka i lepszego szermierza sprawy Kthantosa – westchnęła powtórnie i przeniosła ciężar ciała na drugie biodro. – Nie ma znaczenia, że znam Conana i podoba mi się to, co robi. On jest niewolnikiem honorowych przesądów, nie sądzę, żeby kiedykolwiek uczynił mnie swą królową, przynajmniej póki żyje ta cnotliwa Zenobia! – Z niesmakiem pokręciła głową. – Świat potrzebuje władcy o wolnym duchu. W tym pojedynku, książę Armiro, moje nadzieje wiążą się z tobą.

Armiro tym razem roześmiał się serdecznie.

– Śmiało powiedziane, dziewczko! Nigdy nie gustowałem w takich jak ty, ale może nie jestem jeszcze zbyt stary, aby się do tego przyzwyczaić! Bądź pewna, że jeśli staniesz się moją nagrodą, zostaniesz wykorzystana stosownie i do końca.

– To nikczemna dezercja, Amlunio! – oświadczył Delvyn i zerknął na nieprzeniknione oblicze Conana. – Mój pan posmakuje zemsty za tę zniewagę, kiedy odniesie zwycięstwo! Ale w tej chwili możesz się przydać – głos karła uspokoił się. – Możesz teraz jechać do obozu księcia Armira, żeby wezwać jego dowódców na świadków naszej umowy, podczas gdy ja, za pozwoleniem mego pana, sprowadzę sekundantów króla Conana. Proponuję, Amlunio, żebyś wzięła konia księcia. Dzięki temu jego strażę szybciej uwierzą w twoje słowa – karzeł odwrócił się i ruszył do swego kucyka. – Niech rozstrzygną się losy obu zdobywców – rzucił przez ramię. – Cokolwiek się stanie, los świata jest przesądzony.

– Poczekaj, człowieczku, nie sądzę...

Słowa Conana przerwał stukot kopyt i łomot skołatanych podróża kół. Wszyscy śmiertelnicy odwrócili się i zobaczyli, że w ich stronę pędzi lekki dwukołowy rydwan, pokiereszowany i oblepiony błotem. Eskortowali go aquilońscy jeźdźcy w pełnych zbrojach. Był wśród nich Prospero w ciemnoniebieskim płaszczu, byli inni wyżsi oficerowie i ku zaskoczeniu Conana także kanclerz Publiusz z brodą poszarzałą od kurzu.

Rydwan wtoczył się na płyty dziedzińca i zatrzymał. Kiedy Conan zobaczył jego pasażerów, osłupiał. Za półmartwym ze zmęczenia woźnicą klęczała Zenobia, królowa Aquilonii, pochylona nad leżącą twarzą w dół postacią spowitą w czarny płaszcz.

Wokół rydwanu osadziło wierzchowce pół tuzina Czarnych Smoków. Ich stroje były zabłocone i podarte po długiej, ciężkiej podróży. Zsiadli z koni i przyklękli na jedno kolano, by oddać hołd królowi.

– Panie, twa królewska małżonka przynosi ci pilne wiadomości! – krzyknął Prospero i zaniepokojony rozejrzał się po otoczeniu. – Nie wiem, jaki mroczny czar wisi nad tym miejscem i dlaczego nie dociera tu światło poranka, ale dziękuję Mitrze, żeśmy cię odnaleźliśmy!

– Tak, panie, to sprawa najwyższej wagi – dodał Publiusz, z trudem łapiąc dech na swym siodle.

Conan podszedł do nich odwracając się plecami do Armira, mrocznego basenu i jego tajemniczego mieszkańca. Wskoczył na rydwan i serdecznie uściskał Zenobię. Ona wydała cichy okrzyk, a łzy radości zmieszały się z kurzem drogi na jej twarzy. Szybko wyrwała się z objęć króla i zawołała:

– Conanie, mój mężu, galopowaliśmy przez całą drogę z Tarancji, zajeżdżiliśmy tuzin koni, żebyś mógł usłyszeć prawdę – popatrzyła nań zaczerwienionymi z udręki oczami. – Usłysz ją nie z moich, ale z jej ust! – oznajmiła wskazując spowitą w płaszcz postać leżącą na dnie rydwanu.

Była to stara kobieta, Conan dostrzegł to, kiedy się podniosła. Jej rysy wydały mu się dziwnie znajome, choć jedną stronę twarzy szpeciła szkaradna

blizna. Sądząc po dłoni, która wyciągnęła się do Cymmerianina, kobieta nie była jednak tak stara, na jaką wyglądała.

Głos, jaki dobył się z jej ust, brzmiał mocno, choć źle akcentował słowa.

– Ta prawda przeznaczona jest również dla Armira.

Zaintrygowany Conan zerknął na Zenobię, a ona spojrzała mu prosto w oczy i skinęła głową. Wzruszył ramionami i obejrzał się na Khorajczyka. Książę śledził bieg wypadków z bezpiecznej odległości, czekając obok zdumionego Delvyna i Amlunii.

– Książątko, podejdź tu! Powiadają mi, że te wieści przeznaczone są dla nas obu – zawołał król.

Armiro położył dłoń na rękojeści miecza i podejrzliwie przypatrzył się grupie Aquilończyków.

– Nie wpadam tak łatwo w pułapki! – oświadczył ponuro.

Conan niecierpliwie szarpnął głową.

– Moje słowo ma swoją wartość, w przeciwieństwie do twego, łotrze! – zwrócił do oficerów i gwardzistów. – Słuchajcie wszyscy! Niniejszym rozkazuję wam nie czynić nic przeciw księciu Armiro, kiedy znajdzie się wśród nas – odwrócił się do Khorajczyka. – Teraz mi wierzysz?

Po chwili wahania Armiro ruszył naprzód. Kiedy podszedł dostatecznie blisko, by dojrzeć twarz leżącej kobiety, przyśpieszył kroku.

– To Vatesa, pokojówka mej matki! – wykrzyknął. – Przypadkowa ofiara walki z aquilońską zdradą – ukląkł obok kobiety.

– Tak, to ona, służąca Yasmeli! – zdziwił się Conan. – Vateso, myślałem, że nie żyjesz!

Król pochylił się nad nią z szacunkiem, podobnie jak książę Armiro, który troskliwie ścisnął jej rękę. Nie musieli zresztą aż tak się zbliżyć, ponieważ szorstki, urywany głos Vatesy rozszedł się po dziedzińcu wyraźnym echem.

– Moja pani umarła nie powiedziawszy tego, ale ja muszę powiedzieć, nim zejde z tego świata – odruchowo ścisnęła rękę młodego księcia. – Armiro, słuchaj uważnie, Conan jest twoim ojcem! – zamglone łzami spojrzenie spoczęło na królu. – Conanie, Armiro to twój syn!

Wszyscy obecni odczuli wstrząs, jakiego doznali obaj mężczyźni. Był on silniejszy niż zaklęcie czarownika z trzeciego kręgu Seta. Jednak z początku obaj nie okazali żadnych emocji. Przez chwilę wpatrywali się w twarz kobiety, a potem zwrócili stężale oblicza ku sobie nawzajem. Ich spojrzenia spotkały się.

– Armiro, czy to możliwe...? – wydyszał Conan.

– Cóż, tak musi być – wyszeptał Armiro ze zdumieniem. – Na Erlika, byłem nieszczęsnym głupcem! – potrząsnął głową w bolesnym olśnieniu, ale nie odrywał wzroku od oczu Conana. – Przeprowadziłem śledztwo na dworze Khoraji, bez skutku, a teraz w końcu... – powoli podniósł się na nogi, nie spuszczał wzroku z twarzy Conana. – Teraz w końcu mogę cię zabić! – jego miecz, błyskawicznie wyrwany z pochwy, opadł na głowę Conana.

Żaden miecz nie wzniósł się, by odparować spadającą głownię. Momentalny unik ocalił Conana od ciosu stali, która zabrzączała tuż za nim. O szerokość ucha klinga minęła głowę Cymmerianina i pograżyła się z trzaskiem w drewnianej poręczy rydwanu. Zwłoka, która nastąpiła w chwili, gdy Armiro uwalniał swą broń, pozwoliła królowi zerwać się na nogi i dobyć własnego miecza. Chwilę później obaj walczący oddalili się od rydwanu, tupiąc i wirując wokół dziedzińca otoczeni rozpętaną ich dłońmi burzą błyszczącej i dzwoniącej stali.

Nikt im nie przeszkodził – żołnierze pamiętali o rozkazie króla i ufali jego umiejętnościom. Zenobia pokonana zmęczeniem i grozą widowiska osunęła się bezsilnie na platformę rydwanu. Stamtąd obserwowała walkę wsparta na ramieniu Publiusza. Za nią leżała bez czucia Vatesa, szczęśliwie nieświadoma furii, jaką spowodowały jej słowa.

Amlunia natomiast skakała z podniecenia, gwizdami i okrzykami nagradzając najlepsze ciosy księcia. Jej zapał równoważył Delvyn, który krzykami zachęty komentował uderzenia króla.

Conan musiał odpierać srogie natarcie. Poprzednim razem, w sypialni Yasmeli, książę walczył z umiarkowanym zapałem, opierając się na wyrachowaniu i wprawie. Teraz ogarnięty szałem Armiro bił się z dziką brawurą, co czyniło go znacznie groźniejszym. Nieustraszenie rzucił się na króla, zadał grzmiący cios w połączoną zbroję, potem poprawił zajadłym pchnięciem, w okamgnieniu wymierzył potężne cięcie w pancerny fartuch Cymmerianina, co sprawiło, że rośniejszy przeciwnik zatoczył się. Armiro wykorzystał to i obróciwszy się wokół własnej

osi, z szerokiego rozmachu smagnął głownią krzesząc iskry z krawędzi królewskiego naramiennika, o cal od tętnicy Conana. Po tuzinie takich ciosów Conan zrozumiał, że zmuszony jest ustępować pola, oszczędzać siły i czekać na okazję, która jak się wydawało, mogła się nigdy nie zdarzyć.

Na domiar złego wcale nie chciał zabić Armira. Nie miał wątpliwości, że ten chłopak jest jego synem. Instynkt starszy niż honor i panowanie, sięgający korzeniami jego cymmeriańskiego dziedzictwa, mówił mu, że nie potrafiłby zabić swego dziecka. Mógł tylko wytrącić mu broń z ręki, obezwładnić albo poświęcić własne życie. Niestety widział, że księżę zainteresowany jest wyłącznie tą trzecią możliwością.

– Armiro! Synu! – jęknął uskakując przed świszczącym cięciem. – Nie powinniśmy walczyć. Proponuję ci rozejm.

– Uwodziciel! Dzieciorób! – burknął księżę i ponowił atak. – Zaproponuj mi lepiej swój brzuch, żebym... – jego słowa zagłuszył brzęk miecza uderzającego w nagolennik króla i szczęk ostrza Conana odbijającego wysoko i w bok głownię księcia.

– Zdrajco! – dokończył bez tchu. – Zabiłeś moją matkę, teraz zbij mnie!

– Oskarżasz mnie fałszywie – król jeszcze raz ustąpił pola, chcąc być wysłuchany. – Nie zabiłem jej, przysięgam! Jeśli ty, chłopcze, możesz także to przysiąc, to nie ma powodu do zwady między nami.

– Nie ma powodu! – głos Armira przeszedł nagle w cienki skrzek. – Podły uciekinierze, ja jestem tym powodem! Co z twoją zdradą i tchórzliwą ucieczką? – na oślep zadał furiackie cięcie. – Dłaczego, łotrze, zostawiłeś mnie bez ojca, a moją matkę bez ochrony? Gdzie ty byłeś?

Conan sparował cios całą oba ramion. Wtedy po raz pierwszy dostrzegł, że klinga księcia zadrżała niezdecydowanie. Zerknął natwarz przeciwnika i spostrzegł, iż gniewne, sokole oczy Armira oślepiają strumienie łez. Na króla patrzyła wielka, bolesna otchłań niezrozumienia i żalu.

Conan wiedział, że takie uczucia są niebezpieczne i nie zaatakował, nie chcąc wykorzystywać słabości Armira. Zanim jednak rozległ się ponowny szczęk stali, w pobliżu wszczął się nowy hałas. Ciemna woda w basenie zakipiała i rozkołysała w coraz to większych kaskadach i bryzgach piany. O dziwo, spieniona czarna ciecz nie opryskała widzów. Pozostawała wewnątrz kamiennej obudowy sadzawki. Wielkie bąble przebiły się na powierzchnię i czknęły słowami boskiego rozkazu:

– Walczcie i zabijajcie! Bijcie i mordujcie! Wytężajcie siły, o wojownicy, albowiem zwycięzca zdobędzie świat, a wraz z nim moją łaskę! – Kiedy potężny głos zawodził tę litanię, z fal wyłoniła się długa kończyzna złożona z wielu połączonych ze sobą czarnych ludzkich kości ramieniowych i poczęła uderzać zardzewiałym mieczem o starożytną tarczę trzymaną wysoko przez drugą, podobną rękę. Tam gdzie skorodowany metal stykał się ze sobą, uderzenia powodowały rozbłyśki małych, jasnych błyskawic.

Nagły wrzask rozległ się wśród zbitych w gromadkę widzów. Obaj królewscy szermierze zwrócili oczy w tym kierunku.

Vatessa nie przestając krzyczeć podniosła się z rydwanu i pokuśtykała naprzód, pociągając za sobą zdumioną Zenobię i Publiusza tak szybko, na ile pozwalał jej chwiejny krok.

– Tu jest! – krzyczała. – Ten potwór, to zabiło moją panią! – Drżącą dłonią wskazała spiętrzoną fontannę Kthantosa i jego czarne ramiona. – To coś przyszło do nas tamtej nocy w tym właśnie płaszczu – szarpnęła swój własny, zbyt obszerny strój – i zabiło księżniczkę Yasmelę! Leżałam bliska śmierci, ale obudził mnie nocny koszmar, który stał się rzeczywistością! Sprawił, że wstałam i przejechałam pół świata...

Z ostatnim, żalonym tchnieniem Vatessa padła przed siebie na płyty dziedzińca. Wydawało się, że nie żyje, jak jej umiłowana pani. Zenobia zdjeta żalem uklękła nad jej ciałem i podniosła ku Conanowi twarz, na której malowała się rozpacz.

– To prawda, Conanie, to prawda! Kiedy dotarła do mnie, do Tarancji, biedna wędrowniczka opowiedziała mi o czymś ciemnym i niesamowitym, co przyszło do twierdzy, aby udusić jej panią! Yasmela zginęła próbując ucieczki – królowa spojrzała błagalnym wzrokiem na wojowników. – Ani Conan nie zabił Yasmeli, ani nie uczynił tego Armiro! – Wzniosła rękę wskazując sprawcę. – To ten stwór, to zło w basenie!

– Kłamstwo, wszystko to kłamstwo – oświadczył nagle Delvyn. Wymachując rękami stanął przed Zenobią zastygłą w oskarżycielskiej pozie. – To nieprawda, pani!

Błagam o wybaczenie, bo nie sędzę, żebyś pragnęła oszukać swego królewskiego małżonka. Te kłamstwa są dziełem szalonej służącej! Z pewnością Kthantos nie zabił Yasmeli! Nie wiem, kto to zrobił, ale nie on! On jest szlachetnym, szacownym bogiem, który nie postąpiłby tak podle. Oskarżać go to podle bluźnierstwo... – karzeł wysiłał się, by mówić z przekonaniem, ale wyglądał teraz bardziej komicznie niż kiedykolwiek podczas swych błazeństw. Wszyscy patrzyli nań podejrzliwie, dopóki bladolica Amlunia nie przerwała mu swym wybuchem.

– Zresztą jakie to ma znaczenie? – krzyknęła i dobywszy sztyletu machnęła nim nad głową. – Walczcie dalej, mówię wam! Walczymy o cały świat, nie o honor martwej kochanki! Naprzód, szermierze, bijcie i zabijajcie! Chcę zadać cios miłosierdzia pokonanemu i oddać się zwycięzcy!

– Tak, walczcie! – najgorętsze zachęty dobiegały z ożywionego basenu, którego fale stawały się coraz to gwałtowniejsze. – Te przerwy odwołują tylko załatwienie najważniejszej sprawy! Walczcie, zaklinam was, i wrzucicie ciało pokonanego do ofiarnego stawu! Kończcie szybko, jeśli nie chcecie, by mój boski gniew dosięgnął was wszystkich!

Nawoływania boskiej czkawki nie wywarły żadnego wpływu na wojowników. Wydawało się, że w ciągu kilku ostatnich chwil między królem i księciem nawiązała się nić niemego porozumienia. Teraz Conan zdecydowanym ruchem schował miecz do pochwy, a Armiro poszedł za jego przykładem. Księżę szepnął Conanowi jakieś słówko, a król przytaknął niemo i odwrócił się.

Obaj mężczyźni ruszyli w stronę najbliższego trójnoga stojącego o kilka kroków od krawędzi sadzawki. Stanęli po obu jego stronach i odzianymi w rękawice dłońmi chwycili brązowe pręty, po czym oderwali je od kamiennej podstawy. Zwróceniu ku sobie twarzami ponieśli trójnog na krawędź basenu i z rozmachem wrzucili do środka.

Płonące węgle po zetknięciu z ciemną cieczą spowodowały jej wrzenie, wzbijając pianę i kłęby pary. Z trzaskiem i sykiem trójnog pograżył się w basenie, a ku niebu wznosił się obłok szarych wyziewów.

Po tym ataku bełkotliwy głos odezwał się znowu, wyrażając nie ból, lecz wściekłość.

– Ach, to tak! Połączyliście się w buncie przeciwko mnie, waszemu panu! Głupcy, nie wiecie, jaki los sprowadzicie na siebie! Czy naprawdę chcecie spojrzeć w twarz Boga Żywego? – w miarę jak głos wychłapywał to z siebie, jego brzmienie stawało się niższe i mocniejsze. Grupa Aquilończyków obserwowała wydarzenia z niepewnością i lękiem. Ale ojciec i syn nie zwracali na to uwagi, zajęci nowym przedsięwzięciem.

Conan wraz z Armirem wdrapali się na szczyt sięgającego piersi muru i podeszli do przypalonej, rozszczepionej kolumny, której dosięgła błyskawica Kthantosa. Król zaparł się o nią opancerzonym barkiem, podczas gdy Armiro wyciągnął miecz i wsunął głównię w ciemną szparę u podstawy kolumny. Najpierw stopniowo poszerzał szczelinę odbijając kawałki pokruszonego marmuru, potem zaczął siec wściekle brzęcząca stałą kruchy kamień. Tymczasem Conan wyteżał się i napierał na monolit, usiłując ze zgrzytem zbroi przewrócić kolumnę do basenu.

Tymczasem tam odbywały się potworne narodziny. Jakiś kształt, który z początku przypominał sękaty pniak albo wielki turban, wyłonił się spod falującej powierzchni. Był połyskliwie czarny z cienkimi zielonkawymi żyłkami. Kształt rósł ciągle, aż uniósł się wyżej niż na wzrost człowieka, wspierając na grubej, giętkiej łodydze.

Wtedy ciasno zwinięte macki zaczęły się rozwijać. Przerażeni widzowie dostrzegli, że kształt ów był pięścią, która szybko rozłożyła się w dłoń, co prawda nieludzko powykręcana, ale podobną do dłoni olbrzyma.

Na opuszkach wszystkich pięciu palców rozwarły się powieki wielkich oczu. Jednocześnie na środku wklęsłej dłoni rozdziawiła się paszcza, okrągła i otoczona trójkątnymi zębami. Pulsacje tego otworu, dostatecznie wielkiego, aby pochłonąć człowieka w całości, sprawiały, że ohydna istota wyglądała na bardzo wygłodzoną.

Nie wiadomo, czy była to główna część boga Kthantosa ani jak wielka jego część czaiła się jeszcze pod powierzchnią. Pojawienie się potwora wywołało okrzyki przerażenia u widzów. Wystarczyło nawet, by przerazić gwardzistów, którzy zamarli w miejscu i dopiero po chwili ruszyli za Prospero, by pomóc królowi mocować się z kolumną.

W każdym razie dobiegli za późno... bo kolumna, rozkołysana wysiłkami króla i księcia, zaczęła się już chwiać. Ustała ze zgrzytem, nabierając rozpędu

odchylała się w stronę sadzawki. Tymczasem stwór wylaniający się z basenu odzyskał głos, który uderzył ich uszy swym pełnym brzmieniem, nie przytłumionym już atramentową cieczą.

– Heretycy! – zagrział donośnie. – Niewierni zdrajcy! Teraz poznacie dołę tych, co sprzymierzają się przeciw swemu bogu!!! Pięcioro oczu spoglądających z opuszków czarnych palców skupiło się na żołnierzach stojących pod murem. Tytaniczna dłoń wyciągnęła się ku nim, lecz w tym momencie cień padającej kolumny przemknął po jej grzbiecie. Potem całkowicie zasłoniła ją kurtyna czarnej cieczy wzbitej w niebo uderzeniem kamiennego walca o basen.

Kolumna strzaskała obrzeże sadzawki, towarzyszył temu wstrząs ziemi, a granit zadzwonił o granit niczym spiż. Ciężki pocisk upadł w miejsce, gdzie dotąd był Kthantos, ale boga już tam nie było.

Na ten widok stojący na murze wojownicy wydali tryumfalny okrzyk. W podnieceniu Conan i Armiro padli sobie w ramiona śmiejąc się i klepiąc po opancerzonych plecach. Szybko jednak zwrócili czujne spojrzenia w stronę basenu. Część płynu wylała się na zewnątrz, a z nią sterty brudnych kości i resztki zardzewiałego uzbrojenia, które poplamiły granity dziedzińca.

– Patrzcie! – zawołał jeden z gwardzistów. – Poziom spada! To coś wycieka przez wyrwę na dół, do podstawy góry.

Tak też było. Na powierzchni basenu widać było, jak oleiste prądy tworzą wir nad dziurą, a ze szczeliny dobiegał cichy bulgot. Niebawem ukazało się dno basenu pokryte cuchnącym, zaśmieconym kośćmi szlamem. Nigdzie nie było widać Kthantosa.

– Głupcy, naprawdę odrzuciliście taką szansę? – ten głos należał do Amlunii, która podeszła na brzeg sadzawki i gapiła się w nią z gniewnym niedowierzaniem. – Świat mógł być nasz dzięki potędze Kthantosa! Ale teraz... jeżeli go zabiliście...

– Jeśli go zabili, ladacznico, to zabili o jedną osobę za mało! – wrzasnęła Zenobia podrywając się znad ciała Vatesy. – Jeśli kochasz swego bożka Kthantosa, to dołącz do niego, suko! – dopadła wojowniczkę, zanim ta zdążyła wyciągnąć miecz, pchnęła ją, obróciła, a potem wymierzyła jej solidnego kopniaka w zadek. Amlunia zachwiała się, rozpaczliwie wymachując rękami, poleciała przez obramowanie basenu i pacnęła całym ciałem w czarną breję. Jej upadek wywołał głośny śmiech zgromadzonych.

Amlunii nic się nie stało, ale uwalana była na czarno od czubka głowy do stóp. Klnąc i grożąc przeciwniczce zaczęła wdrapywać się na śliski brzeg basenu. Nagle coś jej w tym przeszkodziło. Szlam w pobliżu jej kostek poruszył się lekko. Amlunia natychmiast zsunęła się w głąb sadzawki.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że dzieje się coś potwornego. Wydała z siebie paniczny krzyk i chwyciła się rozpaczliwie mokrego granitu, ale na próżno. Wrzeszczała i szlochała, miotając się ze śmiertelną desperacją, ale coś niestrudzenie wciągało ją w głąb. W pobliżu środka basenu, gdzie zagłębił się koniec przewróconej kolumny, wbiły się ostatnie bryzgi i Amlunia zniknęła. Stało się to tak prędko, że echo jej ostatniego bełkotliwego krzyku zamarło dopiero chwilę później.

– Na Croma, obrzydliwa śmierć, nawet dla zdrajczyni! – Conan zeskoczył z muru i podszedł do Zenobii, aby odciągnąć ją od krawędzi basenu. – Ale to znaczy, że nie zabiliśmy Kthantosa?...

Z miejsca, w którym ciemna ciecz wyciekła przez szczelinę w kamieniu, ze zwałowiska błota i odpadków, zabrzmiał znajomy bulgotliwy głos:

– Prawdziwy bóg zabity? – zapytał. – Zabity przez kilku niewdzięcznych śmiertelników? Powstrzymany... tak, zapewne! Rozdrażniony... o, z pewnością! Ale zabity? Nie, nigdy! – głos zamilkł na chwilę, po czym zaczął mówić dalej: – I nie bójcie się o życie kobiety zwanej Amlunia. Odpocznę teraz, ale nie udam się na spoczynek samotnie. Dano mi młodą duszę do towarzystwa. Śmiertelnicy, przyjmuję waszą ofiarę. Ten ciepły duch i prężne ciało zabawią mnie przez tysiąclecie czy dwa. Chodź, miła, przytul się do mnie... – tu słowa boga zakłócone zostały szumem bąbli świadczących o toczącej się walce. Za moment głos Kthantosa, rwący się i ledwie słyszalny, dokończył: – ...Oto moje przesłanie do śmiertelników... mój najwyższy kapłan mnie zawiódł. Dlatego został pozbawiony mej ochrony... Działanie czaru skończyło się. Musi iść dalej w swej własnej postaci. Przeklinam was. Żyćcie w strachu aż do mojego powrotu.

Po tych ostatnich groźbach bulgotanie Kthantosa ustało. Pozostał po nim cuchnący zwał szlamu i odpadków w pustym granitowym basenie. Nie było nawet śladu nieszczęsnej Amlunii.

Conan jednym ramieniem obejmujący Zenobię zmarszczył brwi. – Najwyższy kapłan? W swojej własnej postaci? – puścił królową i zaczął rozglądać się po dziedzińcu. – Delvyn, skarłały łotrze, gdzie się podziałeś? – wrzasnął unosząc broń.

Karzeł przechodził niesamowitą przemianę. Leżał na ziemi miotając się tak gwałtownie, że nawet mężczyźni gwardziści woleli się trzymać z daleka. Conan podbiegł i zobaczył, że Delvyn rośnie.

Miał kłopoty z pancerzem, bo stawał się coraz ciaśniejszy. Trwało to jednak tylko chwilę, potem skórzane rzemienie pękły, a metalowe płyty odskoczyły rozsądzone nieubłaganą siłą. Delvyn odrzucił hełm, zsunął buty, reszta ubrania poszła w strzępy. Ze szmat wyłoniło się ciało tęższe i bardziej krzepkie niż poprzedni kształt, ale równie niezgrabne i kanciaste. Kiedy Delvyn podniósł się na nogi, wszyscy zobaczyli, że jest on już olbrzymem, wyższym o połowę od Conana. Były błazen miał teraz ręce wystarczająco potężne, żeby wycisnąć życie z dwóch mężczyzn naraz.

– Cóż to za diabelska sztuczka? – spytał król. – Jak mogłem zaprzyjaźnić się z kimś, kto zmienia postać i sprzymierza się z bagienным diabłem, żeby ukraść moją duszę?

– Czy ktoś kiedyś mówił o przyjaźni, Cymmerianinie? – zagrzmiał wyzywająco Delvyn. – Zdobyłeś mnie na starym królu Balcie jako łup wojenny, pamiętasz? Ty byłeś panem, a ja łotrem! Ale to jeszcze może się zmienić.

– Łotrem zawsze byłeś i łotrem, jak sądzę, pozostaniesz! – odpowiedział Conan. – Ale skąd wziął się ten dziwaczny wzrost?

– To nie jest tajemnica – powiedział Delvyn nowym, tubalnym głosem. – Byłem kiedyś olbrzymem, silnym jak dziesięciu ludzi, dlatego bali się mnie i nienawidzili. Skazany byłem na życie w samotności i rozpacz, bo kiedy tylko zapragnąłem towarzystwa ludzi, oni nazywali mnie potworem i łączyli siły, aby mnie zabić – stał półnagi pośród obecnych niczym jeden z granitowych monumentów Kthantosa i z gniewem opowiadał swe dzieje:

– Włamałem się kiedyś do pewnej świątynnej biblioteki i zadusiłem świętych pustelników, którzy się nią opiekowali. Całe lata spędziłem badając starożytne rękopisy. Poszukiwałem czaru pozwalającego zmniejszyć moją przeklętą postać. Wtedy to zakląłem demona Kthantosa, który przysiągł, że tego dokona.

Byłem sprytny, jak widzicie! – Delvyn zaśmiał się szyderczo. – Wiedziałem, że moje poprzednie wielkie rozmiary były przekleństwem, więc kazałem Kthantosowi, by uczynił mnie mniejszym od zwykłego śmiertelnika. Odtąd było mi łatwo przestawać z głupimi ludźmi i zdobywać ich zaufanie, ponieważ każdy człowiek nienawidzi wszystkich większych od siebie, a uwielbia mieć u boku kogoś mniejszego od siebie, aby podkreślać swą wielkość, kogoś nad kim można się znęcać, kogo można wyśmiewać i przyćmiewać! Dzięki wiedzy, jaką zdobyłem, i dzięki pomocy Kthantosa, wkrótce stałem się przyjacielem i doradcą wielkich królów, kierującym nimi dla własnych celów. – Delvyn pokiwał głową i ryknął donośnym śmiechem. – W swoim czasie sam miałem stać się królem świata, Delvynem Wielkim!

– Łajdaku! Kanalio! – wymyślał Conan, potrząsając mieczem. – Nigdy tobą nie gardziłem, nigdy cię nie poniżałem! Dlaczego to mnie wybrałeś dla swoich podłych planów?

Olbrzym rozejrzał się wokół i zamachał rękami, żeby odstraszyć żołnierzy, którzy próbowali otoczyć go kręgiem włóczni.

– Wykorzystałem cię, bo byłeś silny i głupi! Wyobraź sobie króla, który tak mało ceni siebie, że ciągle zdaje mu się, iż wszyscy go nienawidzą; który, choć jest wielki, chce wierzyć, iż jest dziesięć razy większy; i który nie rozpoznaje szczęścia, kiedy trzyma je w garści! – oznajmił Delvyn z pogardą. – Ze wszystkich królów Hyborii, żadnego nie byłoby łatwiej okpić niż cię! Nad twoim bękartem Armiro musiałbym się dobrze napracować, zanim bym go usidlił. Ale ty podałyś mi świat na tacy! Niestety, twoi przyjaciele okazali się lojalni wobec ciebie, mimo twych przechwałek i puszenia się!

Conan patrzył na niego posępnie i groźnie.

– Ty zatem sprawiłeś, że ten demon zabił Yasmelę! Ty naraiłeś mi Amlunię i poszczułeś mnie przeciw Armiro!

– Tak, istotnie. – Delvyn rozkoszował się własną przebiegłością. – Ponieważ wiedziałem, że kiedy już doprowadzę cię do panowania nad światem, jedna rzecz zniszczy cię całkowicie: świadomość, że zabiłeś własnego syna!

– Diable! Krętaczu! – wściekł się Conan. – Wiedz, że zabijałem już większe

potwory niż ty!

– Dobrze – zaszydził Delvyn. – Chodź tu, mały człowieczku! Rozedrę cię i zjem twoją wątrobę! – zrobił krok naprzód, zmuszając do cofnięcia się dwóch gwardzistów stojących przed nim, podczas gdy inni skupili się z tyłu. – Potem zabawię się z twoją hożą królową jak z laleczką i pognam przez góry twoją czmychającą armię, Królu Miażdżycielu Odcisków!

Oszalały z wściekłości Conan wznosił miecz. Wtem powstrzymał się i rozejrzał po kręgu widzów: Zenobia, hrabia Prospero, wiekowy Publiusz, Armiro stali w gotowości z dobytą stalą. Król opuścił broń.

– Zdrajca czy nie, byłeś kiedyś moim przyjacielem! – zawołał do Delvyna. – Dlatego ja cię nie zabiję! A jednak, Crom i Mitra mi świadkami, że nie możesz dalej żyć.

Delvyn odpowiedział głosem gniewnym i bolesnym:

– Mitra świadkiem, że nie chcę dalej żyć! Conan skinał głową i odwrócił się.

– Straże! – zakomenderował szorstko.

Rozległ się tupot kroków zmieszany z wrzaskiem i przekleństwami.

W chwilę później było po wszystkim. Delvyn leżał martwy na ziemi, a żaden z Czarnych Smoków nie odniósł obrażenia poważniejszego niż złamanie kończyny.

20. IMPAS

Jeszcze tego samego dnia król Conan rozkazał swym ludziom usypać kopiec nad gigantycznymi szczątkami Delvyna. On i Armiro uznali za stosowne nie opuszczać terenu świątyni. Do obydwu armii posłano wiadomość, że toczą się rokowania o niezwyklej doniosłości.

Z kothyjskiej strony przybyła grupa oficerów i gwardzistów Armira, na żądanie Zenobii z aquilońskiego obozu sprowadzono młodego księcia Conna, gdzie wcześniej zostawiono go dla bezpieczeństwa.

Od chwili zwycięstwa nad Kthantosem trudno było określić uczucia łączące Conana i Armira. Istniało wiele prawdopodobnych i możliwych rozwiązań wzajemnych stosunków, ale ponieważ w grę wchodziły niezwykle ważne interesy państwowe, zapowiadało się, że kolejna rozmowa między nimi będzie miała decydujący wpływ na kształt świata. Całe popołudnie obaj władcy naradzali się intensywnie ze swymi zaufanymi, trzymając się z dala od siebie i obserwując niepewnie.

Publiusz kolejny raz okazał się mistrzem w dyplomatycznym fachu.

– Wasza wysokość – rzekł – możesz ustanowić dynastię, nie, już to zrobiłeś! Publicznie uznając Armira za syna, możesz rościć sobie prawo do tytułu króla Koth! A później aktem królewskiej woli możesz spowodować podział Aquilonii i Koth między Armira i swego drugiego potomka – dodał zerknął na Zenobię i Conna. – Rzecz jasna będzie to jedynie kwestia formy, ponieważ Armiro nie ustąpi nic ze swej dotychczasowej władzy. A jednak stałbyś się w ten sposób królem świata bez rozlewu krwi i bez tragicznego wyniszczania sił obu naszych imperiów.

Conan pokręcił głową, pilnie przyglądając się Armiro pogrążonemu w rozmowie z grupą dowódców.

– Nie, Publiuszu, nie postawię Conna wobec konieczności współzawodnictwa z jego przyrodnim bratem, zwłaszcza że Armiro ma przewagę wieku i dworskiej przebiegłości – król spojrzał na Zenobię i dostrzegł na jej twarzy wyraz ulgi. – Poza tym, czy wyobrażasz sobie tego młodego podżegacza poddającego się mojej władzy ojcowskiej? – roześmiał się i potrząsnął głową. W geście tym było więcej podziwu niż zmartwienia. – Nie, kanclerzu, obawiam się, że w takim przypadku realna władza wpadłaby w ręce twoje i tobie podobnych dyplomatów. To sprawiłoby, że balansowalibyśmy cały czas na krawędzi wojny domowej.

– Jaki jest zatem twój plan, panie, jeśli mogę wiedzieć? – spytał zbity z tropu Publiusz. – Zaniechanie wojny? Uznanie istniejących granic?

– Przymierze oparte na wzajemnym szacunku – powiedział Conan pewnym tonem. – Moim dla niego i jego dla mnie. A także silnej obronie, rzecz jasna. Dobrze płoty czynią dobrych sąsiadów. – Nachylił się do Publiusza i ścisłym głosem dodał: – Najlepiej będzie, jeśli wrócimy do poprzednich granic, stary przyjacielu. Nemedi i Ophir zostaną lennymi księstwami pod władzą Halka i Lionnarda, by utrzymać tego młodego zapaleńca w bezpiecznej odległości. To bolesna cena. Ale mój syn targuje się sprytnie i będziemy musieli wiele poświęcić, jeśli z jego strony mamy oczekiwać tego samego.

Siedzący obok Prospero uśmiechnął się i włączył do rozmowy.

– Czy to oznacza, panie, że porzuciłeś nadzieję na podbój świata?

Conan roześmiał się gwałtownie i z odrobiną smutku.

– Wydaje mi się, że tylko jedno mogło mnie od tego powstrzymać, a Crom uznał za stosowne postawić to właśnie na mojej drodze. Przeszkodę, której nie chcę zniszczyć.

Publiusz pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Czy zgoda na tak ograniczony tryumf odpowiada wielkości kogoś, kto aspiruje do bycia bogiem?

– Bogiem? – parsknął śmiechem Conan. – Nie jestem bogiem! Wierz mi, widziałem już tylu rzekomych bogów, że wystarczyłoby mi na całe życie, choćbym żył tak długo jak Kthantos! – przyknuł oczy, jakby przypominał sobie coś z zamierzchłej przeszłości. – Widziałem też prawdziwego boga, ale przede mną jeszcze długa droga, zanim zdołam mu dorównać. – Niedbałym gestem wskazał Armira, który przypatrywał mu się w tej chwili. – Poza tym, jeśli ja jestem bogiem, to ten książę powinien być półbogiem, a on z całą pewnością nie ma zadatków nawet na świętego!

Conan odwrócił się od Publiusza i Prospera, wziął z ramion Zenobii małego Conna i podniósł go na wysokość twarzy.

– Próbowałem zdobyć dla ciebie świat, chłopcze – powiedział – ale teraz będziesz musiał sam wziąć sobie z niego tyle, ile ci potrzeba.

Oddał dziecko matce, odwrócił się i ruszył przez dziedziniec na spotkanie Armira. Kiedy powstał, Czarne Smoki wzniosły okrzyk, który odbił się echem od gór.

– Niech żyje Conan Wielki!